

Treść książki jest fikcją literacką. Wydarzenia, miejsca akcji, nazwiska oraz inne elementy powieści są wyłącznie wytworem wyobraźni autora. Jakikolwiek podobieństwa do rzeczywistości są przypadkowe.

G.W. Mackwall

POMYSŁ
ZACHOWAM
DLA SIEBIE

Tytuł oryginału

„Fil keep the idea to myself”

***„Oh come take my hand
We're riding out tonight to case
the promised land" ****

Bruce Springsteen

** Fragment utworu „Thunder Road” - tłumaczenie w tekście*

prolog

Był 22 listopada 1963 roku. Poranek w Dallas mógł każdego wprawić w dobry nastrój. Świeciło słońce, a temperatura dochodziła do 18°C. Koniec jesieni w Teksasie nie zawsze przynosi taką aurę. Ale nie tylko pogoda była niezwykła. Miasto szykowało się na przyjęcie wyjątkowego gościa. Rozpoczynała się kampania przed kolejnymi wyborami na najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych. Z tej okazji stolicę Teksasu miał odwiedzić prezydent. W okolicach lotniska Love Field zdążyło się zgromadzić blisko 4000 gapiów, a kolejni wciąż napływali. Samolot Air Force One, z Johnem Fitzgeraldem Kennedym i towarzyszącymi mu osobami, wylądował o godzinie 11.37. Komitet powitalny złożony był z przedstawicieli władz miasta. Żona prezydenta, Jacqueline, otrzymała od gospodarzy bukiet czerwonych róż. Następnie prezydencka para zbliżyła się do kordonu ochrony, ściskając dłonie rozentuzjasmowanych widzów. Gdy zakończyło się krótkie powitanie, szacowni goście wsiedli do samochodów i mocno strzeżona kawalkada ruszyła w stronę centrum. Prezydencki kabriolet Lincoln Continental z 1961 roku, z trzema rzędami siedzeń i z dodatkowym wyposażeniem za blisko 200 000 dolarów - oznaczony tajnym kodem „X-100” ~ wiózł na tylnych fotelach Johna Kennedy'ego i jego małżonkę. Zgodnie z protokołem, prezydent - z racji pełnienia funkcji naczelnego dowódcy sił zbrojnych - zajmował miejsce po stronie prawej. Na środkowym siedzeniu, tuż przed prezydentem, jechał gubernator Teksasu, John Connally. Po jego lewej stronie, a więc przed Jacqueline Kennedy, siedziała Nellie Connally, żona gubernatora. Przednie prawe

miejsce, obok kierowcy, zajmował Roy Kellerman, szef tajnej służby Białego Domu, a prowadził William Greer. Za prezydencką limuzyną podążał samochód z ośmioma tajnymi agentami, zapewniającymi obstawę głowie państwa. Dopiero następny był pojazd z wiceprezydentem, Lyndonem B. Johnsonem i jego żoną. W miarę jak dostojny orszak zbliżał się do centrum Dallas, liczba widzów rosła. Słychać było na ogół radosne okrzyki sympatyków prezydenta, chociaż nie zabrakło przechodnia z transparentem „Kennedy do domu”. Jednak w liczącym blisko ćwierć miliona ludzi tłumie, skandującym na cześć uwielbianego polityka, przeciwnik głowy państwa należał do wyjątków. Atmosfera była wspaniała i nic nie zapowiadało, że coś może ją zmącić. Po przejechaniu przez centrum kawalkada dotarła do placu Dealeya. Samochody jechały wolno, niespełna 20 kilometrów na godzinę, a więc prawie każdy, kto stał w pobliżu, mógł się dokładnie przyjrzeć pasażerom. Po wjechaniu na plac prezydencki pochód skręcił na północ, w ulicę Houston, a następnie w lewo, w Elm Street. Punktualnie o godzinie 12.30 miało miejsce jedno z najgłośniejszych wydarzeń w amerykańskiej historii XX wieku. Pierwsza kula trafiła w kark Johna Kennedy 'ego. Niemal w tym samym momencie raniony został gubernator Connally. Gdy Jackie Kennedy obróciła się w stronę męża, zaskoczona tym, co się stało, kolejna kula osiągnęła cel. Przechodnie oglądający przejazd prezydenckiej kawalkady padli na ziemię lub rozbiegli się, szukając schronienia. Kierowca limuzyny z rannymi politykami przyśpieszył, przejechał pod wiaduktem kolejowym i pomknął w kierunku szpitala Parkland. Świadkowie zdarzenia byli zszokowani. Nieoczekiwany przebieg zdarzeń przeraził ich i wprawił w osłupienie. Nie mogli uwierzyć, że to, co zobaczyli, działo się naprawdę. Na placu Dealeya

zapanował totalny chaos. Tymczasem mężczyzna w ciemnym garniturze i czarnym kapeluszu nie interesował się już szokującym widowiskiem. Mijał właśnie pergolę, zdobiącą szczyt trawiastego pagórka, ciągnącego się wzdłuż Elm Street. Szedł w kierunku samochodu, który stał zaparkowany po drugiej stronie wzniesienia, niedaleko budynku składnicy wydawnictw pedagogicznych.

Był kwadrans po północy, 31 sierpnia 1997 roku. Dziennikarze i paparazzi, drzemiący w samochodach lub snujący się leniwie po placu Vendôme w Paryżu, nagle oprzytomnieli. Z garażu hotelu Ritz wyjechał rangę rover, wiozący zwykle bagaże księżnej Diany i Dodiego al-Fayeda. Za nim ruszył czarny mercedes 600 z przyciemnionymi szybami. Poszukiwacze sensacji pomyśleli, że właśnie nadeszła chwila, na którą czekali od wielu godzin. Jednak ich nadzieje okazały się płonne. Samochody objechały plac i wróciły na swoje miejsca. Mało kto w pierwszej chwili zdał sobie sprawę z tego, że jest świadkiem celowej mistyfikacji. Ta miniparada aut miała jedynie służyć odwróceniu uwagi dziennikarzy, reporterów i łowców autografów, podczas gdy na zapleczu Ritza czarny mercedes S-280 ruszał w trasę. Prowadził jeden z szefów hotelowej służby porządkowej, Henri Paul, a obok niego siedział ochroniarz, Trevor Rees-Jones. Na tylnym siedzeniu, za kierowcą, była księżna Diana, a za ochroniarzem zajął miejsce Dodi al-Fayed. O tak późnej porze ruch był niewielki. Limuzyna przejechała ulicą Cambon, skręciła w prawo w Rue de Tivoli, objechała plac Concorde i prawie z setką na liczniku skierowała się w stronę placu Alma. Gdy paparazzi zorientowali się w sytuacji

ruszyli w pogoń. Wkrótce jednak część zrezygnowała, gdyż trudno było w nocy o dobre zdjęcia pędzącego pojazdu, a poza tym ciemne szyby i tak uniemożliwiały sfotografowanie pasażerów. Mercedes jechał lewym pasem. Niedaleko przed tunelem, biegnącym pod wjazdem na most Alma, dogonił inny samochód, który włókł się z przepisową prędkością, tarasując drogę. Wtedy Henri Paul zjechał na prawy pas, żeby wyprzedzić marudera. Nagle - podczas wjazdu do tunelu - samochodem zarzuciło. Rozpędzony mercedes uderzył z hukiem w jeden z betonowych słupów, oddzielających pasy ruchu i podtrzymujących sklepienie. Przód niemal wbił się wabinę pasażerów. Wrak limuzyny odskoczył od słupa, obrócił się i zatrzymał. Wszystko trwało zaledwie sekundy. Nadjechali paparazzi, a zaraz po nich pojawili się przypadkowi przechodnie. Smukła sylwetka auta zamieniła się w kłębowisko zmiażdżonych blach. Wewnątrz uwięziona była księżna Diana, Dodi al-Fayed i dwaj pozostali uczestnicy nocnej przejażdżki. Gdy przybywający ze wszystkich stron ludzie przyglądali się z niedowierzaniem zmasakrowanej karoserii samochodu, biały fiat uno wytoczył się z drugiego końca tunelu. Jechał powoli, jakby nic się nie stało. Po chwili skręcił w prawo, w ulicę Debrousse, a następnie zawrócił aleją Prezydenta Wilsona w kierunku placu Reine Astrid.

Minęły lata.

Dokładna data wydarzeń nie jest istotna. Może nawet dzieje się to właśnie TERAZ...

rozdział I

dzień pierwszy, drugi i trzeci *(niekoniecznie w takim porządku)*

Letnie wieczory w Paryżu bywają na ogół upalne, ale ten akurat należał do wyjątkowo chłodnych. Mimo to Javier Gordon czuł na plecach krople potu. Stał przed kinem „Panorama” dopiero kilkanaście minut, a wydawało mu się, że nigdy nie dotrze do kasy. Minuty wlokły się jak godziny. Próbował skupić uwagę na fotosach, jednak zdjęcia aktorów zlewały się w jego oczach w jedną kolorową plamę. Nie mógł też odczytać tytułu filmu, ale musiał to być jakiś kasowy przebój, gdyż kolejka liczyła kilkadziesiąt osób, a po napływie widzów można było przypuszczać, że na seansie będzie komplet. Pieniądze miał już odliczone, żeby nie zatrzymywać się zbyt długo przed okienkiem, w którym siedziała kasjerka. Nic chciał, aby kobieta miała czas mu się przyjrzeć. Mogłaby przecież zapamiętać jego twarz, a przynajmniej kolor włosów lub jakiś szczegół fizjonomii. Nie mógł do tego dopuścić. Jak tylko dotarł do kasy, podał szybko należną sumę.

- Bliżej ekranu czy w dalszych rzędach? - nieoczekiwane pytanie kasjerki podziałało jak kubeł lodowatej wody po gorącej saunie. Nie spodziewał się, że będzie musiał stać

dłużej przed okienkiem, a już w ogóle nie brał pod uwagę jakiegokolwiek rozmowy.

-Wszystko jedno... W dalszych rzędach - wycedził i wyciągnął rękę po bilet.

- Dla studentów mamy zniżki — pracownica kina wyraźnie chciała wywiązać się dobrze ze swojej roli.

- Bez zniżki... Studia już dawno ukończyłem.

- Jeśli tak, to bardzo młodo pan wygląda — kasjerka zaszczębiotała uwodzicielsko. Sprawiała wrażenie, jakby miała za sobą udany dzień lub czekała ją jeszcze po pracy jakaś nocna atrakcja.

- Dziękuję... - Javier też zdobył się na uśmiech, a nawet chciał jej powiedzieć drobny komplement, ale zanim zdążył coś dodać, wręczyła mu bilet i spojrzała na następnego klienta.

„Na pewno mnie dobrze zapamiętała” - pomyślał; niestety, teraz już nic nie mógł na to poradzić.

Pozostała jedynie nadzieja, że nikt nie zwróci uwagi na jego granatową torbę, którą - tak mu się przynajmniej wydawało - wystarczająco naturalnie przewiesił przez ramię. Jeszcze w pokoju hotelowym kilkakrotnie przeglądał się w lustrze, zmieniając koszulę i spodnie, aby nie tylko ubiorem, ale przede wszystkim tym trochę za dużym bagażem - jak na wyprawę do kina - nie wyróżniać się spośród innych ludzi, pragnących zabić parę godzin na filmowym seansie. Przez moment nawet chciał się wycofać z podjętego może zbyt pochopnie zadania i o wszystkim zapomnieć; wiedział jednak, że jest już na to za późno. „Mogłem się przecież nie zgodzić. Jestem w końcu na urlopie. Powinienem odpoczywać i delektować się atrakcjami turystycznymi. Co mnie podkuśiło, żeby się w to wszystko wplątać? Mówię ci, Javier, te kobiety cię wykończą”- zaczął

sam siebie strofować. „Co z tego, że ci się spodobała? Trzeba było zwyczajnie odmówić”. Przypomniał sobie twarz Marileny i jej zgrabną sylwetkę. To mu dodało otuchy. Był przekonany, że kobieta z takim wyglądem nie mogła mieć złych zamiarów. Jednak nie opuszczała go myśl, że może trochę pochopnie zaoferował swoją pomoc. Przecież jej prawie nie znał. Spotkanie na lotnisku i rozmowa przy kawie to trochę za mało, żeby bawić się w pośrednika w jakiejś konspiracyjnej grze. Tym bardziej że cała sprawa nie do końca była dla niego jasna. Nawet się zdziwił, że w ogóle mógł pójść na coś takiego. „Widocznie Europa przewróciła mi w głowie. W Buenos Aires chyba nawet Halle Berry nie zrobiłaby ze mnie Jamesa Bonda. No, może akurat Berry mogłaby spróbować - wyobraził sobie, jak spotyka się z dziewczyną agenta 007, i nawet się uśmiechnął. - Gdyby jeszcze była parę lat młodsza... Chociaż jak na swoje trzydzieści osiem lat, to i tak trzyma się świetnie” - zawyrokował, przywołując w myślach postać aktorki, znanej z kinowego ekranu. Przez chwilę zapomniał o strachu i - tak jak podczas spotkania poprzedniego dnia w kafejce z Marilena - pomyślał o wyprawie do „Panoramy” w kategoriach wakacyjnej zabawy. Niestety, pozytywne odczucia szybko go opuściły. Starał się jednak zachować zimną krew, a jedynym na to sposobem było odwołanie się do racjonalnych argumentów. „Ale z drugiej strony - próbował usprawiedliwić swoją decyzję - wyjaśnienia Marileny wydawały się rozsądne. W przeciwnym razie na pewno bym odmówił”.

Aby nie wejść do sali, gdy palą się światła, a widzowie szukają swoich miejsc, odczekał kilka minut w ciemnym korytarzu, gdzie oświetlone były tylko wiszące na ścianach plakaty. Nie zapowiadały premier, jak fotosy zdobiące kino

od strony ulicy, a przypominały ekranowe hity sprzed lat. Javier rzucił okiem na lekko podniszczoną reklamę „Manhattanu”. Uwielbiał niemal wszystko, co stworzył Woody Allen, a zwłaszcza akurat ten film. Przez chwilę zapatrzył się na słynne czarno-białe zdjęcie nowojorskiego mostu i w myślach usłyszał fragment muzyki Gershwina. Przed obejrzeniem po raz pierwszy „Manhattanu” interesował go niemal wyłącznie rock and roll. Dopiero „Błękitna rapsodia”, sącząca się leniwie na tle drapaczy chmur, uświadomiła mu piękno jazzu. Smyczki w finale opowieści o neurotycznych mieszkańcach „Wielkiego jabłka”, jak przez Amerykanów nazywany jest Nowy Jork, na długo pozostały w jego pamięci. Niewykluczone nawet, że to właśnie one rozbudziły w nim artystyczne pasje. Odkrył, że „Błękitna rapsodia” wykracza poza ramy jazzu. Jest „muzycznym kalejdoskopem Ameryki”, jak mawiał o niej autor. Z kolei film Allena był hołdem złożonym jednemu z najbarwniejszych amerykańskich miast. „Manhattan” wywarł ogromny wpływ na argentyńskiego ucznia szkoły średniej, zmieniając wizję jego przyszłości. Zanim Javier dostał się na studia medyczne, zastanawiał się poważnie nad jakimś artystycznym zajęciem. Chciał zostać reżyserem, a przynajmniej operatorem. Aktorstwo raczej go nie pociągało, mimo że miał zadatki na filmowego amanta - uwodzicielskie spojrzenie, lekko przymrużone oczy, prosty nos i gęste, krótko przystryżone ciemne włosy. Typ, któremu chyba żadna kobieta nie byłaby w stanie się oprzeć. Wołał jednak pracę twórczą; myślał o napisaniu książki. Nawet udało mu się spłodzić kilkanaście stron. Rzeczą była o dwojgu młodych ludziach, którzy spotkali się w recepcji małego hotelu, mieszczącego się na skraju lasu, obok malowniczego jeziora. Zapowiadało się interesująco.

Przynajmniej tak Javierowi się wydawało, bo treść książki była wyłącznie jego tajemnicą. Nikomu jeszcze maszynopisu nie pokazał. Obawiał się, że koledzy go wyśmieją. Koleżanki też nie wchodziły w grę. Nie dlatego, że był aż tak skryty lub nie mógł się porozumieć z kobietami. Po prostu nie spotkał jeszcze tej właściwej, której mógłby wszystko o swoich pasjach opowiedzieć. Chociaż może nie chciał jej znaleźć i wołał - przynajmniej na razie - ograniczyć się do przelotnych znajomości. Tak było mu po prostu wygodniej. Wmawiał sobie, że na stały związek ma jeszcze czas. Poza tym chyba nie całkiem wierzył w swój artystyczny talent, bo w końcu wybrał zawód bardziej konkretny. „Do pisania mogę zawsze kiedyś wrócić” - przekonywał się, gdy zdał egzaminy wstępne i został przyjęty na medycynę. Od tamtej pory minęło już dziesięć lat, a kilkanaście pożółkłych stron maszynopisu leżało głęboko w szafie w jego mieszkaniu, mieszczącym się trzystaście tysięcy kilometrów od kina „Panorama”.

Do sali wszedł dopiero chwilę po rozpoczęciu projekcji. Wiedział, że w mroku nikt nie zwróci na niego uwagi. Delikatnie zamknął za sobą drzwi i zajął wolne miejsce w przedostatnim rzędzie, z boku, niedaleko wyjścia. Gdy usiadł, skierował wzrok w stronę ekranu. Nie udało mu się jednak skoncentrować uwagi na projekcji. Nadal zastanawiał się, czy dobrze zrobił, że podjął się tego szalonego zadania. „Ale przecież sam tego chciałem” - przypomniał sobie, jak to jeszcze niedawno marzył o wczasach z przygodami. Było to w klubie golfowym „Lagos de Palermo”, podczas partii z przyjacielem. Uwielbiał ten sport. Golf stanowił dla Javiera ucieczkę od dość intensywnego życia zawodowego oraz był jego drugą największą miłością. Pierwszeństwa ustępował jedynie kobietom. Nie jakiejś jednej. Po prostu kobietom

w liczbie mnogiej. Javier nie narzekał na brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej, a w jego notesie z numerami telefonów wszystkie kartki były zapisane. Tamtego dnia jednak nie miał zaplanowanego lunchu, a nawet kolacji, więc rozkoszował się wyłącznie grą. Pogoda nie była najlepsza. Zaczynał wiać wiatr, a temperatura spadła prawie do 10 °C. W końcu był sierpień, a więc - jak na Buenos Aires - niemal w normie. Jednak „wrażenie termiczne”, którym argentyńscy meteorolodzy uzupełniają informację o temperaturze, odbiegało znacznie od liczby kresek na termometrze. Ot, taka specyfika miejscowego klimatu. Przyjaciół Javiera, Carlos, był od swojego kolegi lepszym golfistą, ale kapryśna aura wyraźnie go dekoncentrowała. Przy każdym dołku miał kłopoty z wyborem kija i co rusz zacierał ręce, aby je ogrzać. Tymczasem Javier triumfował.

- Coś na rozgrzewkę? - spytał Carlosa po trzecim wygranym fragmencie gry. Ten jednak udał, że nie słyszy kąśliwej uwagi przyjaciela i zaczął przebierać w kijach.

- No, może nie w tej chwili - kontynuował Javier.

- W końcu przed nami są jeszcze dwa dołki. Niezależnie jednak od tego, że pewnie wygram - dumna mina Javiera nie pozostawiała wątpliwości, że jest z siebie zadowolony - stawiam później twoją ulubioną whiskey.

- Nic z tego. Nie tym razem. Jak tylko skończymy, muszę wrócić do pracy. Tonę w zaległościach.

- Szkoda - Javier chciał mu jeszcze bardziej dokuczyć.

- Ja na pewno wejdę do restauracji, zanim wrócę do domu.

- W takim razie sam wypijesz toast za jednorazową wygraną - Carlos ucieszył się, że przyszła mu do głowy ta lekko uszczypliwa uwaga. - A ty co? Już na urlopie?

- zapytał kolegę, szykując się do uderzenia.

-Nie. Wziąłem dziś wolne, żeby ci dołożyć - znów uśmiech zagościł na twarzy Javiera. - Ale myślę oczywiście o wypoczynku. Nie wiem tylko, jakie wybrać miejsce.

- Może Floryda? - zapytał Carlos, śledząc lot uderzonej właśnie piłki.

- Pewno tak, chociaż często myślę o Europie. Marzą mi się atrakcyjne wakacje. Z przygodami...

-Znam te twoje „przygody”. Ostatnio jedna z nich dzwoniła do mnie, żeby zapytać, czy nie zmieniłeś numeru, bo nie może się do ciebie dodzwonić - zły z powodu swojej słabej formy Carlos chciał chociaż w ten sposób odegrać się trochę na koledze.

- Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o coś całkiem innego. Chciałbym trochę pozwiedzać Stary Kontynent. Znam Hiszpanię i na tym koniec.

- To dlaczego z tym zwlekasz? Lato w Europie nie trwa wiecznie.

-Niestety, to droga impreza, więc jeszcze w tym roku chyba odpuścisz. Floryda będzie musiała wystarczyć...

-A może byś się jednak w końcu zdecydował. Byłaby to świetna okazja, aby pojechać do Polski. Wciąż się odgrażasz, że odwiedzisz kraj swoich dziadków, a tu kolejny rok mija i znów zostajesz po tej stronie Atlantyku.

- Plany planami, a cena takiej wyprawy to zupełnie inna bajka. Ale wcześniej czy później na pewno do Polski pojedę. Będzie to wyprawa mojego życia. Pełna prawdziwych przygód.

„I mam to, czego chciałem” - myślał Javier, patrząc w ekran. Nawet nie próbował śledzić akcji filmu. Miał co innego na głowie. Zresztą wiedział, że i tak za moment opuści kino. Marilena poinstruowała go, aby tylko przez kwadrans pozostał na miejscu.

Javier Gordon urodził się w Buenos Aires. Jego matka, Anna Czarnecka, przybyła do Argentyny z rodzicami, gdy była jeszcze dzieckiem. Jej rodzice poznali się i pobraли w Londynie, zaraz po wojnie. Dziadek Javiera, Piotr Czarnecki, był lotnikiem z polskiego dywizjonu Brytyjskich Sił Powietrznych. Jego żona, Ewa Kwiatkowska, przyjechała w 1945 roku do Anglii prosto z Niemiec, gdzie spędziła dwa ostatnie lata wojny w obozie pracy. W Londynie znalazła zatrudnienie w wojskowej kantynie. Tam też poznała swojego przyszłego męża. Wystarczyła krótka rozmowa o tym, że angielskiej kuchni daleko do smakowitych potraw, które jada się w Polsce, aby coś między nimi zaiskrzyło. Odtąd Piotr Czarnecki i Ewa Kwiatkowska świata nie widzieli poza sobą. Okres narzeczeństwa trwał zaledwie kilka tygodni, a w styczniu 1946 roku polscy emigranci wzięli ślub. Ich córka, Anna, przyszła na świat jeszcze tego samego roku, gdy Czarnecky zaczęli snuć plany wyjazdu do Argentyny. Ponoć złoto miało tam leżeć na ulicach i wystarczyło się jedynie po nie schylić. Zwycięstwo Perona w wyborach prezydenckich zapoczątkowało falę reform. Nowa władza postawiła na nacjonalizację wielu dziedzin gospodarki. Równocześnie państwo objęło ochroną pracowników, zwiększając świadczenia socjalne i tworząc nowe miejsca pracy. Do tych przemian dołączył się boom gospodarczy, związany głównie z rozwojem eksportu mięsa do wygłodniałej po wojnie Europy. Wówczas jeszcze mało kto zauważał niebezpieczeństwa populistycznej polityki Perona, prowadzącej kraj do ekonomicznej katastrofy. Tymczasem Argentyna rosła w siłę. Równocześnie w euro-

pejskich krajach, zniszczonych podczas wojny, odczuwano skutki działań militarnych. Coraz więcej osób myślało o emigracji. Na wyprawę po dobrobyt za Atlantyk wybierało się sporo Anglików. Ponieważ Czarnieccy w Londynie czuli się jak u siebie, pochłaniali łączywie legendy o krainie marzeń, do której jadą tak ochoczo ich znajomi. Żegnali przyjaciół i sami powoli pakowali walizki. Wreszcie w sierpniu 1948 roku statek, którym wypłynęli z Anglii po argentyńskie złoto, przybił do portu w Buenos Aires. Chłodna pogoda, jaką powitała ich Argentyna, była pierwszym z długiej serii rozczarowań, które polscy imigranci musieli znosić przez początkowe miesiące pobytu w tym odległym kraju. Problemy językowe, kłopoty zdrowotne i tęsknota za Londynem, a także Polską, nie uatrakcyjniały życia w miejscu oddalonym tysiące kilometrów od Europy. Drobne sprzeczki małżeńskie szybko zaczęły przeradzać się w głośne kłótnie. Doszło nawet do tego, że podczas jednej z awantur musiała interweniować policja. Nie minął nawet rok, gdy małżonkowie się rozstali. Piotr Czarniecki przeniósł się do prowincji Misiones, gdzie w tamtych czasach osiedliło się wielu Polaków, a jego żona pozostała z córką w Buenos Aires, wynajmując mały pokój w centrum miasta, niedaleko restauracji, w której pracowała jako kelnerka.

Anny Czarnieckiej życie też nie rozpieszczało. Już pod koniec szkoły średniej musiała wieczorami zarabiać w tej samej co jej matka restauracji, zmywając naczynia i sprzątając toalety. Wspólnie jednak nie mogły narzekać na brak pieniędzy. Anna nawet ukończyła studia medyczne i zdobyła dyplom pediatry.

Jej przyszły mąż, Juan Gordon, był wówczas początkującym prawnikiem. W ciągu dnia przesiadywał

godzinami beczynnie w swoim skromnym biurze przy ulicy Corrientes, czekając na klientów, którzy jeszcze wtedy rzadko korzystali z jego porad. Po pracy zwykł spędzać czas w pobliskiej kawiarni. Tam też poznał Annę Czarnecką. Przyszła pewnego dnia, a właściwie wpadła na chwilę, cała zmoczona, aby schronić się przed deszczem. Nie było wolnych stolików, więc zapytała go, czy może się przysiąść. Widząc przed sobą uroczą blondynkę o lekko falujących włosach, z kroplami wody ściekającymi po policzkach, nie odmówił. Rozmawiali o fatalnym położeniu miasta i częstych ulewach, po których ulice zamieniały się w rwące potoki. Gdy rozpoczynały się w Buenos Aires deszcze, woda utrudniała ruch uliczny i zalewała piwnice domów. Na szczęście po ulewach wszystko szybko wracało do normy. Argentyncom kaprysy pogody specjalnie nie przeszkadzały. Po pierwsze, dlatego że zdążyli się do nich przyzwyczaić, a po drugie, mieli nonszalanckie podejście do życia. Słowo „manana”, czyli „jutro”, zdominowało miejscowy język. A jeśli komuś mimo wszystko puściły nerwy, to zawsze mógł sobie popić ziół „matę”, tradycyjnego argentyńskiego napoju, który działa na wszystko. Również Anna i Juan pili w kawiarni ten tradycyjny argentyński napój, ale na pewno nie z powodu nerwów. Jeśli jakieś uczucie wtedy właśnie ich ogarniało, to raczej ekscytacja. Nie tylko dlatego, że się sobie nawzajem spodobali, ale także z powodu wspólnej pasji. Okazało się, że obydwójce uwielbiają amerykańską muzykę i mają bogate kolekcje płyt. Idolami Juana od dawna byli muzycy grupy The Doors. Lokalnymi zespołami mniej się interesował, chociaż od początku śledził poczynania Los Gatos, jednego z pierwszych argentyńskich zespołów rockowych, któremu liderował wokalista i gitarzysta Litto Nebbia. Z kolei Anna pasjonowała się

twórczością Janis Ian i zbierała wszystko, co było z tą piosenkarką związane. Miała nie tylko jej albumy i single, ale też okazałą kolekcję wycinków prasowych, zdjęć, a nawet bilet z autografem artystki. Utwór „At Seventeen” amerykańskiej gwiazdy należał do jej ulubionych. Chyba nigdy później nie usłyszała piosenki, z którą równie mocno by się utożsamiała. Kiedy rozmowa zesłała na sprawy zawodowe, na ciasnotę w szpitalnych salach i na opowieści o kłopotach związanych z wynajęciem lokalu na kancelarię prawną, za oknem kawiarni zaświeciło słońce. Wówczas Anna pożegnała się z Juanem i pobiegła do domu, żeby zrzucić z siebie lekko jeszcze mokrą i już wówczas mocno wygniecioną sukienkę. Kilka dni później umówili się na koncert rockowej kapeli i tak powoli, ale systematycznie, ich przyjaźń, oparta na wspólnych zainteresowaniach muzycznych, zaczęła przeradzać się w uczucie znacznie głębsze. W końcu Anna i Juan pobrali się w upalne grudniowe południe 1974 roku. Ich jedyny syn, Javier, przyszedł na świat dwa lata później.

W kinie „Panorama” seans trwał na dobre, a salwy śmiechu oznaczały, że komedia przypadła widzom do gustu. Javier powoli wstał. Miał nadzieję, że nikt z widzów, a zwłaszcza pracowników obsługi, nie zauważy sylwetki mężczyzny z przewieszoną przez ramię torbą który udaje się do wyjścia. Opuścił salę i zamknął za sobą jak tylko mógł najciszej drzwi. Znalazł się znów w korytarzu. Jeszcze tylko raz spojrzął na plakat „Manhattanu” i ruszył w kierunku wyjścia. Przedtem jednak zostawił torbę obok drzwi, za koszem na śmieci. Wychodząc z kina, kilka razy rozejrzał

się, aby mieć pewność, że nie zwrócił na siebie uwagi. Kiedy stanął na chodniku, chłodne powietrze owiało jego spocone czoło. Na szczęście miał już to za sobą. Teraz mógł spokojnie kontynuować urlop. „Marilena powinna docenić moje poświęcenie” - zaczął sobie robić nadzieję na rychłe spotkanie z kobietą, która tak go oczarowała. - „Jak tylko wrócę do hotelu, to natychmiast do niej zadzwonię”. Szybko poszedł w stronę najbliższej stacji metra. Nim stanął na ruchomych schodach, ponownie upewnił się, czy nikt go nie obserwuje. Wprawdzie wszystko zaczynało po nim spływać, lecz postanowił być czujny do końca. Kiedy ocenił, że nie ma powodów do obaw, zjechał do metra. Nie zauważył jednak kobiety, która wyszła z kina chwilę po nim i wsiadła do czerwonego peugeota. Ona natomiast przez cały czas go obserwowała. Dopiero gdy znalazł się na ruchomych schodach i zaczął zjeżdżać do metra, przekreśliła kluczyk w stacyjce. Po dwudziestu minutach była już w domu. Rzuciła na łóżko granatową torbę, którą Javier zostawił w kinie, za koszem na śmieci, i podniosła słuchawkę telefonu. Po wykręceniu numeru długo wsłuchiwała się w przerywany sygnał, zanim odezwał się znajomy głos.

- Brian Higgins - przedstawił się mężczyzna.
- Mówi Marilena. Odebrałam przesyłkę.
- Doskonale. Czekaj na dalsze instrukcje - powiedział Higgins, po czym natychmiast się rozłączył.

Marilena usiadła przed lustrem. Zdjęła rudą perukę i powoli, bardzo dokładnie, zmyła z twarzy przygotowany wyjątkowo na ten wieczór - zupełnie inny od stosowanego przez nią na co dzień - makijaż. Następnie rozebrała się i wzięła gorący prysznic. Gdy tylko wsunęła się pod prześcieradło i zgasiła nocną lampkę, zmorzył ją głęboki sen.

Javier długo wiercił się w łóżku, zanim udało mu się na chwilę zdrzemnąć. Gdy się obudził, była dopiero druga. Zapalił nocną lampkę i rozejrzał się po pokoju. „W Buenos Aires dopiero zastanawiają się, gdzie zjeść kolację” - pomyślał, spoglądając na budzik. Przyszedł mu do głowy pomysł, aby zadzwonić do Carlosa. Był to niewątpliwie jego najbliższy przyjaciel, jednak tak naprawdę to tylko dobrze rozumieli się podczas gry w golfa. Czasami podzielili się doświadczeniami z podbojów miłosnych, ale to wszystko. Nie był to ktoś, komu Javier mógł się zwierzyć ze swoich problemów. Z rodzicami rzadko miał kontakt. Odkąd przenieśli się z Buenos Aires do Córdoby, stolicy prowincji o tej samej nazwie, widywał się z nimi tylko kilka razy w roku, zazwyczaj podczas świąt. Nawet kontakt telefoniczny Javiera z rodzicami był zaledwie okazjonalny. Również żadna z jego licznych „przygód” nie wchodziła w grę. Ostatnio rzeczywiście przestał odbierać telefony od kobiet, za to rozglądał się za nową „zdobyczą”. Miał nadzieję, że podczas europejskich wakacji jakąś pozna. I poznał. Marilena była idealna. Już dawno żadna kobieta nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Podnosił słuchawkę, aby do niej zadzwonić i podzielić się wrażeniami z misji, ale szybko zrezygnował. „W końcu chyba nawet w Paryżu po drugiej większość ludzi już śpi” - powiedział sam do siebie, spoglądając ponownie na tarczę budzika. Nie chciał niepokoić Marileny. Zresztą nie był to jedyny powód, dla którego zrezygnował z zawracania jej głowy o tak późnej porze. Mogłaby uznać go za bojaźliwego, a przecież za takiego nie chciał uchodzić. Na pewno nie przed nią. Zadanie wprawdzie

wykonał i nic złego się nie stało, jednak wciąż nie był pewien konsekwencji tak pochopnie podjętej misji. A nuż coś wymknie się spod kontroli i wyjdzie na światło dzienne sprawa łapówek. Javier był przekonany, że wtedy ktoś na pewno właśnie jego z tym wszystkim połączy. Wprawdzie nie widział się za kratkami, ale mogło się to wszystko odbić źle na jego lekarskiej karierze. Tymczasem był tylko przypadkowym połańcem. W końcu co go obchodziła jakaś forsa dla „Towarzystwa Przyjaciół Zielonych”? Nazwa ta od początku wydawała mu się niepoważna. Nie uważał też za sensowne przekazywanie pieniędzy w tak idiotyczny sposób. Marilena jednak wytłumaczyła cel konspiracji z takim przejęciem, że nie mógł jej odmówić, zwłaszcza że - musiał przyznać - kobieta wyjątkowo mu się spodobała. Nazywała się Garbo, jak ta aktorka. Była szczupła, wysoka, o sylwetce modelki. Miała ciemne włosy, lekko rozjaśnione w pasemka, z przedziałkiem pośrodku głowy i zaczesane gładko do tyłu. Jej brwi z nosem układały się w literę „Y”, a lekko ukośne, bystre, brązowe oczy mogły oczarować każdego. Poznał ją na lotnisku Orły w dniu, kiedy przyleciał do Paryża. Język francuski co prawda znał ze studiów, ale nie posługiwał się nim już parę lat i miał obawy przed pierwszą rozmową z Francuzem. Tymczasem atrakcyjna kobieta, która wpadła na niego, gdy minął stanowisko odpraw, i wytrąciła mu z ręki paszport, miała pod ręką „Cambio 16”. Czasopismo to czytał w Hiszpanii, gdy spędzał tam wakacje przed ostatnim rokiem studiów. Przepraszyła go za swoje roztargnienie i wyjaśniła powód zdenerwowania. Okazało się, że jest Hiszpanką, a na lotnisku znalazła się z powodu swojego brata. Dzwonił podobno, że przyleci z Londynu. Czekala na niego, aby go zawieźć do domu. Miał spędzić u niej kilka dni i trochę pozwiedzać. Brat jednak nie przyleciał. Kobieta była

wściekła, bo miała masę ważniejszych zajęć na głowie od bezproduktywnego przyjazdu na lotnisko. Przedstawiła się Javierowi i ponarzekła chwilę, jak to czasami nawet najbliżsi mogą być przyczyną złego nastroju. Dodała jednak, że rodzinie wszystko się wybacza, czym zaskarbiła sobie od razu jego przychylność. Aby wynagrodzić Javierowi drobne zamieszanie z paszportem, którego była winowajczynią w jego pierwszych minutach pobytu we Francji, zaproponowała mu wspólny przejazd taksówką do centrum.

- Podobno nie ma drugiej okazji, aby zrobić pierwsze wrażenie - wypowiedziała znaną maksymę, machając ręką do kierowcy nadjeżdżającego samochodu. - Teraz muszę się naprawdę postarać, abyś mnie dobrze wspominał. - Gdy Javier się zawahał, szybko dodała. - Będzie taniej, a nie wyglądasz mi na playboya z Mar del Plata.

- Skąd wiesz, że jestem Argentyńczykiem?

- Przecież przed chwilą zbierałam z podłogi twój paszport. Jeszcze raz przepraszam za moją niezdarność.

-Nie ma za co. Nic się nie stało... - Javierowi nowa znajoma zdażyła przypaść do gustu, więc ochoczo podjął rozmowę. - Rzeczywiście nie mam zbyt dużo pieniędzy na koncie, ale chyba wystarczająco, aby dwa tygodnie porozbijać się po Europie. Czy każdy playboy musi być bogaty?

Nie, wcale. Wprawdzie w szaleństwach puste kieszenie nie pomagają, ale można sobie jakoś poradzić. Playboy musi być przede wszystkim przystojny... - uśmiechnęła się i szybko dodała: - a pod tym względem niczego ci nie brakuje.

Kierowca taksówki wysiadł i umieścił walizkę Javiera w bagażniku. Tymczasem Marilena otworzyła tylne drzwi i wsiadła do samochodu, wciągając Javiera za sobą.

- Może przynajmniej dowiem się czegoś od ciebie o tym waszym słynnym tangu - zagadnęła go, gdy taksówkarz wrócił i przekręcił starter. - Na Pola Elizejskie, poproszę! Od strony Łuku Triumfalnego. Jak już dojedziemy, to pokażę, gdzie się zatrzymać - powiedziała kierowcy. - A później? - zapytała Javiera.

- Hotel „Armstrong Paris”.

- Wie pan, gdzie to jest? - zapytała taksówkarza. Ten wprawdzie nic nie odpowiedział, zajęty obserwacją w lewym bocznym lusterku, kiedy jakiś kierowca ze sznura aut nadjeżdżających z tyłu zatrzyma się i pozwoli mu włączyć się do ruchu, jednak pokiwał głową twierdząco.

- Wygląda na to, że oboje dojedziemy do celu - stwierdziła Marilena, zadowolona z pomyślnego obrotu sprawy i ze swoich organizacyjnych umiejętności.

Po męczącej długiej podróży samolotem Javier nagle poczuł odprężenie. Poznał Marilene dopiero przed kwadransem, jednak miał przeczucie, że oboje nadają na tej samej fali.

-Co robisz, gdy nie wsiadasz do taksówek w obcym mieście z dopiero co poznanymi kobietami? - zapytała go nagle.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony i w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć. Po namyśle jednak zrozumiał sens pytania.

- Pracuję w szpitalu. Zamierzam wkrótce rozpocząć własną praktykę. Ale to dopiero przyszłość. Na razie korzystam z urlopu i jestem w drodze do Polski.

-Na jak długo zatrzymasz się w Paryżu? -Na kilka dni. W końcu to podobno jedna z najładniejszych europejskich stolic. Być w Paryżu i nie zobaczyć

wieży Eiffla, Luwru oraz słynnych kabaretów byłoby wielkim błędem.

Mijali właśnie Łuk Triumfalny, aby wjechać na Pola Elizejskie, gdy Marilena wskazała kierowcy miejsce, gdzie ma się zatrzymać.

- Może wypijemy razem kawę? - spytał Javier.

- Nie, dziękuję. Mam jeszcze w domu sporo pracy. Musiałam wszystko rzucić z powodu brata, a ten łobuz się rozmyślił i nie wsiadł do samolotu. Następnym razem będzie musiał sobie sam radzić - wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Ale masz tu mój numer telefonu - wyrwała kartkę z kalendarza i napisała na niej kilka cyfr. - Koniecznie zadzwoń!

Pocałowała go w policzek i wysiadła z taksówki. Szybkim krokiem ruszyła przed siebie i niemal natychmiast zniknęła w tłumie przechodniów.

Po kwadransie taksówka zajeżdżała przed hotel „Armstrong Paris”, mieszczący się przy ulicy Croix Saint Simon. Javier adres hotelu dostał od znajomego, który podobno już od czterech lat odwiedzał latem Paryż i był miastem zachwycony. To dzięki niemu Javier w ogóle zdecydował się na tak daleką wyprawę. Podobno najpierw znajomy Javiera trafił do jednego z sieciowych hoteli, ale gdy już trochę rozejrzał się i poszperał po przewodnikach, znalazł „Armstrong Paris”. Rok później właśnie tam się zatrzymał. Powiedział, że nie mógł wybrać lepiej. Cena 75 euro za noc nie wydawała się

- jak na Paryż - wygórowana, a pokoje - mimo że bez specjalnych luksusów - były całkiem wygodne. Poza tym ze stacji metra Porte de Montreuil można było dojechać kolejką podziemną do wieży Eiffla, Pól Elizejskich, Opery i do dużego centrum handlowego Galeries Lafayette. Wyprawa do innych znanych miejsc wymagała już wielu przesiadek, ale

paryskie metro jest tak dobrze zorganizowane i szybkie, że nawet turysta pierwszy raz odwiedzający francuską stolicę bez trudu zorientuje się w jego rozkładzie, i - co najważniejsze - łatwo dotrze niemal w każde wybrane miejsce. Na razie Javier wszystko to wiedział od znajomego, ale w ciągu najbliższych dni zamierzał się przekonać, czy znajomy miał rację. Nim wysiadł z taksówki, zerknął na fasadę budynku. Hotel istotnie wyglądał całkiem sympatycznie. Rozliczył się z taksówkarzem i wszedł do recepcji.

- Dzień dobry! - przywitał go uśmiechnięty mężczyzna za kontuarem.

- Dzień dobry, nazywam się Javier Gordon, mam tu rezerwację od dzisiaj.

- Tak, oczywiście - powiedział recepcjonista po wprowadzeniu danych do komputera. - Jak długo będzie pan u nas?

- Chyba nie więcej niż pięć dni.

-Znakomicie. Proszę tylko uprzedzić, jeśli zdecyduje się pan zostać dłużej. Pokój nr 14 na pierwszym piętrze. Oto klucz i życzę udanego pobytu! - na twarzy recepcjonisty znów zagościł „Firmowy” uśmiech.

Po wejściu do pokoju Javier najpierw wyjął z walizki futerał z przyborami kosmetycznymi, a następnie włączył telewizor i odszukał stację z językiem hiszpańskim. Popatrzył chwilę, jak na ekranie Michael Keaton w kostiumie Batmana mówił coś nieswoim głosem do Jacka Nicholsona, przebranego za Jockera, i powrócił na jedną z francuskich stacji informacyjnych. „W końcu powinienem wykorzystać pobyt nie tylko na poznanie Paryża, ale też na doszlifowanie miejscowego języka” - pomyślał. Wreszcie udał się do łazienki i odkręcił kurek nad wanną. Zamierzał poleżeć trochę w ciepłej wodzie. Tylko kąpiel mogła złagodzić zmęczenie po długiej podróży.

Do Marileny zadzwonił jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem.

- Słucham - powiedziała bez wyrazu, zajęta malowaniem paznokci.

- Mówi Javier, pamiętasz mnie jeszcze? - wypróbował swój najlepszy początek rozmowy telefonicznej z kobietami, od których - po przypadkowym spotkaniu i zamienieniu kilku zdań - dostawał zwykle numer telefonu.

-Niestety, nie przypominam sobie... - padła odpowiedź. Zanim jednak ochłonął z zaskoczenia i wymyślił, co ma powiedzieć, usłyszał znów głos Marileny. - Oczywiście, że pamiętam! Żartowałam... Jak minęło pierwsze popołudnie na francuskiej ziemi?

-Jestem w hotelu, odpocząłem trochę i mam zamiar wybrać się na kolację do centrum. Może chcesz mi towarzyszyć? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Miło, że nie zgubiłeś mojego numeru i dzwonicz, ale właśnie miałam wziąć prysznic i pójść spać - mówiąc te słowa, uśmiechała się do siebie, gdyż wiedziała, że i tak niedługo się zobaczą.

- No to może chociaż mała kawa gdzieś w twojej okolicy?
- nalegał.

- Dobrze, to może przyjedź o jedenastej pod „Lido”. Znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będzie można wypić kawę i porozmawiać.

- Świetnie - powiedział z nutą triumfu w głosie.

- Jesteśmy umówieni. Do zobaczenia!

- A bientót! - powtórzyła jego słowa po francusku.

Dojazd taksówką do centrum trwał dość długo. Mimo że zbliżała się jedenasta, na ulicach aut nie brakowało. Wprawdzie ruch był mniejszy niż rano lub tuż po godzinach pracy, ale i tak bez dobrej znajomości Paryża poruszanie się po mieście mogło sprawić kłopot. Prawie nikt się nie spieszył, jednak osób przemieszczających się, w samochodach lub pieszo, było sporo. Francuzi odpoczywali po pracowitym dniu, popijając rozmaite trunki lub spożywając wieczorny posiłek w kafejkach i restauracjach. Ale nie tylko mieszkańców Paryża można było spotkać w tętniącym nocnym życiu centrum francuskiej stolicy. Niewykluczone, że nawet stanowili oni mniejszość, sierpień bowiem to we Francji okres urlopowy. Kto mógł, to wyjeżdżał nad morze, na wieś lub za granicę, aby ładować akumulatory przed kolejnym rokiem pracy. Natomiast z całego świata przybywali turyści i to ich było latem w Paryżu najwięcej. Zwłaszcza w okolicach zabytków, a także w restauracjach i nocnych klubach. Rozmawiali w różnych językach, chłonili atrakcje miasta i błyskali lampami aparatów fotograficznych. Jezdnie były równie zatłoczone jak chodniki, więc poruszanie się - nawet taksówką, z dobrze znającym miasto kierowcą - nie było łatwe. Javier o tym wszystkim wiedział z przewodnika po Paryżu, który przestudiował po kąpieli w pokoju hotelowym, zanim wykręcił numer Marileny. Teraz mógł się przekonać, czy opis stolicy Francji zgadzał się z rzeczywistością. Rozglądał się na wszystkie strony, łapczywie pochłaniając widoki licznych budowli. Chciał odnaleźć wśród nich jakiś zabytek opisany w przewodniku. Wreszcie dojrzał znajomy Łuk Triumfalny i zdał sobie sprawę z tego,

że jest już blisko. Rzeczywiście. Nie minęło pięć minut, gdy taksówka zatrzymała się przed „Lido”, jednym z najbardziej znanych paryskich kabaretów. Marileny jeszcze nie było. Javier zapłacił za kurs i wysiadł z taksówki. Owiał go ciepły wiaterek, w którym wyczuwało się zapach drogich kosmetyków. Podszedł do budynku i popatrzył na zdjęcia artystów kabaretowych, wywieszzone w szklanej witrynie. Największe wrażenie zrobił na nim widok sceny, udekorowanej jak podwodna głębia. Tancerki były ucharakteryzowane na nimfy, a wokół nich pływały ryby i przeróżne morskie stwory. Gdy Javier zastanawiał się, jaka muzyka towarzyszy estradowym popisom podczas kabaretowego spektaklu, rozgrywającego się na dnie oceanu, poczuł znajomy zapach perfum. Odwrócił się. Mimo późnej pory twarz Marileny była świeża i pogodna jak majowy poranek.

- Cześć, długo czekasz? - zapytała, promieniując uśmiechem, którym urzekła Javiera na lotnisku. - Nie wiedziałam, jak się ubrać, ale w końcu zdecydowałam się na najprostsze rozwiązanie - bluzka i spodnie. Może tak być? Mam nadzieję, że nie chcesz mnie zabrać na nocne atrakcje do „Lido”. Myślałam raczej o małej kawie przed snem.

-Nie... to znaczy... chętnie bym to obejrzał - powiedział Javier, wskazując na zdjęcie, które przykuło przed chwilą jego uwagę - ale może nie dziś. Jak jutro dojdę do siebie po podróży i odrobnię lekcje z zabytków Paryża, to cię zaproszę. Co ty na to?

-Akurat ten spektakl widziałam, ale podobno niedawno mieli premierę w „Crazy Horse”. Zresztą jest jeszcze masa innych kabaretów... A co planujemy na ten piękny wieczór?

-Zostawiam wybór miejsca tobie. W końcu to ty znasz Paryż.

- Właściwie to już coś wybrałam, więc trzymaj się mnie i nie zabłądź w tym tłumie - machnęła prawą ręką, jakby chciała ogarnąć nią wszystkich przechodniów, znajdujących się w zasięgu wzroku. To niedaleko.

Szli jeszcze chwilę po Polach Elizejskich, a następnie skręcili w jedną z poprzecznych uliczek. Kafajka była nieduża, ale przyjemna. Gdy rozglądali się w środku za wolnym stolikiem, Javier poczuł wspaniały zapach kawy. Marilena jednak złapała go za rękę i pociągnęła za sobą na zewnątrz, gdzie było więcej wolnych miejsc. Usiedli przy stoliku najbardziej oddalonym od ulicy, za to obok malowniczej, rozświetlonej fontanny. Kelnerka zjawiała się niemal natychmiast.

- Może z okazji spotkania w sercu Paryża wypijemy francuskiego szampana? - zapytał Marilene Javier.

- Dobry pomysł, ale może następnym razem... Tu dają świetną kawę, więc dla mnie wystarczy - powiedziała Marilena. - Jedną kawę ze śmietanką - zwróciła się do kelnerki.

- Skoro twierdzisz, że świetna, to też się skuszę.

- Na pewno nie pożałujesz!

- Dla mnie to samo - potwierdził kelnerce swoje zamówienie Javier.

Gdy zostali sami, miał okazję znów przyjrzeć się z bliska siedzącej naprzeciwko niego kobiecie. Widział ją dopiero drugi raz, a czuł się przy niej całkiem swobodnie. Nawet chwile, kiedy nic do siebie nie mówili, nie wydawały mu się krępujące. Chyba Marilena poczuła w tym momencie to samo, bo zamiast coś powiedzieć, po prostu uśmiechnęła się do niego.

- Wyglądasz uroczo - zaczął Javier.

- Dzięki. Tobie też paryskie powietrze służy. Jak hotel? Rozejrzałeś się po okolicy?

-Tak, trochę... Głównie teraz, z taksówki. Po przyjeździe musiałem się zdrzemnąć. Wiesz, jak to jest po długim locie... Później przejrzałem przewodnik i foldery reklamowe z atrakcjami turystycznymi. Człowiek musi pomyśleć, jak zorganizować sobie pobyt, co zwiedzić...

- ...i dzwoni do spotkanej na lotnisku nieznajomej
- przerwała mu Marilena i ponownie uśmiechnęła się uwodzicielsko, mrużąc nieznacznie swoje bajecznie atrakcyjne oczy.

- Tak też czasami bywa - zgodził się z nią Javier.
- Chociaż nie tak całkiem nieznajomej. Po paru godzinach na lotnisku i dwóch kwadransach w taksówce trochę zdążyliśmy się już chyba poznać. Wiem, że masz brata w Londynie i cierpisz na ciągły brak czasu, tak przynajmniej mi się wydaje. A co cię tak absorbuje?

- Słyszałeś o „Towarzystwie Przyjaciół Zielonych”?
- Mina, jaką zrobił Javier, była wystarczającą odpowiedzią, więc Marilena kontynuowała swoją wypowiedź. - To nowa organizacja walcząca o czyste środowisko. Zapewne wiesz, co mam na myśli - zagospodarowanie odpadów, walka ze spalinami w mieście, przestawienie się na mniej szkodliwe paliwa. Właściwie wszystko, co dotyczy miast. Zależy nam, aby lepiej się w nich żyło i przede wszystkim dłużej.

- A co z lasami tropikalnymi? - zapytał Javier, rozba wiony jej naukowym wywodem.

-Nie śmieć się - zgasiła go Marilena. - To całkiem poważna sprawa. Wiesz, ile trucizn jest wokół nas w powietrzu? W godzinach szczytu nasze płuca wdychają niemal tyle zanieczyszczeń, ile znajduje się w dymie papierosowym, który jest koktajlem blisko czterech tysięcy

chemicznych substancji, w większości szkodliwych. Po co więc ta cała walka z paleniem, skoro wszyscy w miastach zaciągamy się jednym wielkim cygarem? Lasy tropikalne są na pewno ważne, ale nie chcemy zajmować się sprawami tak odległymi. Uważamy, że w pierwszej kolejności należy zadbać o miejsca, gdzie cywilizacja narobiła już dość szkód. Jeśli dzięki naszym działaniom oczyścimy przynajmniej trochę powietrze w miastach, to i tak dużo zrobimy...

- zawiesiła na chwilę głos, ponieważ dostrzegła jego zakłopotaną minę. - Może później przyjdzie pora na te twoje lasy... - dodała, widząc, że poczuł się głupio, przerywając jej wywód ironicznym pytaniem.

- Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Zgadzam się, że powietrze w miastach nie jest najlepsze. Rzeczywiście ktoś powinien coś z tym zrobić. Nad czym aktualnie pracuje...?

- tu urwał, bo zapomniał nazwy organizacji.

- ...,Towarzystwo Przyjaciół Zielonych"... - przypomniała mu nazwę Marilena. - Zbieramy pieniądze od różnych firm i osób prywatnych, a następnie przekazujemy je w odpowiednie ręce. Chodzi o zapewnienie przychylności władz w stosunku do naszych działań.

-Nie wiedziałem, że łapówki mogą być źródłem czystego powietrza.

- To nie łapówki, ale datki na szczytny cel - poprawiła go Marilena.

- Ładny eufemizm. Takiego jeszcze nie słyszałem...

Nagle zamilkł, bo właśnie kelnerka przyniosła zamówioną kawę. Odezwał się ponownie, gdy postawiła na stole filiżanki i oddaliła się w kierunku drzwi na zaplecze.

- ...ale niech i tak będzie - dokończył przerwane przed momentem zdanie. Marilena nie bardzo pasowała mu do roli

bojowniczką o czyste powietrze. Skoro jednak akurat tym się interesowała, to chciał wiedzieć więcej o jej obowiązkach.

- Jaka jest w tym wszystkim twoja rola?

- Mam rozmaite funkcje. Najczęściej jednak zajmuję się gromadzeniem funduszy i później część przekazuję właśnie w charakterze datków.

- Czyli po prostu opłacasz wpływowe osoby. Niezłe zajęcie dla ładnej młodej kobiety...

- Wszystko jest jak najbardziej legalne - próbowała się usprawiedliwić. - Nawet nie wiem, komu przekazuję pieniądze. Ale... - przerwała speszona, że już tyle powiedziała - nie wiem, czy dobrze robię, że cię w to wszystko wtajemniczam...

- Jeśli wszystko - jak twierdzisz - jest legalne, to chyba nie musisz niczego ukrywać. Mam rację?

- No tak, zgadza się - potwierdziła jego rozumowanie.

- A co robisz poza przekazywaniem łapówek lub - jak je nazwałaś - datków?

- W organizacji?

-Niekoniecznie. Tak w ogóle. „Towarzystwo Przyjaciół Zielonych" to twoje jedyne zajęcie?

-Nie. Oczywiście, że nie. Studiowałam malarstwo i właśnie tym się głównie zajmuję. Kiedyś nawet sama malowałam, ale trudno było cokolwiek sprzedać, więc postanowiłam handlować sztuką. Do spółki z koleżanką prowadzimy niewielką galerię. Nie ma tam nic bardzo cennego, ale parę interesujących prac się znajdzie. Ponieważ udało się nam wynająć lokal blisko Pól Elizejskich, trafia do nas sporo turystów. Mamy dla nich mnóstwo tandety z paryskimi widokami. Wszystko jest w przystępnych cenach i - z uwagi na dobrą lokalizację - idzie jak woda. Nawet nie wywieszamy wartościowych rzeczy, bo i tak turyści na ogół

się na nich nie znają. Mamy jednak kilku stałych klientów, koneserów sztuki, i dla nich trzymamy na zapleczu ciekawsze obrazy. Wszystko się kręci całkiem dobrze.

- To znaczy, że w sprawie pamiątek z Paryża mam się zdać na ciebie? - zapytał Javier.

- Jeśli mi ufasz, to zdecydowanie tak.

- Kawę zaryzykowałem i rzeczywiście jest wyjątkowa. Masz teraz u mnie spory kredyt zaufania.

Javier drugi raz tego dnia poczuł się całkowicie wyluzowany. Zapomniał nawet przez moment o pacjentach. Na czas wyprawy do Europy oddał ich pod opiekę innemu lekarzowi, koledze z czasów studenckich. On i Javier pracowali razem w szpitalu, na tym samym oddziale. Jemu też ufał, więc nie musiał na urlopie martwić się o zdrowie pacjentów. Wiedział, że znaleźli się w dobrych rękach. Mógł sobie pozwolić na odpoczynek, a Marilena zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Często tu przychodzisz? - zapytał ją, gdy dopił ostatni łyk smakowitego napoju i z żalem odstawił na spodek pustą filiżankę.

- Kilka razy w tygodniu. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka. Poza tym mój sklepik znajduje się parę kroków stąd.

- A co robisz po pracy? Chętnie skorzystałbym z twojej pomocy w poznawaniu paryskich atrakcji. Co powiesz na wspólną wyprawę jutro do kabaretu?

-Nie mogę. Sama nie wiem, jak jutro dam sobie radę. Mam spotkanie z ważnym klientem w sprawie cenniejszego obrazu. To jeden z tych, które zwykle trzymamy na zapleczu. Klient przychodził już kilka razy i prawdopodobnie wreszcie zdecydował się na zakup. Muszę być w sklepie. To Japończyk. Był wczoraj i przez kwadrans robił zdjęcia.

Twierdził, że chciał pokazać obraz żonie. Kiedy wyszedł bez decyzji, przypuszczałam, że zmyślał o konsultacjach z żoną i że w rzeczywistości chciał po powrocie do domu po prostu z tych zdjęć wydrukować sobie kopię. Nie minęły jednak dwie godziny, jak zadzwonił i powiedział, że prawdopodobnie obraz weźmie. Widocznie przesłał żonie fotki, a ta zaakceptowała. Zresztą nieważne, jak podjął decyzję. Ważne, że postanowił wrócić. Chce jeszcze negocjować cenę, ale wszystko wskazuje na to, że się dogadamy. Byłoby świetnie, bo amatorzy droższych płócien nie pojawiają się często. Niestety, również jutro muszę przekazać pieniądze jednemu z naszych wpływowych partnerów. Takemu, który może sporo zrobić dla „Towarzystwa”. Nie wiem, jak połączę te dwie sprawy, ale będę musiała jakoś dać sobie radę.

- Może argentyński lekarz z nadmiarem wolnego czasu mógłby dla ciebie coś zrobić? - Javier spojrzał na nią wzrokiem mężczyzny, któremu trudno było nie ufać.

- Nie. Idź lepiej do „Crazy Horse”. To przecież twój urlop, a słyszałam, że nowy spektakl jest świetny - uśmiechnęła się.

- Przecież jeszcze nie wyjeżdżam, a samemu spędzać wieczór w kabarecie nie wydaje mi się najlepszym pomysłem.

- Naprawdę chcesz mi pomóc? Znasz się na malarstwie?

Ani trochę.

Tak myślałam, więc spotkanie z Japończykiem odpada. Drugie zadanie jest jeszcze trudniejsze. Wprawdzie nie wymaga znajomości sztuki - a nawet nie wymaga znajomości niczego ale musiałbyś trochę pobawić się w konspirację...

- Brzmi interesująco, zawsze podziwiałem tajnych agentów - przerwał jej Javier i zniżył nieco głos, jakby

w obawie, że ktoś podsłuchuje, a następnie kontynuował wypowiedź lekko żartobliwym tonem: - Co miałbym zrobić? Włamać się do banku? Wyskoczyć z samolotu ze spadochronem i porwać szefa paryskiej mafii?

-Znów żartujesz... - upomniała go Marilena - ...a tu chodzi naprawdę o coś ważnego.

- Zamieniam się w słuch!

- Nie wiem, czy powinnam ci mówić...

- Ustaliliśmy już, że możesz być ze mną szczerą. W końcu sama powiedziałaś, że to nic złego.

-No dobrze... Trzeba zanieść pieniądze w umówione miejsce i po prostu tam zostawić.

- I do takiego łatwego zadania potrzebujesz aż mnie, agenta 0000...?

-Znów się nabijasz! Rezygnuję z twojej pomocy... - powiedziała obrażonym tonem. - Już więcej ci nic nie powiem. Koniec! Jakie masz turystyczne plany na jutro?

- Nie bądź taka sroga! Kończę z żartami - obiecał stanowczo.

- Nie musisz całkowicie przestać żartować, zwłaszcza że jesteś w tym nawet dobry... To jednak poważna sprawa, więc jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to słuchaj uważnie. Pieniądze trzeba zostawić w kinie „Panorama”. Wiesz, gdzie to jest?

- Absolutnie nie.

-Tak myślałam. Ale mam plan Paryża. Ciągłe turyści mnie o coś pytają, więc trzymam go pod ręką - mówiła, wyciągając z torebki złożony plan miasta i rozkładając go na stole. - Tu jest to kino - wskazała palcem punkt na planie. Blisko stacji metra. Plan możesz wziąć, jeśli chcesz, ale najprościej będzie, jak pojedziesz taksówką - zawahała się przez moment. - Chociaż może jednak będzie lepiej, jak

skorzystasz z metra. To taniej i nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Taksówkarze zwykle mają dobrą pamięć, tymczasem w metrze każdy pogrążony jest we własnych myślach.

-A co grają...?

Spojrzała na niego srogo i mówiła dalej:

-Nie wiem. Jakaś komedię... Nieważne.

- O której mam tam być?

- Seans zaczyna się o ósmej, ale bądź wcześniej, gdy przed kinem są jeszcze ludzie. Wtedy nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Wejdz na salę i usiądź niedaleko wyjścia. Kwadrans po rozpoczęciu projekcji wróc na korytarz, gdzie wiszą plakaty filmowe. Na ogół jest tam ciemno i tylko właśnie te fotosy są oświetlone. Torbę zostaw za koszem na śmieci. Tym, który stoi przy drzwiach wejściowych na salę. Później zejdź do metra i jedź, gdzie chcesz. Najlepiej do „Lido”, jeśli ten podwodny kabaret tak cię interesuje.

- Bułka z masłem. Tylko po co ta konspiracja? Nie lepiej wręczyć facetowi forszę i już...?

Wszyscy są ostrożni w takich sprawach. Zwłaszcza osoby z kontaktami, a z takimi właśnie współpracujemy. Jeśli boisz się komplikacji, to mów od razu. Jakoś sama dam sobie radę.

-Nie, nie... Pytam tylko z ciekawości. Wszystko będziesz miała załatwione.

Javier miał pewne obawy, ale nie dał tego po sobie poznać. Chciał wyglądać na całkowicie wyluzowanego. Spojrzał ukradkiem na zegarek.

- Chcesz już wracać do hotelu? Zmęczenie daje o sobie znać? - zapytała Marilena.

- Trochę... - mimo drzemki powieki Javiera zaczynały się kleić. - Ale może jeszcze coś zjemy?

- Nie, ja już muszę lecieć. Rano otwieram sklep, więc wstaję wcześnie. Odwiozę cię do hotelu. Jutro masz cały dzień na zwiedzanie. Może uda ci się pojechać do Wersalu. Wieczorem, przed spotkaniem z moim klientem, przywiozę ci pieniądze.

- Dużo będzie tych pieniędzy?

- Tego jeszcze nie wiem. Jutro odbieram całą sumę. Na pewno sporo, więc ich nie zgub, panie Bond - teraz ona przybrała żartobliwy ton.

- Tak jest! Nie ma obawy. To co? Ruszamy się?

- Oczywiście. Dziękuję za miły wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dobrze, że o tak późnej porze dałaś się wyciągnąć z domu.

- Nie darowałabym sobie, gdybym postąpiła inaczej.

Teraz obydwójce się roześmiali. Javier podszedł do baru i zapłacił za kawę, a następnie udał się za Marilena do samochodu. Ledwie wszedł, a znajomy neon „Armstrong Paris” zamigotał przed jego oczami.

- Drzemka się udała? - zapytała Marilena, wyłączając silnik. - Chciałam ci po drodze pokazać parę interesujących rzeczy, ale chrapałeś tak, że żal było cię budzić. Jesteśmy na miejscu.

- Przepraszam, że zasnąłem. To chyba ta zmiana czasu. Jakoś nie mogę dojść do siebie.

- Nie przejmuj się. Wprawdzie zwykle podobne symptomy odczuwają raczej osoby przemieszczające się w odwrotnym kierunku, jednak długie godziny spędzone w samolocie zawsze dają o sobie znać. Teraz szybko do pokoju i kładź się do łóżka! Jutro przed tobą długi dzień.

- Masz rację. Jak się porządnie wyśpię, to będę jak nowo narodzony.

Javier pocałował Marilene w policzek i wysiadł z samochodu. Może przed spotkaniem liczył na więcej, ale teraz był kompletnie bez sił i nie pozostawało nic innego, jak się pożegnać.

- Dziękuję za odwiezienie i do jutra! - pomachał Marilenie i zatrzasnął za sobą drzwi. Marilena dotknęła ustami prawej dłoni i posłała mu pocałunek. Następnie włączyła starter, wrzuciła pierwszy bieg, obejrzała się za siebie przez lewe ramię i odjechała sprzed hotelu. Javier jeszcze chwilę patrzył, jak jej samochód się oddala, a następnie wszedł do holu „Armstrong Paris”. Nie czekał na windę, tylko po schodach dotarł na pierwsze piętro. Marzył o tym, aby wreszcie znaleźć się w łóżku.

Vincent był już w Rzymie siedem razy. Pamiętał tę liczbę dokładnie, tak jak zresztą wszystko, co robił podczas kolejnych wizyt. To nie przypadek. Za każdym razem musiało być inaczej. Jako profesjonalista w swoim fachu doskonale wiedział, że trudniej trafić za kimś, kto nie ma przyzwyczajęń. A nawet jeśli je ma, to nie może zdradzać ich przed światem. Dlatego wybierał hotele w różnych dzielnicach i za każdym razem o innym standardzie. Na szczęście tym razem mógł sobie pozwolić na coś lepszego, chociaż w okolicy położonej nieco dalej od centrum. Ale to nic strasznego. W końcu akurat ten pobyt w Rzymie to tylko krótki przystanek przed dalszą podróżą. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer recepcji.

- Mówi Cedar Allonzo - takie właśnie nazwisko Vincent wybrał na pobyt w stolicy Włoch. - Chciałbym zamówić śniadanie do pokoju.

- Oczywiście, panie Allonzo. Łączę z restauracją - w słuchawce rozległa się elektroniczna wersja „Dancing Queen”, a następnie odezwał się kobiecy głos: — Dzień dobry, panie Allonzo, w czym mogę pomóc?

- Poproszę o dobrze schłodzony wyciskany sok pomarańczowy, kawę z mlekiem, dwa jajka na miękko - gotowane maksymalnie trzy minuty - jogurt brzoskwinowy, masło, dwa tosty i kieliszek fernet-branca - wymienił wszystko tak dokładnie, jakby czytał z kartki.

- Oczywiście, panie Allonzo. Śniadanie przyniosę za dziesięć minut. Życzę miłego dnia! - zaszczębiotała kelnerka.

Yincen odłożył słuchawkę i zajął się poranną toaletą.

Javier obudził się w złej formie. Krótkie drzemki, w jakie zapadał pomiędzy chwilami zadumy nad wydarzeniami poprzedniego dnia, nie wystarczyły, aby zregenerować siły. Pomyślał o Marilenie, o jej wspaniałych oczach i o tym, że niepotrzebnie dał się jej namówić na wyprawę do kina z torbą pieniędzy. „A jeśli ten, kto je miał odebrać, nie znalazł torby? Albo ktoś inny ją zabrał? W końcu było tam kilka paczek banknotów. Spora suma”. Rozmaite scenariusze wydarzeń krążyły Javierowi po głowie. Nie liczył pieniędzy, ale nie mógł odmówić sobie, aby do torby nie zajrzeć. Żał by było, gdyby jej zawartość zginęła lub dostała się w niepowołane ręce. Rzucił okiem na zegarek. Zbliżała się ósma. Podszedł do okna i rozsunął rolety. Strumień sierpniowego słońca rozświetlił hotelowy pokój. Zerknął na leżącą na stoliku starą gazetę, przejechał wzrokiem po tytułach i wreszcie włączył telewizor. Zobaczył patelnię ze smażącymi się warzywami, a następnie twarz

kucharza zachwalającego po francusku potrawę, którą akurat przygotowywał. A może tylko podawał przepis? Javier nawet nie starał się zrozumieć. Przeleciał przez kilka stacji nadających teledyski, aż wreszcie trafił na jakiś program informacyjny. Raptem opadł ciężko na łóżko. To, co zobaczył i co rozumiał z komentarza, spowodowało, że dreszcze przeszły całe jego ciało. Był przerażony. Na ekranie pokazywano kino „Panorama”. Kamera rejestrowała zdemolowane ściany korytarza prowadzącego do sali głównej, rozbite szkło - prawdopodobnie to, które osłaniało plakaty filmowe - i spalone krzesła. Detonacja nastąpiła podczas seansu, raniąc wielu widzów. Policja była w trakcie opracowywania portretu pamięciowego domniemanego sprawcy. Na razie szczegóły nie były dostępne, jednak komentator wspominał, że prawdopodobnie trwają poszukiwania trzydziestoletniego mężczyzny, którego widziano przed kinem z granatową torbą na ramieniu.

Javier wyłączył telewizor i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Wreszcie wszedł do łazienki, pochylił się nad wanną i odkręcił zimny prysznic. Gdy poczuł pulsowanie w skroniach od lodowatej wody, spływającej po plecach, zakręcił kurek. Wrócił do pokoju i wyrztał przez okno. Popatrzył na przechodniów podążających w różnych kierunkach, a następnie odwrócił się i przebiegł wzrokiem po pokoju. Gdy dojrzał leżącą na stole kartkę z numerem Marileny, podniósł ją i podszedł do telefonu. Po chwili wahania wykręcił numer.

- Słucham... - usłyszał zaspany głos Marileny.

-Mówi Javier. Stało się coś strasznego. Szukają mnie...! - wykrzyknął do słuchawki. Chciał jednym tchem wyrzucić z siebie wszystkie gnębiące go myśli.

Kto ciebie szuka? Która jest godzina? - przerwała mu Marilena.

-Już po ósmej. Policja opracowuje portret pamięciowy zamachowca. Ktoś podłożył bombę i myślą, że to ja...

- Uspokój się! Jaką bombę?

-W kinie „Panorama” był wybuch. Podobno ktoś zadzwonił na policję, podając się za rzecznika „Towarzystwa Przyjaciół Zielonych”. Twoja organizacja przyznała się do zamachu...

-To absurd. Dlaczego mielibyśmy wysadzać w powietrze jakieś kino?

-Nie jakieś, tylko to, do którego mnie wczoraj wysłałaś z torbą pieniędzy. Jeśli natychmiast nie powiesz mi, o co tu chodzi, dzwonię na policję...

- Zaczekaj - przerwała mu ponownie. - Zaraz do ciebie przyjadę i zastanowimy się razem, co z tym zrobić. Tymczasem do nikogo nie dzwoń i z nikim nie rozmawiaj. Słuchasz mnie?

Nie było żadnej reakcji.

- Halo, jesteś tam?

- Tak - odpowiedział po chwili.

- To siedź spokojnie, aż ja przyjadę, dobrze? - **Marilena** zawiesiła głos i czekała na reakcję.

- Dobrze - powiedział Javier i odłożył słuchawkę.

Brian Higgins uśmiechał się do siebie, oglądając poranne wiadomości. Kawa z mlekiem, do której zwykle ograniczało się jego śniadanie, już dawno mu tak nie smakowała. Właśnie pokazywano portret pamięciowy podejrzanego. „Nie jest to może doskonałe podobieństwo - pomyślał - ale powinno

zrobić swoje". Wypił ostatni łyk kawy i zapalił cygaro. Dzień zaczynał się dla niego znakomicie.

Poruszanie się samochodem po Paryżu, gdy wszyscy jadą do pracy, nie należy do przyjemności. Marilena była na siebie wściekła, że nie pojechała metrem. Tkwiła w drugim już korku i zanosilo się jeszcze co najmniej na kilkanaście minut stania. Co chwila spoglądała nerwowo na zegarek w obawie, że Javier nie wytrzyma i zadzwoni na policję. Nacisnęła w desperacji kilka razy klakson, ale stojące przed nią samochody ani drgnęły. Odrzuciła głowę do tyłu i dwa razy silnie uderzyła zaciśniętymi pięściami w kierownicę. Widząc, że przygląda się jej kierowca stojącego obok mercedesa, rzuciła mu krótki uśmiech i opadła w fotelu zrezygnowana.

Vincent był już ogolony i po porannej kąpieli. Siedział wygodnie w fotelu, przeglądając „Corriere della Sera”, gdy zapukała kelnerka i wniosła zamówione przez niego śniadanie. Aromatyczne opary kawy rozniosły się po pokoju, stanowiąc dowód na to, że napój był gorący. Nagrodził kelnerkę sowitym napiwkim, po czym powrócił do lektury. Nie był jednak w najlepszym nastroju. Ostatnie zlecenie nie przypadło mu do gustu. Choć bez trudu odnalazł w Buenos Aires tego lekarza, to nie wiedział, jak nawiązać z nim bliższy kontakt, co było jednak w tym przypadku niezbędne. Postanowił wybrać się do szpitala, w którym Javier Gordon pracował. Miał nadzieję, że tam coś przyjdzie mu do głowy. Gdy posiedział parę minut w izbie przyjęć, wpadł w oko

młodej pielęgniarki, która zagadnęła go i podsunęła pewien pomysł.

- Czekasz na lekarza czy na pacjenta? - zapytała Manuela. Takie właśnie imię miała wypisane na szpitalnym identyfikatorze.

- Na pacjenta... - zaskoczyła go trochę nagłym pytaniem. Nie mógł przecież odpowiedzieć, że chodzi o lekarza. Musiał szybko wybrnąć z sytuacji. - Kolega jest chory. Leży tu na oddziale i umówiliśmy się, że zejdzie do mnie.

- Może go wywołać? Jak się nazywa? - próbowała pomóc.

- Nie trzeba. On ma ze sobą telefon komórkowy, więc zaraz do niego zadzwonię. Dam mu jeszcze kilkanaście minut. Może właśnie rozmawia z lekarzem, więc nie chcę przeszkadzać.

- A jak nazywa się jego lekarz? - była nieustępliwa w swojej dociekliwości.

- Nie wiem, czy dobrze zapamiętałem - Vincent próbował grać na zwłokę, ale po jej minie szybko zorientował się, że seria pytań nieszybko się skończy, więc wymienił jedyne nazwisko, które znał: - Javier... Javier Gordon lub jakoś podobnie...

- Jeśli chodzi o doktora Gordona, to na pewno pana kolega nie jest teraz u niego. Doktor Javier Gordon - spojrzała wokół siebie, jakby chciała się upewnić, czy nikt inny nie słyszy - ma dzisiaj wolne. Gra w golfa i powiedział, żeby do niego nikt nie dzwonił. Wie pan, jak to jest z tymi golfistami. A pan też czasami grywa?

- Tak, czasami... - chciał już przerwać rozmowę, ale nagle wpadł na pomysł. - To lekarz może tak się w ciągu tygodnia urwać? A co z pacjentami? - zapytał i zrobił najbardziej uwodzicielską minę, na jaką było go w tamtej chwili stać.

- Przez jeden dzień nic się nie stanie, a doktor Gordon jest fanatykiem golfa. - Manuela przysiadła się do Vincenta i mówiąc kolejne zdanie, zniżyła nieco głos. - To już nie pierwszy raz, kiedy nasz doktor Gordon tak się urywa
 - powiedziała prawie szeptem. - Ale jest doskonała w tym, co robi, więc dyrekcja szpitala nie protestuje. Poza tym w takich przypadkach wykorzystuje przysługujący mu urlop
 - powiedziała podniesionym głosem. - Zatem wszystko jest jak najbardziej w porządku.

- A gdzie zwykle grywa? Ma jakieś ulubione miejsce?
 - zapytał jakby od niechcienia.

Dziś jest w klubie „Lagos de Palermo”. Zaczął z godzinę temu, więc na pewno nie odbierze telefonu przed piątą. A może nawet i później, bo po golfie zwykle je obiad w klubowej restauracji. Czy wywołać jednak pana kolegę?
 - zapytała równie nieoczekiwanie jak po raz pierwszy, gdy parę minut wcześniej Vincent zastanawiał się, jak zbliżyć się do Gordona. Teraz już wiedział.

Pytam, czy wywołać pana kolegę? Jak się nazywa?
 - wciąż nie dawała za wygraną.

Nie, dziękuje. Nie chcę robić zamieszania. Wyjdę przed szpital na papierosa i zadzwonię do niego. Miło było panią poznać - dodał jeszcze na zakończenie i skierował się w stronę drzwi wyjściowych.

Nie ma za co. Też miło mi się rozmawiało...
 - powiedziała Manuela właściwie już do pleców odchodzącego szybkim krokiem nieznanego, który wydał się jej bardzo przystojny. Popatrzyła jeszcze przez moment, jak wychodzi ze szpitala i wsiada do taksówki. Nawet nie zwróciła uwagi na to, że wcale nie zapalił papierosa i nie zadzwonił do kolegi.

Taksówka przemierzała dość wolno zatłoczone centrum Buenos Aires. Stolica Argentyny liczy ponad 13 milionów mieszkańców, a większość ma samochody. Trzeba sporo pokręcić kierownicą, zanim się gdziekolwiek dojedzie. Jest wprowadzono metro, ale nie obejmuje całego Wielkiego Buenos Aires. Linie A, B, D i E łączą centrum z zachodnimi i północnymi przedmieściami, natomiast linią C można poruszać się między dzielnicami Retiro i Constitución. Dlatego tylko część osób wybiera metro i ruch na ulicach panuje ogromny. Do tego zwyczajnie kierowców są bardzo oryginalne. Prawie żaden z nich nie używa kierunkowskazów, natomiast dźwięk klaksonów słychać ze wszystkich stron i o każdej porze dnia. Taksówkarzowi, który wioził Vincenta, nieobce były zachowania innych kierowców. On sam zresztą też co chwila łamał przepisy ruchu, aby szybciej się przesuwać. W to całe zamieszanie wplątana była również komunikacja miejska. W Buenos Aires jest blisko sto pięćdziesiąt linii autobusowych. Kolorowe pojazdy jeżdżą niemal jeden za drugim, stając na przystankach tylko tam, gdzie jakiś potencjalny pasażer czeka i macha ręką. Nawet taksówkarz nie wie, czy akurat autobus numer 84, jadący na lewym pasie, nie skręci zaraz w prawo przed jego maską, aby zabrać pasażera. Kierowca Vincenta musiał uważnie się rozglądać, żeby mieć wszystko pod kontrolą. Jechali właśnie jezdnią z szesnastoma pasami ruchu - nie licząc dodatkowych dwóch po każdej stronie, za wysepkami zieleni - szeroką na jakieś 130 metrów. Była to Avenida 9 de Julio, z dumą przez Argentyńczyków nazywana najszerszą ulicą świata. Vincent spokojnie rozglądał się po okolicy. Wiedział, że jest jeszcze sporo czasu i na pewno zdąży, nawet jeśli

trafią na korek. Jednak mimo dużego ruchu, posuwali się całkiem sprawnie. Wreszcie wjechali w rejony nieco mniej zabudowane i taksówkarz wkrótce skręcił w prawo na spory parking przed niskim, oszklonym budynkiem. Z wejściem do klubu „Lagos de Palermo” nie było żadnych problemów, ale Vincent miał przygotowany banknot o kuszącym nominale, na wypadek gdyby ktoś zapytał go o kartę członkowską. Mijała właśnie czwarta, więc prawdopodobnie niedługo Gordon zakończy partię i przyjdzie do restauracji.

Vincent wybrał stolik z widokiem na pole golfowe i zamówił chivas regal z lodem. Przez okno widać było olbrzymi zielony teren, przystrojony tu i ówdzie drzewami i krzakami. W różnych miejscach na polu znajdowały się owalne piaszczyste przeszkody, mające uatrakcyjnić sportową rywalizację. Nie brakowało też niewielkich sadzawek, będących zmorem golfistów i dlatego omijanych przez każdego z nich z daleka. Właśnie jakaś kobieta rozpoczęła rozgrywkę, uderzając mocno piłkę, która poszybowała ponad przeszkodami i upadła niedaleko dołka. Rywal golfistki klasnął trzy razy w dłonie na dowód uznania, a następnie ustawił pieczołowicie swoją piłkę na podpórcie. Vincent jednak nie zobaczył, jak mężczyzna poradzi sobie z uderzeniem, bo akurat w tym momencie Javier Gordon ukazał się w drzwiach restauracji. W pierwszej chwili zatrzymał się, jakby spodziewał się spotkać kogoś znajomego. Rozejrzał się po sali, a gdy kelner na jego widok wypowiedział sakramentalne „Buenos dias, señor Gordon”, skinął uprzejmie głową i usiadł przy stole niedaleko baru. Do karty nie musiał zaglądać. Kelnerzy wiedzieli, co akurat ten klient zwykł jadać po kilkugodzinnej partii golfa. Javier wygodnie oparł plecy o oparcie krzesła i przywołał w myślach ostatnie dwa dołki, które zadecydowały o jego

zwycięstwie. Uwielbiał wygrywać, ale nie to było najważniejsze. Pasjonowała go przede wszystkim sama gra i mógłby tu przyjeżdżać niemal codziennie, gdyby nie obowiązki zawodowe. Od razu po studiach znalazł etat w szpitalu, gdzie pracował już prawie pięć lat. Nie zdążył jednak założyć własnej praktyki, więc nie było mowy o wysokich dochodach. Na szczęście w „Lagos de Palermo” ceny były na jego kieszeń. Posiłki też nie wydawały się najdroższe, zwłaszcza w porównaniu z cenami w restauracjach bliżej centrum. Dlatego lubił tu spędzać czas, kiedy tylko udawało mu się zorganizować zastępstwo w szpitalu. Gdy tak siedział, rozmyślając i rozkoszując się sportowym triumfem, usłyszał nagle czyjeś słowa.

- Dzień dobry, panie Sanchez.

Stał nad nim Vincent. W wyciągniętej do niego lewej dłoni trzymał książkę, a w prawej miał długopis, który też starał się mu wręczyć.

Zaskoczony Javier uniósł się i skinął głową. Tymczasem nieznanym mówił dalej:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale moja żona uwielbia pana reportaże. Przed przyjściem do klubu kupiłem właśnie pana książkę, żeby jej dać na urodziny. To właśnie dzisiaj. I nagle widzę tu pana. Co za zbieg okoliczności!

Javier otrząsnął się z osłupienia i wyciągnął przed siebie obydwie ręce, jakby starał się coś od siebie odepchnąć.

- To jakaś pomyłka. Bierze mnie pan za kogoś innego. Nie nazywam się Sanchez.

- To nie pan? Ale przecież jest na książce pana, to znaczy Raula Sancheza, zdjęcie i jest pan do niego ładnie podobny.

Javier parę razy widział Sancheza w telewizji, ale jakoś nie zwrócił uwagi na podobieństwo. Teraz zaczął przyglądać się fotografii z tylnej strony okładki i musiał przyznać

nieznajomemu rację. Może włosy autora były trochę inaczej zaczesane i wyglądał nieco poważniej od niego, ale rzeczywiście podobieństwo było. Gdyby jeszcze znany dziennikarz nie miał wąsów, to naprawdę ktoś mógłby pomyśleć, że on i Sanchez to bliźniacy.

- Tak, istotnie - powiedział Javier, wpatrzony nadal w fotografię Raula Sancheza widniejącą na okładce książki, którą wziął od nieznajomego. Zaraz jednak mu ją zwrócił, dodając: - Rzeczywiście mógł się pan pomylić, panie...

- Marlon Diaz. Przepraszam, że od razu się nie przedstawiłem.

- Javier Gordon, miło mi. Pan też grywa, czy tylko jest tu na obiedzie? Muszę przyznać, że nie widziałem pana wcześniej w klubie.

- Gram zwykle w „Jose Jurado”. Chciałem się tylko trochę rozejrzeć. Niedawno zmieniłem mieszkanie i teraz do „Lagos de Palermo” mam bliżej. Rozumiem, że zna pan dobrze ten klub, więc może mi pan powie, czy warto się przenieść.

Javier był w siódmym niebie. Lubił rozmawiać o golfie, a jeszcze bardziej służyć radami.

- Może dosiadzie się pan i zjemy razem? - zaproponował.

- Chętnie - zgodził się Vincent i zajął miejsce przy stole.

Jeśli lubi pan trudniejsze pola, gdzie niektóre dołki są ukryte po bokach, to „Lagos de Palermo” jest świetnym miejscem. Rozciąga się na powierzchni dwudziestu dwóch hektarów, a więc jest całkiem spory. No i to doskonałe położenie. Wprowadzie klub „Jose Jurado” znam tylko ze słyszenia, ale z tym - pokazał na okno, przez które można było obejrzeć malowniczą zieloną panoramę pola - trudno byłoby mi się rozstać.

—Dawno pan gra? - zapytał Vincent.

—Dopiero kilka lat. Zacząłem na studiach i od razu połączyłem bakcyła. Dawniej pasjonowałem się piłką nożną. Chyba jeszcze nawet nie chodziłem do szkoły, kiedy moim idolem został Maradona. Jednak to nie to samo. Żyję wprawdzie w kraju, gdzie króluje piłka, a moi dziadkowie pochodzą z Europy. Tam przecież też ta dyscyplina sportu to potęga. Wybrałem jednak golf.

—Wspomniał pan o europejskich korzeniach - podtrzymał rodzinny wątek Vincent. - Ja też mam przodków stamtąd. Dokładnie z Włoch. A gdzie ma korzenie pańska rodzina?

—Rodzice mojej matki pochodzą z Polski. Po wojnie znaleźli się w Londynie i tam się pobrali. Przyjechali do Argentyny, kiedy moja matka była jeszcze dzieckiem, czyli dawno temu.

—O Polsce sporo słyszałem - podchwycił temat Vincent. - Ciekawy kraj. To tam zaczęły się wielkie europejskie przemiany. Na pewno wie pan wszystko lepiej ode mnie. Kiedy był pan ostatnio w Polsce?

—Wstyd się przyznać, ale jeszcze nigdy tam nie byłem. Jakoś nie miałem okazji.

—Najwyższa pora, aby odrobić zaległości.

-Nie wiem, czy mi się to w najbliższym czasie uda. Zniechęcają mnie wysokie koszty takiej wyprawy - przeloty, hotele... Byłem kiedyś w Hiszpanii, jeszcze za czasów studenckich, ale mieszkalem u kolegi, więc nie musiałem dużo wydawać. Poza tym jeśli miałbym w ogóle jechać do Europy, to chętnie odwiedziłbym nie tylko Polskę. Marzę o Londynie... Przeszedłbym się po słynnej zebrze na Abbey Road, znanej z okładki albumu Beatlesów. Pociąga mnie też

Paryż. Prawdopodobnie co drugi mieszkaniec tej półkuli chciałby obejrzeć stolicę Francji ze szczytu wieży Eiffla.

- Chyba mógłbym pomóc. Mój znajomy w przyszłym tygodniu miał jechać właśnie do Polski i już dawno kupił bilet, więc bardzo tanio. Ma tam jakieś kontakty handlowe. Do tego wybrał połączenie przez Paryż, aby wejść na wieżę Eiffla i na własne oczy zobaczyć plac Pigalle. To właśnie jeden z tych, których fascynuje Europa. Niestety, tydzień temu złamał nogę i musi wyjazd przełożyć. Nawet dał mi swój bilet i powiedział, żebym wszystko odwołał, bo nie ma teraz głowy do załatwiania takich spraw. Mogę go odsprzedać panu za 1150 peso. To tylko połączenie z Paryżem, ale w dwie strony. Prawda, że świetna cena? Do Warszawy najlepiej kupić bilet już na miejscu. Jeśli samolot będzie za drogi, to można pojechać pociągiem lub autobusem.

Już parę lat minęło od hiszpańskiej eskapady Javiera, więc nie wiedział, ile teraz może kosztować przelot do Europy. Podana jednak przez jego rozmówcę cena biletu do Paryża istotnie wydawała się niska.

- To rzeczywiście okazja, ale nie wiem, czy będę mógł wszystko w pracy tak zorganizować, że wytrzymają beze mnie dwa tygodnie. Oczywiście zapytam jutro i dam panu znać. Oto moja wizytówka. Proszę do mnie mówić Javier. W końcu golfiści muszą trzymać się razem.

- Dziękuję. Mam na imię Marlon. Proszę, tu jest mój numer - Vincent napisał go na serwetce. - Zadzwoń do mnie jutro przed czwartą, jeśli się zdecydujesz.

- Dobrze. Chyba już nawet rano będę coś wiedział. Porozmawiam tylko z moim szefem. Może coś wreszcie zamówimy? - Javier spojrział w kierunku kelnera, a ten natychmiast podszedł do stolika.

—Dla mnie to, co zwykle.

—Oczywiście, panie Gordon. A dla pana? - kelner zwrócił się w stronę Vincenta.

—Nic. Dziękuję. Przy tamtym stoliku piłem chivas regal. Mogę u pana zapłacić?

—Tak. Zaraz przyniosę rachunek.

Gdy kelner oddalił się, Vincent spojrział na zegarek.

—Późno się zrobiło, a muszę jeszcze wpaść do mojego biura.

—To nie czekaj na kelnera. Ja zapłacę za twoją whiskey. W końcu może dzięki tobie odwiedzę znów Europę.

—Dziękuję. Rzeczywiście czas mnie goni - mówiąc te słowa, Vincent wstał i obszedł stół, aby się pożegnać. Javier też się uniósł i uścisnęli sobie ręce, po czym Vincent ruszył w kierunku wyjścia. Javier patrzył za nim jeszcze przez moment, po czym usiadł, zatopił się w myślach o Paryżu i Polsce. Chociaż czekała go przeprawa z ordynatorem, to już wiedział, że pojedzie. Nazajutrz potwierdził to Marlonowi. Spotkali się w biurze podróży, a później wypili razem kawę w pobliskiej kafejce. Wtedy to Marlon opowiedział o swoim ulubionym paryskim hotelu. Nazywał się „Armstrong Paris”.

Marilena właśnie dojeżdżała do kolejnych świateł. Akurat zmieniały się na żółte, więc miała nadzieję, że uda się jej przejechać skrzyżowanie. Tymczasem zanim jeszcze zapalił się kolor czerwony, samochód jadący przed nią stanął w miejscu jak wryty. O mało co nie uderzyła zderzakiem w jego bagażnik. W ostatniej chwili wcisnęła hamulec. Rozległ się pisk, a jej peugeot zatrzymał się kilka

centymetrów za białą vectrą. „Na pewno jakaś baba”
- Marilena zakłęta pod nosem. Okazało się jednak, że za kierownicą siedział mężczyzna. „No tak, nawet faceci nie mają ikry. Nic dziwnego, że Paryż o tej porze jest całkowicie zakorkowany”. Z daleka dojrzała, że mężczyzna z vectry patrzy na jej odbicie w przednim lusterku swojego auta, więc rozłożyła ostentacyjnie ręce w geście dezaprobaty. Miała ostry temperament i lubiła być w ciągłym ruchu, a wszelkie przeszkody - nawet jeśli był nią przesadnie ostrożny kierowca - działały jej na nerwy. Gdy trzeba było zająć się pracą, robiła to z całkowitym zaangażowaniem. Jeśli pojawiła się jakaś okazja na korzystną zmianę, to była pierwsza, która z takiej okazji próbowała skorzystać. Trzeba przyznać, że na ogół jej się to udawało. Raczej nie zważała na innych. Nie byli jej potrzebni. Ze swoimi współpracownikami starała się utrzymywać stosunki jak najbardziej poprawne. Poza pracą jednak nie angażowała się w przyjaźnie. Nawet w kontaktach z mężczyznami utrzymywała dystans. Gdy było jej to na rękę, to dlaczego nie - zalotne spojrzenia, romantyczne wieczory przy świecach i upojne noce. Kiedy jednak miała już dość, to przerywała przygodę równie szybko, jak ją zaczynała. A tak w ogóle to imponowało jej wszystko, co można było kupić za pieniądze. Nie chodziło tylko o modną garderobę, biżuterię czy nowoczesne samochody, chociaż ekskluzywne towary niewątpliwie miały dla niej znaczenie, ale o życie w dostatku, bez potrzeby zastanawiania się nad jego ceną. Rachunek bankowy z co najmniej sześciocyfrową kwotą i dużo wolnego czasu - tego było jej potrzeba. Spędzałyby wówczas całe tygodnie - ba, nawet miesiące
- gdzieś daleko od miejskiego tłoku i codziennych kłopotów, w jakimś luksusowym miejscu, popijając ulubione drinki.

Z błęgiego zamyślenia wyrwał ją dźwięk klaksonu. Spojrzała na zielone światło, które widocznie paliło się dłużej, bo pojazdy za nią trąbiły coraz głośniejsze. - „Już jadę! - krzyknęła, włączając jedynekę i zwalniając sprzęgło. - Najpierw nikt się nie śpieszy, a raptem wszyscy się budzą. Teraz sami widzicie, jak to jest, gdy ktoś opóźnia ruch... - wycedziła, widząc w lusterku, że samochód znajdujący się za nią nie zdążył przejechać skrzyżowania”. Humor jej się poprawił, zwłaszcza że za kółkiem auta, które zatrzymało czerwone światło, siedział mężczyzna. Poza tym wiedziała, że hotel „Armstrong Paris” jest już niedaleko.

Higgins siedział za biurkiem i rozkoszował się zapachem cygarowego dymu. Sprawiał wrażenie mężczyzny sześćdziesięcioletniego, choć jego zadbany wygląd mógł ujmować przynajmniej pięć lat. Ubrany był w sportową jasnoszarą marynarkę, spod której wyglądała czarna, rozpięta przy szyi, koszula. Miał siwe włosy z czarnymi odrostami, a więc na pewno musiał je farbować. Były elegancko zaczesane do tyłu za uszami i załamywały się w artystycznym nieładzie na kołnierzu. Linie jego brwi oraz oczu przebiegały niemal idealnie poziomo i równoległe do siebie. Między prostym nosem i ustami oraz na brodzie widoczny był zadbany, siwy zarost, za to skóra na jędrnych policzkach zapewne regularnie odżywiana drogimi kremami - była starannie ogolona. Jak na mężczyznę w tym wieku wyglądał wręcz znakomicie. Ktoś mógłby przypuszczać, że Brian Higgins wygrał los na loterii, dzięki któremu żył bezstresowo i dlatego czas nie wycisnął na nim swojego piętna. Tymczasem nic bardziej mylnego. Wprawdzie nigdy nie

pracował na etacie, jednak zanim doszedł do eksponowanej pozycji w przestępczej hierarchii, miał się rozmaitych zajęć. Jego rodzice prowadzili piekarnię pod Londynem i marzyli o tym, aby ich syn zdobył w życiu lepszą niż oni pozycję. Wyobrażali go sobie jako prawnika renomowanej kancelarii lub rozchwytywanego inżyniera. Młody Higgins nie podzielał ich ambicji, chociaż nawet ukończył średnią szkołę techniczną i dostał się na studia. Jego nauka nie potrwała jednak długo. Już po drugim roku oddał się zajęciu bliższemu własnym zamiłowaniom. Zaczął jako drobny złodziejasek, wrywający roztargnionym kobietom torebki. Skoro udało mu się uniknąć wpadki, szybko przeszedł do innych form przestępczej działalności. Bywało - zwłaszcza zanim skończył trzydzieści lat - że gdzieś złapał stałą posadę, jednak traktował ją jako odskocznnię do tego, w czym czuł się najlepiej. Kiedy drobne kradzieże przestały wystarczać na kosztowniejsze z każdym rokiem zachcianki, stopniowo przerzucał się na zajęcia bardziej skomplikowane i - zarazem - znacznie ryzykowniejsze. Niestety, miał pecha. Jedna z prób przemytu narkotyków zaprowadziła go na rok za kratki. Może skończyłoby się wyrokiem w zawieszeniu, gdyby nie pokaźna ilość nielegalnego towaru. Co prawda - jak mówią w branży - rok nie wyrok, ale akurat ten dał trzydziestodwuletniemu skazańcowi wyjątkowo w kość. Mimo że wiedział, jak się poruszać wśród kolegów po fachu, jednak jeszcze wtedy nie zdążył zadbać o „narzędzia przetrwania", a więc o mocne mięśnie oraz umiejętność posługiwania się pięściami. Dlatego był wykorzystywany przez współwięźniów na rozmaite sposoby i na długo zapamiętał pierwszą odsiadkę. Faktem jest, że równie dobrze zapamiętał swoich oprawców. Gdy wyszedł, od razu zapisał się na lekcje boksu, a między treningami odwiedzał klawisza,

który informował go na bieżąco o życiu więziennym. Równocześnie rozwijał działalność przemytniczą i to na znacznie większą skalę niż przed pierwszą wpadką. Jednak od narkotyków trzymał się z daleka. Mocno się sparzył, więc uraz pozostał. Towarów nie brakowało - alkohol, biżuteria, dzieła sztuki. Nawet fałszywe banknoty nie musiały długo czekać na nabywców. W miarę jak Higgins - choć wtedy jeszcze znany był pod innym, prawdziwym, nazwiskiem - stawał się coraz sprawniejszy fizycznie, rosły jego dochody oraz kontakty w kryminalnym półświatku. Tymczasem co rusz któryś z jego byłych więziennych oprawców robił sobie krzywdę w celi lub przewracał się na wybiegu i nieszczęśliwie wpadał wprost na wbite w murawę ostre przedmioty. Część takich wypadków skończyła się nawet śmiertelnie. Najgorzej mieli ci, którzy wychodzili na wolność. Wprawdzie nie wszyscy lądowali martwi na śmietniku, ale na ogół długo musieli leczyć złamania i rany. Gdy w wieku czterdziestu dziewięciu lat Higginsowi trafił się drugi wyrok, odsiadywał go już jako postać powszechnie szanowana przez innych skazańców i całkowicie nietykalna. To on dyktował przez cztery lata za kratkami warunki, i to nawet więziennym strażnikom. Kiedy odzyskał wolność, postanowił całkowicie zmienić metody działania. Wtedy właśnie umarł Don Warner - bo takie nazwisko figurowało w jego metryce - a narodził się Brian Higgins. Nowe dokumenty i parę zabiegów chirurga plastycznego zrobiły swoje. Przyszła pora na nowe wyzwania i coraz poważniejsze przedsięwzięcia. Aż wreszcie - gdy pierwsze oznaki zbliżającej się starości kazały coraz mocniej zastanawiać się nad zgromadzeniem jakiegoś większego kapitału na przestępczą emeryturę - pojawiła się propozycja, która mogła zabezpieczyć jego finansową przyszłość na wiele lat, może nawet do końca życia. Dlatego bez wahania ją

przyjął. Jednym z pierwszych zadań, które na niego spadły w związku z objęciem nowej funkcji, był zakup ekskluzywnej willi na przedmieściach Paryża. Do roli służącego i zarazem pomocnika do wszystkiego idealnie pasował były narkoman i kieszonkowiec, którego Higgins poznał podczas swojej drugiej odsiadki. Na imię miał Jacques. Do więzienia trafił za gwałt, chociaż przez cały czas twierdził, że dziewczyna sama się prosiła. Niestety, nawet adwokat z urzędu nie do końca uwierzył w wersję klienta, bo sprawa zakończyła się wyrokiem skazującym. Na szczęście dla Jacques'a wyrok nie był surowy. Za to współwięźniowie

- wręcz przeciwnie. Gdy rozeszła się wieść, że „nowy” jest ćpunem, to starzy skazańcy zaczęli ustawiać się w kolejce, aby się z nim - a dokładniej nim - zabawić. Niechybnie spotkałaby go taka sama więzienna niedola jak młodego Dona Warnera, gdyby nie Higgins, który nie dopuścił do tego, aby Jacques podzielił jego los. Wziął go pod swoją opiekę, więc chętni do sadystycznych zabaw musieli ostudzić swoje zapędy. Na wolność Higgins i Jacques wyszli niemal równocześnie, jednak długo nie utrzymywali żadnego kontaktu. Dopiero jak Higgins - całkowicie przypadkiem - dowiedział się, że Jacques - podobnie jak kiedyś on - zaczyna coraz lepiej radzić sobie z nielegalnym przetrzymywaniem rozmaitych towarów przez granice, postanowił odświeżyć znajomość z byłym współwięźniem. Akurat właśnie wtedy otrzymał intratną propozycję, która miała go na dobre zabezpieczyć, i rozglądał się za zaufanym pomocnikiem. Mógł zaproponować astronomiczne wręcz wynagrodzenie, więc Jacques niemal z dnia na dzień wycofał się z przemytniczego rynku i zamieszkał w willi Higginsa. Trzeba było nad nim trochę popracować i nauczyć nosić

garnitur, ale Higgins wiedział, że będzie miał w nim zaufanego współpracownika. I nie pomylił się.

Poranne słońce rozświetlało olbrzymi pokój. Znać było w nim rękę dekoratora wnętrz. Wszystko rozplanowano niezwykle starannie do ostatniego szczegółu. Potężne ekskluzywne biurko było tak ustawione, że Higgins miał za plecami szerokie okno z widokiem na zadbane ogródek. Przed biurkiem stał podłużny stół konferencyjny z ośmioma krzesłami - po trzy z dwóch dłuższych boków i po jednym na szczytach. Jedna ściana była zabudowana półkami, które ugiwały się od książek. Pod ścianą po drugiej stronie pokoju stał niski okrągły stolik, otoczony trzema obrotowymi - i na oko wygodnymi - skórzanymi fotelami. Higgins zgasił cygaro i wziął do ręki poranną gazetę. Przejrzał najpierw tytuły z pierwszej strony, a następnie zaczął szukać wiadomości giełdowych. Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody mężczyzna w czarnym garniturze. Nic nie powiedział, tylko patrzył na Higginsa, czekając, aż go zauważy.

- Słucham, Jacques - powiedział wreszcie Higgins, podnosząc wzrok znad gazety.

- Przyszedł Alain Ferron. Czy może wejść?

- Oczywiście, zapytaj czego się napije.

Jacques zniknął za drzwiami. W tym czasie Higgins odłożył gazetę i zapalił kolejne cygaro. Gdy wciągnął do ust aromatyczny dym, do pokoju wszedł krótko ostrzyżony blondyn o krępej figurze i zdecydowanych ruchach.

- Witam, Alain. Świetna robota! - Higgins położył cygaro na popielnicze i wyszedł zza biurka. Ruszył w stronę gościa, wyciągając na powitanie rękę. Alain Ferron odpowiedział mocnym, energicznym uściskiem. Pochwała ze strony mocodawcy miała dla niego znaczenie, choć tak naprawdę

nikt nie musiał mu mówić, że jest dobry. Fachu nauczył się w wojsku, odbywając służbę w oddziale saperów. Był elektrykiem z wykształcenia, więc myślał początkowo o łączności, ale akurat wszystkie miejsca były zajęte. „Niech będą saperzy” - odpowiedział, gdy powiadomiono go o sytuacji. Zanim rozbroił pierwszą minę oczywiście taką, która nikomu krzywdy nie była w stanie zrobić, najwyżej groziła złą oceną u przełożonego - poznał z podręczników tajemnice pirotechniki. Dowiedział się, skąd się biorą właściwości wybuchowe pewnych materiałów. Okazało się to dużo mniej skomplikowane, niż mogło się wydawać. Otóż podczas gwałtownego spalania wydzielają się znaczne ilości energii. Żeby spalanie spowodowało eksplozję, potrzeba dużej porcji tlenu. Dlatego w skład materiałów wybuchowych wchodzi substancje bogate w tlen, a takie są rozmaite związki azotu. Żeby zainicjować proces wybuchu, wystarczy te materiały uaktywnić. Do tego służą zapalniki umieszczone w detonatorach. Gdy niewielka energia wzbudzona w detonatorze dotrze do materiału właściwego, wywołana zostaje inna, znacznie potężniejsza, która - wydzielając się - powoduje eksplozję. Towarzyszy jej gwałtowna emisja gazów. Ponieważ są one uwięzione w małej objętości korpusu bomby, wzrasta gwałtownie ich ciśnienie. Następuje huk, błysk, a powstała energia rozrywa korpus i niszczy wszystko, co znajduje się w pobliżu. Ferron dowiedział się też, od czego zależy siła rażenia i jak ją mierzyć. Po odbyciu służby zaczął na własną rękę rozwijać pirotechniczne zainteresowania. Poznawał dokładnie właściwości materiałów wybuchowych i budował rozmaite, czasami wyjątkowo oryginalne, korpusy do bomb. Z kolei swoją wiedzę elektrotechniczną, wyniesioną ze szkoły, wykorzystywał do

opracowania pomysłowych i - co najważniejsze - skutecznych detonatorów.

-Siadaj! - powiedział Higgins do gościa i wskazał na fotel przy okrągłym stoliku. - Rozumiem, że nie było komplikacji...

-Nie, żadnych. Materiał wybuchowy podłożyłem podczas popołudniowego seansu. Taki, żeby nie narobić zbytniego zamieszania. Zgodnie z pana życzeniem.

- W. telewizji nie wyglądało to tak łagodnie - Higgins lekko się uśmiechnął - ale przecież już nic na to nie poradzimy. Prawda?

-Jeśli coś nie pasuje, to oczywiście może pan potrącić z mojego honorarium - zaproponował Ferron.

-Nie ma sprawy...

Do pokoju wszedł Jacques i postawił przed gościem filiżankę z kawą.

- Dla mnie amerykańską z mlekiem! - krzyknął Higgins, gdy Jacques już zdążył odwrócić się w kierunku drzwi. - Ale nie teraz, tylko za jakiś kwadrans.

- Tak jest, proszę pana - Jacques skinął głową i dyskretnie opuścił pokój.

Higgins wrócił do biurka i wyjął z szuflady żółtą kopertę, a następnie rzucił ją na okrągły stół.

-Tak jak się umówiliśmy - powiedział do Ferrona, wracając na swoje miejsce. - Możesz przeliczyć.

- Nie ma potrzeby, panie Higgins - Ferron zaczął wkładać pieniądze do lewej wewnętrznej kieszeni marynarki, ale przeszkodziła mu kabura z pistoletem, więc ostatecznie wepchnął z trudem kopertę do prawej kieszeni szerokich spodni. Trochę wystawała i ograniczała ruchy, ale nie przejął się tym. - Czy ma pan dla mnie jakieś kolejne zajęcie?

- Oczywiście. Czy kiedyś narażałem cię na nudę? - zapytał Higgins, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Przy panu nigdy na brak zajęć nie narzekałem - zgodził się gość.

- Chciałbym, abyś kogoś zawiózł do Polski. Byłeś tam kiedyś? - Higgins przerwał na moment, a gdy Ferron nie zareagował, kontynuował wypowiedź. - Smutny kraj, taki trochę szary, ale ludzie przebojowi, z pomysłem. Sporo się dzieje. W ciągu kilkunastu lat nastąpiły olbrzymie zmiany. Takie, jakie u nas zachodziły na przestrzeni dziesięcioleci. Twój pasażer nazywa się Javier Gordon.

- Hiszpan? Znałem kiedyś prawnika z Madrytu o tym imieniu - Ferron chciał pochwalić się swoją erudycją.

- Nie, Argentyńczyk, ale rodzice jego matki pochodzą z Polski. Poczytaj trochę o tym kraju, to łatwiej będzie wam się dogadać. On jeszcze nigdy nie był w Polsce. Nie ma tam nikogo, więc sędzę, że poczuje się pewniej w towarzystwie kompana do zwiedzania. Zwłaszcza jeśli ten kompan będzie to i owo wiedział o Polsce.

- Mam go tylko zawieźć? A co potem? - Ferron nie sądził, aby Higgins nagle zainteresował się organizacją wyjazdów turystycznych.

- Na razie tylko to. Zarezerwuj hotel w Warszawie. Najlepiej „Sheraton”. Jak się spotkacie, to wmów mu, że tam już byłeś i że to jest najlepsze rozwiązanie. Powiedz, że cena może trochę wygórowana, ale w centrum i tak dalej... Kiedy zajedziecie, to zadzwoń i podaj szczegóły - numer pokoju, opis samochodu, o ile jakiś wynajmie... Słowem wszystko, co niezbędne.

- A co mu powiedzieć na temat celu mojej wizyty w Polsce?

- Coś wymyśl, byle realnego. Na przykład, że chcesz tam inwestować i robisz rozpoznanie. Teraz Polska jest w Unii, więc chętnych do rozkręcenia tam biznesu nie brakuje. Zresztą on jest lekarzem, więc chyba mało się zna na ekonomii. Prawdopodobnie możesz mu wszystko wcisnąć. Liczę na twoją pomysłowość. Tylko nie przeholuj. Javier Gordon to na pewno nie jakiś półgłówek. Im mniej będziesz fantazjował, tym lepiej.

- Mam się go cały czas trzymać? Na jak długo zaplanować pobyt? - Ferron nie chciał o niczym zapomnieć. W końcu to dzięki Higginsowi dorobił się kilku samochodów i willi w Bretanii.

-Jakieś trzy-cztery dni. Nie więcej. Dalsze instrukcje otrzymasz bezpośrednio ode mnie lub od kogoś na miejscu. Jeszcze jakieś pytania? Jutro powiem ci, o której wyjeżdżacie i skąd go odbierzesz.

Jacques wniósł filiżankę i postawił ją przed Higginsem. Ferron wiedział, że właśnie minął zapowiedziany kwadrans' i należy się grzecznie oddalić. Gdy wstawał z miejsca, Higgins jeszcze raz zwrócił się do niego stanowczym, wojskowym tonem:

- Dwadzieścia tysięcy euro za te trzy dni plus koszty. Jeśli coś ci zlecę, jak będziesz na miejscu, to płatne dodatkowo. Twój cennik bez zmian?

- Oczywiście, panie Higgins. Wszystko po staremu.

- Świetnie, żegnam!

Ferron wiedział, że to sygnał, aby natychmiast opuścić gospodarza. Zresztą Jacques stał już przy drzwiach i gestem ręki dawał mu znak, żeby szedł pierwszy. Skinął głową w kierunku Higginsa, który już powrócił do gazety i nie zwracał na niego uwagi. Szybkim krokiem wyszedł

z pokoju, a za nim podążył Jacques, zatraskując za sobą drzwi.

„Czyżby znowu indeksy poszły w dół? Dobrze, że nie gram na giełdzie. Przy tak nieobliczalnym zachowaniu rynków towarowych moje aktualne zajęcie wydaje się znacznie bezpieczniejsze" - pomyślał Higgins, patrząc na kursy akcji, i z niesmakiem zaczął kartkować gazetę. Dopiero wrócił mu humor, gdy znalazł strony ze sportem.

Vincent wyjął z walizki szare spodnie, jasną marynarkę i czarny podkoszulek. Ułożył ubranie na poręczy fotela i usiadł w szlafroku do śniadania. Był szczupłym, wysokim mężczyzną o umięśnionej budowie. Wyglądał młodo jak na swoje trzydzieści siedem lat. Jedyne lekko przeredzone, ciemnobrązowe włosy i wysokie czoło zdradzały rzeczywisty wiek. Poza tym miał na każdym policzku dwie pionowe bruzdy mimiczne od częstego uśmiechania się. Wiedział, że czasami trzeba trochę poczarować, aby osiągnąć cel. Zwłaszcza podczas powitania starał się pamiętać, aby spojrzeć w oczy i zrobić sympatyczną minę. Gdyby ktoś jednak dokładniej mu się przyjrzał w takich chwilach, dostrzegłby, że jego spojrzenie nie jest tak całkiem przyjazne, a uśmiech niewiele ma wspólnego z naturalnością. Poza momentami, kiedy oddawał się swojej pasji, którą była muzyka, był na ogół poważny i wyglądał raczej srogo. Miał twarz typowego twardziela, wzbudzającą zachwyt u kobiet. Mogła ona jednak wywołać lekki niepokój u mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy stanęliby mu na drodze. Gdy podniósł kubek i wypił pierwszy łyk kawy, otworzyły się drzwi sypialni i pojawiła się w nich smukła blondynka.

- Dla mnie też coś zamówiłeś? - spytała po włosku, widząc na stole tacę ze śniadaniem.

Vincent spojrział w jej kierunku i wskazał ręką drzwi na korytarz.

- Zmykaj - powiedział spokojnie, ale tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Dobrze, dobrze... - Już mnie nie ma - mruknęła pod nosem. - Pozwolisz mi się chociaż ubrać? Myślisz, że wzięłam na noc jakąś pierwszą lepszą? Ja mam klasę. Nie ze wszystkimi idę - mówiła, wkładając bieliznę, sukienkę i buty.

- Pieniądze znajdziesz na szafce przy wyjściu. Chyba wystarczy... - śledził wzrokiem, jak kobieta oddała się w kierunku wyjścia. Podniosła równo ułożone banknoty i spojrzała na Vincenta. Suma ją lekko zaskoczyła, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Zadzwoń, gdy znów będziesz w Rzymie - powiedziała z triumfalnym uśmiechem. - O śniadanie się nie gniewam. I tak zawsze rano pijam tylko sok pomidorowy...

Odczekała chwilę, ale nie odezwał się już do niej.

- No to miłego dnia, cześć! - rzuciła za siebie, wychodząc na korytarz.

Vincent dopił kawę, wstał i zadzwonił do recepcji.

- Dzień dobry, panie Allonzo. Czym możemy służyć? - usłyszał w słuchawce męski głos.

- Chciałbym wynająć samochód.

- Proszę chwilę zaczekać. Już pana łączę z biurem.

Przez moment w słuchawce popłynęła melodia „Dancing Queen”, po czym odezwała się kobieta.

- Dzień dobry. Jakiego samochodu życzy pan sobie, panie Allonzo? - zapytała.

- Chodzi mi o coś z większym bagażnikiem. Może jakieś volvo... Macie V 70?

- Na kiedy?

-Niedługo chciałbym wyjechać, więc im szybciej, tym lepiej.

- Sprawdzę, ale chyba jest. Formalności załatwi pan w recepcji, gdzie będą czekały kluczyki wraz z dokumentami. Samochód znajdzie pan na hotelowym parkingu za trzy-cztery godziny. Jak tylko nasz kierowca go podstawi, zadzwonię do pana.

- Wolałbym za dwie godziny.

- Będzie trudno, ale zrobię, co w mojej mocy. Proszę dokładnie wypełnić nasz formularz. Auto może pan zdać w jednym z naszych biur lub przedstawicielstw w całej Europie. Jesteśmy zawsze do usług - wyrecytowała jednym tchem.

- Dziękuję. Do widzenia - powiedział Vincent i odłożył słuchawkę. Nie był pewien, czy sieć przedstawicielstw firmy, od której właśnie wynajął samochód, obejmuje również Polskę, ale nie miało to w tej chwili znaczenia. Podszedł do stolika i wypił łyk kawy, która zdążyła już wystygnąć. Odstawił filiżankę i jeszcze raz podniósł słuchawkę, żeby połączyć się z restauracją.

- Proszę o kawę - powiedział, gdy usłyszał znajome „Dzień dobry, panie Allonzo”. - Koniecznie gorącą - dodał.

Marilena zatrzymała samochód przed hotelem „Armstrong Paris” i szybkim krokiem podeszła do drzwi wejściowych. Miała nadzieję, że Javier jeszcze z nikim się

nie skontaktował. Higgins byłby wściekły, gdyby policja się czegoś dowiedziała. Kilka razy nacisnęła przycisk przywołujący windę. W końcu drzwi się rozsunęły i weszła do kabiny. Jadąc w górę, wyjęła z torebki puderniczkę, ale nawet nie zdążyła jej otworzyć, gdy winda stanęła na pierwszym piętrze. Dopiero na korytarzu przejrzała się w lusterku i przypudrowała nos. Potem szybko odnalazła pokój nr 14 i zapukała trzy razy.

- Nareszcie! - wykrzyknął Javier, otwierając drzwi. - Myślałem, że gdzieś zginęłaś.

- Próbowałeś kiedyś przejechać samochodem przez centrum Paryża rano, gdy wszyscy jadą do pracy? zapytała, wchodząc do środka. - Chyba szybciej doszłabym tutaj pieszo. Masz może coś do picia? Umieram z pragnienia. Najlepiej coś z procentami - popatrzyła po pokoju, rozglądając się za butelką.

- Mam szkocką, ale po lód musiałbym zejść do restauracji. Może być sama? - mimo zdenerwowania zachował dżentelmeńskie manieri.

-Tak, tak... Ktoś kiedyś powiedział, że jakby trzeba było szkocką pić z lodem, to tak by ją sprzedawali. Albo nie... Może trochę za wcześnie na alkohol. Jednak samą wodę poproszę. Nalewaj! - rozkazała, wyciągając w kierunku Javiera szklanke, którą podniosła ze stolika.

Javier wyjął z lodówki butelkę perrier, otworzył ją i wlał zawartość do szklanki. Marilena łączywie wypila kilka łyków, po czym rozsiadła się w fotelu.

- Mówiłeś, że w kinie był wybuch. Co ty możesz mieć z tym wspólnego? - zapytała, odstawiając szklanke z resztką wody na stolik.

- Właśnie chciałem ciebie o to samo zapytać. Mówią, że ktoś podłożył bombę, a przed chwilą w telewizji pokazywali

portret pamięciowy zamachowca. Może nie było to idealne podobieństwo, ale wystarczające, żeby narobić mi kłopotów.

- To na pewno jakaś pomyłka - powiedziała Marilena.

- Porozmawiam z szefem „Towarzystwa”. Być może ktoś inny zorganizował zamach, a teraz chce odpowiedzialnością obciążyć nas. Zanim jednak to wyjaśnię, najlepiej będzie, jeśli zostaniesz w hotelu. Poczytaj przewodniki albo włącz sobie jakiś film. Mają tu jakiś hotelowy kanał „pay-per-view”?

-Tak, mają... Ale akurat wszystkie filmy widziałem w kinie.

- Pornosy też? - uśmiechnęła się zalotnie, ale gdy zobaczyła posępną minę Javiera, dodała. - No to pozostań przy przewodnikach albo zjedź po jakąś gazetę. Obok recepcji mają też książki. Ale się nigdzie nie ruszaj. Jeśli chcesz coś zjeść, to tylko w restauracji na dole. Wrócę wieczorem, jak się czegoś dowiem. Chciałbyś coś jeszcze ode mnie?

Zawahał się przez moment.

- Może zostałabyś trochę...? - zapytał, patrząc w okno.

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i wypila do końca wodę.

-Zawsze zastanawiałam się, jakie łóżka są w tych przytulnych hotelach - powiedziała, odstawiając szklanę.

- Ale nie mogę. Mam jeszcze sporo spraw po południu, więc muszę jechać.

- W takim razie pojedę z tobą.

-Nie wiem, czy to dobry pomysł. Mówiłeś o jakimś portrecie pamięciowym.

- Prawda. Może rzeczywiście tu zostanie...

- Chyba tak będzie lepiej - zawyrokowała Marilena, gdy jednak dostrzegła, że rozmaite myśli zaczynają Javierowi krążyć po głowie, zdecydowała, że lepiej będzie mieć go na

oku. — Dobrze, chodź. Pojedziemy do mnie i coś zamówimy do jedzenia.

Mieszkała blisko centrum, w starym, ale odnowionym, budynku. Jej apartament był na drugim piętrze. Gdy wyciągała klucze z zamka, potknęła się o próg. Javier złapał ją w ramiona, ratując przed upadkiem. Marilena odzyskała równowagę, jednak nie odsunęła się od niego. Wręcz przeciwnie - objęła go i pocałowała. Odwzajemnił pocałunek i wtulił się w jej pachnące ciało. Podczas następnego, tym razem już wspólnego, namiętogo pocałunku Marilena pchnęła prawą ręką drzwi, które zatrzęsły się za parą przygodnych kochanków. Javier nawet nie zdążył zapytać, dlaczego na drzwiach było nazwisko Louis Yimont.

Vincent zszedł do recepcji i uregulował rachunek. Kluczyki do samochodu już na niego czekały. Wypełnił formularz, o którym mówiła pracownica biura wynajmu, i położył go na ladzie wraz z okazałym napiwkem.

- Bardzo dziękuję, panie Allonzo. Życzę udanej podróży - wykrzyknął uradowany recepcjonista i przywołał ręką chłopca od noszenia walizek. Vincent wyszedł na parking, gdzie bez trudu odnalazł kremowe kombi. Kazał chłopcu wstawić walizki do bagażnika, włożył mu do ręki zwinięty banknot i usiadł za kierownicą. Na autostradzie nie było dużego ruchu, więc mógł dodać gazu, chociaż nie przesadzał z prędkością, żeby nie wpaść w oko policji drogowej. Papiery miał wprawdzie w porządku i wiedział, że pod tym względem jest całkowicie bezpieczny, ale lepiej nie ryzykować. Nigdy nie podejmował pochopnych kroków, a do takich zaliczał zachowanie, mogące zwrócić niepotrzebnie

czyjąś uwagę. Omijał najdroższe hotele, starał się nie jeździć zbyt luksusowymi samochodami i rzadko odwiedzał ekskluzywne restauracje. Jedynie podróżując samolotem, nie mógł sobie odmówić komfortu pierwszej klasy. Najlepsze też miał kobiety, choć tu nie miały znaczenia pieniądze. Lgnęły do niego jak pszczoły do kwitnących kwiatów. Nie mógł sobie jednak pozwolić na dłuższe związki, toteż najczęściej zadowalał się płatnymi cali girls.

Vincent urodził się w Stanach Zjednoczonych, w jednym z bostońskich szpitali. Swoich rodziców nigdy nie poznał. Nie dowiedział się też, dlaczego nie został adoptowany. Zresztą jakoś go to specjalnie nie interesowało. Czuł się dobrze w sierocińcu, wśród innych dzieci. Jeśli miał problem, to mógł się z nim zwrócić do opiekunek. Ale najlepiej radził sobie ze wszystkim sam, bez niczyjej pomocy. Musiał być samodzielny, bo nie miał okazji, aby się z kimś dłużej zaprzyjaźnić. Ciągłe był przenoszony z jednego domu do drugiego. W końcu stracił rachubę, ile ich było, i przestał się dziwić, gdy go informowano, że czeka go kolejna przeprowadzka. Do zawodu trafił przypadkiem. W czasach, gdy wychowywał się w sierocińcach, marzył o karierze prawnika. Jednak dla kogoś bez zamożnych rodziców lub stałych dochodów zawód taki był praktycznie nieosiągalny. Upór i determinacja czasami mogą czynić cuda. W szkole średniej Vincent wyróżniał się w nauce, więc koledzy często korzystali z jego pomocy. Nie minęło dużo czasu, a zdolny uczeń zaczął za swoje usługi żądać wynagrodzenia. Zaczęło się od jego ulubionych batonów i lodów, później przyszła kolej na modele samochodów, aż

wreszcie przedsiębiorczy gimnazjalista opracował cennik na poszczególne formy korepetycji. Najdrożej kosztowała pomoc przed egzaminami i gotowe prace z różnych przedmiotów. Na szczęście mniej zdolni lub leniwi uczniowie mieli na ogół bogatych rodziców, więc interes kręcił się pełną parą. Różne skrytki w pokoju Vincenta zapełniały się banknotami o coraz większych nominałach. Dzięki zdobytym w ten sposób zasobom finansowym stać go było na rozpoczęcie studiów. Czesne na Harvardzie było jednak wysokie, więc Vincent musiał jeszcze dorabiać jako barman w „Hard Rock Cafe”. Tam też jeden bogaty gość złożył mu propozycję kontraktu. Zaczęło się od żartu, a przynajmniej wydawało się, że to tylko zabawa. Klient wypił kilka kieliszków i zapytał Vincenta, co ma zrobić z kłopotliwym wspólnikiem, który na niczym się nie zna i tylko mąci w biznesie.

-Taki wspólnik nadaje się tylko do odstrzału - odparł Vincent, znudzony zaczepkami uciążliwego gościa.

- A może pan by to zrobił? - zapytał klient.

- Co mam zrobić? Zastrzelić pana wspólnika? Przecież tylko żartowałem. Niech pan już idzie do domu, bo za dużo pan wypił.

-Ale to całkiem dobry pomysł. Trach...! - tu mężczyzna wycelował palcem w stronę okna, a ruchem kciuka zamarkował uderzenie kurka w spłonkę - ...i po kłopotach.

Vincent odebrał słowa klienta jako majączenie w pijackim widzie i nawet odprowadził go do samochodu.

- Radzę się chwilę zdrzemnąć, zanim pan ruszy - poinstruował mężczyznę, zatrzasnąwszy drzwi.

Gdy jednak stał za barem i obsługiwał kolejnych klientów, tamta sprawa nie dawała mu spokoju. Faktycznie grubsza forsa by się przydała, a przecież i tak wspólnik tego faceta

był bezużyteczny. Nawet przeszkadzał w interesach. Vincent zdziwił się, że w ogóle się nad tym zastanawia. To był tylko żart. Studiował przecież prawo i był na drugim roku. Niemniej jednak dręczyły go od pewnego czasu problemy finansowe i opłacenie dalszych semestrów stało pod znakiem zapytania. Przyjąłby więc każdą pracę, no może prawie każdą. Jakież było jego zdziwienie, gdy wychodząc z „Hard Rock Cafe” spotkał przed lokalem tego samego mężczyznę, którego około północy posadził w samochodzie.

-To co pan na to? - zapytał prawie szeptem. Mimo że śmierdział alkoholem, wyglądał na trzeźwego. „Skorzystał z mojej rady i się przespał” - pomyślał Vincent.

- Teraz może pan już jechać do domu - powiedział stanowczo i skierował się w stronę przystanku autobusowego. Ale mężczyzna nie dawał za wygraną. Ruszył za Vincentem i kontynuował swoje rozumowanie.

- Płacę dziesięć tysięcy dolarów. Nie miał pan nigdy kontaktu z moim współnikiem, więc nikt pana z tą sprawą nie skojarzy. Czysty zarobek!

Vincent chciał się pozbyć marudnego klienta, ale wymieniona przez niego kwota nie dawała mu spokoju. Wszystkie problemy finansowe byłyby rozwiązane. A wątpliwości natury moralnej? W końcu to nie jego sprawa. „To ten, kto płaci, będzie miał nieboszczyka na sumieniu”. Vincent starał się sam sobie wytłumaczyć, dlaczego on, student prawa, w ogóle o czymś takim rozmawia. Zaraz jednak naszły go myśli zupełnie innej natury. „Prawdopodobnie, jeśli się nie zgodzę, facet pójdzie do kogoś innego”. Aż sam się zdziwił, że mógłby tego żałować.

- A tak tylko teoretycznie, jak miałbym to niby zrobić?

- Mój wspólnik ma duży dom z basenem, otoczonym drzewami. Za płotem zaczyna się las. Wystarczy wspiąć się z karabinem na drzewo, wycelować i już.

- „...i już”- powtórzył Vincent. - Tak po prostu?

- Oczywiście. Do tego ja załatwiam „czysty” karabin z celownikiem optycznym gratis. Później może pan z nim zrobić, co pan zechce. Połowę sumy płacę, jak tylko się pan zdecyduje, a drugą część, gdy będę miał pewność, że pozbyłem się kłopotliwego wspólnika.

- Żegnam pana. - Doszli właśnie do przystanku. Vincent nadal słuchał tego jak kryminalnej audycji radiowej. - Tu mam autobus - wskazał na tabliczkę z rozkładem odjazdów.

- Mogę pana gdzieś podrzucić.

-Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

- W takim razie proszę, oto moja wizytówka. Czekać na odpowiedź do jutra.

Mężczyzna wrócił do swojego samochodu, wsiadł i ruszył z piskiem opon. Nazywał się James Bradley. Na wizytówce nie było adresu, tylko numer telefonu. Właśnie nadjechał autobus, więc Vincent wspiął się po stopniach do środka i opadł na wolne krzesło. Po drodze do skromnego, wynajętego mieszkania, które dzielił ze studentem architektury, długo o wszystkim myślał, ale w końcu podjął decyzję. Jeszcze tego samego dnia zadzwonił do Bradleya i potwierdził, że się zgadza. To był właśnie ten pierwszy raz... Mógł wreszcie opłacić kolejne semestry nauki.

Studia prawnicze ukończył z wyróżnieniem, ale praca na stanowisku asystenta lokalnej kancelarii specjalnie go nie zainteresowała. Uwielbiał podróże, nocne kluby i atrakcyjne kobiety. Te ostatnie musiały być dobrze postawione, a więc zwykle były zameżne. Gdy jedna z nich, po upojnej nocy,

przypadkiem znalazła w jego szafie karabin, zaproponowała mu całkiem hojnie nagrodzoną misję w sprawie jej starzejącego się, bogatego męża. To był drugi raz. W sumie uzbierało się czternaście kontraktów. Vincent pamiętał wszystkie bardzo dokładnie. Nie miał jednak żadnych wyrzutów sumienia. To przecież nie on wyznaczał ofiary, a tylko realizował intencje zleceniodawców. Lubił nawet swoje zajęcie. Nie sam akt zabijania. Ten był odrażający. Vincent nie wiedział nic o układzie nerwowym organizmu ludzkiego, ale podejrzewał, że gdy kula wbija się w ciało, człowiek musi przeżywać męczarnie. Bywało, że ofiara już po pierwszym strzale padała bez ruchu i od razu traciła świadomość. Wówczas prawdopodobnie nie czuła ostrego, rozrywającego bólu, który przeszywał ciało i mącił zmysły. Zwykle jednak śmierć nie przychodziła tak szybko. Vincent często obserwował konwulsje ofiary, co oznaczało, że czuje ona i cierpi. Nie wiadomo, czy ma wtedy świadomość tego, co ją spotkało, ale nabój wbijający się w ciało, rozrywający narządy wewnętrzne i kruszący kości, zapewne przynosi ból nie do opisania. Wtedy Vincent natychmiast ponownie naciskał spust, aby skrócić męczarnie. Po drugim naboju ciało zwykle zastygało w bezruchu lub opadało na podłogę. Nie, to nie sam akt zabójstwa go pociągał. Wręcz wydawał mu się odrażający. Natomiast pociągał go proces planowania całego przedsięwzięcia. Czerpał również satysfakcję z realizacji poszczególnych etapów. Bawiło go wymyślanie kolejnych pseudonimów. Był bardzo odczytany i miał dziesiątki ulubionych książkowych postaci. Każda z nich mogła podsunąć mu nowy pomysł na imię lub nazwisko. Kopalnią pseudonimów byli też aktorzy, reżyserzy oraz inne znane osoby związane ze sztuką. Dlatego nawet jak był już po kilku drinkach i ktoś w barze przedstawił się, miał dla

niego zawsze gotową odpowiedź: „Jestem Jack Soprano” - informował swojego rozmówcę, albo „Lucas, James Lucas”. Umiał też świetnie wszystko zorganizować. Nie tylko sprawy związane z wyborem środków komunikacji oraz miejsc zakwaterowania, ale też dotyczące samego sposobu wypełnienia zadania. Tylko pierwszy zleceniodawca opisał mu, jak należy zrealizować kontrakt. Później Vincent już sam wszystko planował i na ogół był dumny z efektu. „Nikt inny tak nie potrafi” - chwalił sam siebie, gdy z ciepłym jeszcze od strzału karabinem wracał z miejsca zbrodni. Nic dziwnego, że zleceń nie brakowało.

Słońce zaczynało mocno przypiekać. Vincent zjechał z autostrady na boczną drogę. Prowadziła w głąb lasu, pośród urokliwych świerków. Po przejechaniu kilku kilometrów napotkał mały, opuszczony parking. Zatrzymał samochód, wysiadł i - upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu - otworzył bagażnik. Wyjął z niego zwój wyprawionych skór i rozwinął go na asfalcie. W środku znajdował się futerał z karabinem, zaopatrzonym w celownik optyczny. Był to fiński TRG-42, stosunkowo lekki, znany z niezawodności i sporego zasięgu. Strzelał nabojami .338 Lapua Magnum. Wprawdzie Vincenta stać było na rozmaite rusznikarskie cacka, jednak uznał, że TRG-42 będzie w sam raz. W końcu przy wadze 5,1 kilograma można nim oddać celny strzał na odległość 1600 metrów. Planując zmianę broni, Vincent myślał też o niemieckim DSR-1, który pojawił się na rynku w 2001 roku. Ten karabin również ma ciekawą konstrukcję. Wyposażony jest w tłumik płomieni, wykonany z tytanu, oraz w inne skomplikowane gadżety, chroniące strzelca. Ale

jak na narzędzie pracy, które trzeba nosić ze sobą, trochę za dużo waży. Ciężka lufa oraz inne części tego futurystycznego potwora z dwoma magazynkami, celownikiem i podpórką to niemal dziewięć kilogramów. Prawie tyle samo co dwa TRG-42. Vincent zastanawiał się też nad niemieckim PSG-1, uznawanym przez niektórych za najlepszy karabin snajperski, ale jest on - z pełnym oprzyrządowaniem - nawet o półtora kilograma cięższy od DSR-1. Dlatego wybrał - przynajmniej na razie - fińskiego „snajpera”. „Może w ten sposób uniknę na starość problemów z kręgosłupem” - uzasadnił swój wybór, zanim dokonał zakupu. Wcześniej posługiwał się rosyjskim, a właściwie radzieckim, karabinem SWD. To stary model, jeszcze z lat sześćdziesiątych, jednak mimo przestarzałej konstrukcji sprawdzał się nawet w trudnych warunkach. Ważył zaledwie 4,6 kilograma i mógł oddać celny strzał na odległość blisko dwóch tysięcy metrów. Krążyły słuchy, że posługiwano się nim skutecznie na znacznie większe odległości. Nawet nie kopał przy tym zbyt mocno. Szczególnie dobrze broń spisywała się z nabojami specjalnie dla niej przygotowywanymi, których mieściło się aż dziesięć w magazynku. Miały one jednak pewną wadę. Nie wszędzie można je było kupić. Gdy zatem Vincent nie dysponował nabojami specjalnymi, zadowalał się częściej spotykaną amunicją 7,62 mm x 54R. Ale i ona - gdy tylko cel znalazł się w optycznym celowniku PSO-1 - rzadko nie trafiała. Mimo jednak swoich zalet konstrukcja SWD zaczęła się wydawać Vincentowi przestarzała i dlatego skusił się na fiński wynalazek. Dopiero TRG-42 zaspokoił niemal wszystkie jego potrzeby, związane z uprawianym zawodem.

Robiło się coraz cieplej, a Vincent miał jeszcze sporo do zrobienia. Podniósł karabin, oparł kolbę o ramię i skierował lufę w stronę drzewa, oddalonego o jakieś dwieście

pięćdziesiąt metrów. Spojrzał przez celownik, obserwując gałęzie. Nagle zobaczył wiewiórkę, prawdopodobnie wracającą do swojej kryjówki po wędrówce w poszukiwaniu pożywienia. Wyregulował ostrość na jej sylwetce i nacisnął spust. Rozległ się metaliczny stuk świadczący o tym, że naboju nie było w komorze. Wtedy dopiero schował karabin do futerału, a cały pakunek umieścił w blaszanym płaskim pojemniku. Następnie wyjął z samochodu torbę z narzędziami i za pomocą lewarka podniósł samochód, jak to się robi przy wymianie koła. Kiedy było wystarczająco dużo miejsca, wsunął skóry pod samochód i położył się na nich na plecach, trzymając w ręku akumulatorową wiertarkę. Przymocowanie metalowego pojemnika z karabinem do podwozia zajęło zaledwie kilkanaście minut. Robił to nie pierwszy raz, więc praca nie sprawiała mu żadnej trudności. Gdy wszystko było na swoim miejscu, zwinął skóry i wrzucił je wraz z torbą na narzędzia z powrotem do bagażnika. Rozejrzał się po okolicy i na wszelki wypadek jeszcze raz zerknął pod karoserię samochodu. Był zadowolony z rezultatu. Strzepał z prawej nogawki piasek, który dostał się tam, gdy leżał pod samochodem, zamknął bagażnik i usiadł za kierownicą. Zanim włączył starter, wyjął ze schowka na rękawiczki puszkę heinekena i łąpczywie wypił zawartość. Ciepłe piwo nie smakowało najlepiej, ale musiało wystarczyć. Nocleg planował dopiero w Wiedniu i tam też zamierzał zjeść dobrą kolację. Słońce zdążyło już mocno rozgrzać wnętrze samochodu i wyglądało na to, że wieczór będzie upalny. Otarł pot z czoła, przekręcił kluczyk w stacyjce i wyregulował klimatyzację. Po chwili ruszył z parkingu na leśną drogę. Radio włączył, dopiero gdy z powrotem wjechał na autostradę. Paryski korespondent

włoskiej stacji informował właśnie o zamachu bombowym na kino „Panorama”.

Marilena drzemała przykryta prześcieradłem i wtulona w podglówek o kształcie zwiniętego naleśnika. Javier nie mógł zasnąć, więc siedział na łóżku i patrzył na śpiącą kobietę. Raptem z korytarza zaczęły dobiegać porozumiewawcze szepty i odgłosy kroków. Javier nie miał wątpliwości, że ktoś jest przed drzwiami. Nagle rozległo się pukanie. Nie wiedział, czy otwierać, ale na szczęście Marilena akurat się obudziła.

- Co się dzieje? - zapytała, przecierając oczy.

- Nie wiem. Chyba ktoś do ciebie - odpowiedział Javier.

Pukanie się powtórzyło, po czym ktoś zaczął pięścią walić w drzwi.

- Pani Garbo! Jest pani tam? - z korytarza dobiegał głośny, stanowczy głos.

- Tak, o co chodzi? - zapytała Marilena, unosząc się z łóżka.

- Policja, proszę otworzyć!

Javier pospiesznie włożył spodnie i koszulę.

-Już otwieram - Marilena podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. W drzwiach ukazał się tęgi mężczyzna, lekko szpakowaty, ubrany w szary garnitur. Zielony krawat w żółto-czarne wzory spinał kołnierz jego białej, lekko pogniecionej koszuli.

- Claude Garnier - przedstawił się, wchodząc do pokoju i wymachując identyfikatorem, który trzymał w lewej dłoni. W prawej miał pistolet. Za inspektorem wszedł do pokoju drugi mężczyzna, nieco wyższy i szczuplejszy, ubrany

w czarny golf, szerokie brązowe spodnie i beżową marynarkę.

— Sierżant Piaget - wskazał na swojego towarzysza inspektor.

Javier stał osłupiały z uniesionymi do góry rękami.

—Przeszukaj pokój - rozkazał inspektor sierżantowi, po czym zwrócił się do Marileny: - Przepraszam za najście. Proszę się ubrać.

—O co chodzi? - zapytał Javier.

—Taka jest procedura, panie Gordon - powiedział inspektor. - Pan Javier Gordon, chyba się nie mylę? Ma pan oczywiście prawo skontaktować się z adwokatem, ale tu w Paryżu raczej nikogo takiego pan nie ma. Pojedziemy na komisariat i tam spróbujemy coś zorganizować.

Marilena zdążyła już narzucić sukienkę i poszła do łazienki. Po drodze zabrała torebkę, która leżała na lodówce. Sierżant Piaget zakończył oględziny pokoju i rozsiadł się w fotelu. Na wyciągnięcie jego ręki znajdował się mały barek z przeszklonymi drzwiczkami, w którym stały butelki z różnymi trunkami, szklanki i kieliszki. Otworzył drzwiczki i sięgnął po butelkę z bourbonem „Rebel Yell”. Postawił ją przed sobą na stoliku, po czym wyjął z barku szklankę i napełnił ją do połowy alkoholem. Później wypił łapczywie sporą porcję, podniósł ze stolika „Paris Match” i zaczął go przeglądać.

-Żądam wyjaśnień. Dlaczego mam z wami jechać? - zapytał Javier.

-Nie sędzę, abym musiał cokolwiek wyjaśniać, panie Gordon - kontynuował inspektor. - Jest pan podejrzany o podłożenie w kinie „Panorama” bomby. Detonacja spowodowała ciężkie obrażenia u kilku osób i poważnie uszkodziła budynek. Zawieziemy pana teraz na komisariat,

gdzie odbędzie się wstępne przesłuchanie. Ponieważ nie ma pan tu adwokata, to będzie miał pan możliwość skontaktowania się z ambasadą argentyńską. Właściwie to mieliśmy pana na oku już w „Armstrong Paris”, ale wymknął się pan z tą uroczą kobietą- wskazał za siebie na łazienkę, do której przed chwilą weszła Marilena. Ruszyliśmy za wami i zaprowadziliśmy nas tutaj. Czekaliśmy w samochodzie przed budynkiem, ale ponieważ pobyt pana się przedłużał, postanowiliśmy wejść na górę. Nagle inspektor zamilkł, gdyż poczuł na karku zimny dotyk metalowej lufy. Za nim stała Marilena, trzymając w ręku mały pistolet.

Niech pan rzuci przed siebie broń! rozkazała zaskoczonemu inspektorowi. Ten zawahał się przez moment, ale wykonał polecenie. Gdy siedzący w fotelu sierżant zorientował się w sytuacji i zaczął sięgać pod marynarkę, Marilena zwróciła lufę w jego stronę. - Zostaw to. Pistolet, proszę! - powiedziała stanowczo. Kiedy sierżant wyjął spod marynarki broń i rzucił ją na podłogę, ponownie przyłożyła lufę do karku inspektora.

- Nie stój tak. Pozbieraj pistolety! - krzyknęła do przerażonego Javiera.

- Co ty robisz? - Javier był w szoku, ale podniósł z podłogi broń. - Teraz to już po nas. A co z nimi zrobimy? - zapytał, wskazując na inspektora i sierżanta.

- Nic. Czy widziałeś kiedyś policjanta pijącego na służbie? Przecież ten tam, podający się za sierżanta, ledwo trzymał się na nogach, jak tu wchodził. Gdy już siedział w fotelu, wypił jeszcze ze dwie szklanki bourbona. Uważam, że przyszli po ciebie, żeby cię podrzucić policji, niekoniecznie żywego. Byłbyś znakomitym kozłem ofiarnym. Zanim policja wyjaśniłaby wszystko z ambasadą argentyńską, zatarliby ślady. Nie wiem, co miał oznaczać ten atak na kino

„Panorama”, ale pewno nikt się nie dowie. Mam rację, panowie? — Marilena wcisnęła głębiej lufę w kark mężczyzny, który podawał się za inspektora.

- Bierz swoje rzeczy i uciekamy - powiedziała do Javiera.
-A wy kładźcie się! Twarzą do podłogi! - rozkazała mężczyznom, podającym się za policjantów.

Gdy się położyli, wyjęła z szuflady szeroką taśmę klejącą i rzuciła ją w stronę Javiera. - Zwiąż im ręce i zaklej usta! - rozkazała.

Javier szybko wykonał zadanie i upewnił się, że zabrał wszystko.

- Wyjdź teraz na korytarz i przywołaj windę.

Javier posłusznie wybiegł z mieszkania i nacisnął przycisk obok wejścia do kabiny. Za moment rozległ się elektroniczny dzwonek oznajmiający, że winda przyjechała.

- Już jest - krzyknął, przytrzymując rozsuwane drzwi, aby się nie zamknęły. - Idziesz?

-Tak! - Marilena potwierdziła i ruszyła za nim. Jednak zanim wyszła, wyjęła z szuflady nóż, rozcięła nim taśmę na rękach mężczyzny, udającego inspektora, i rzuciła go na podłogę.

-Nieźle przedstawienie, panowie - powiedziała cicho, otwierając drzwi.

Javier przebierał nogami przy windzie.

- Co tak długo? Zaraz ktoś narobi alarmu, że winda się popsowała. - Miał dosyć czekania i poczuł ulgę, gdy Marilena wreszcie weszła do kabiny. Wskoczył szybko za nią i nacisnął guzik na parter. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Milczał, jak winda jechała w dół. Wydawało mu się, że Marilena wie więcej od niego, ale zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi windy już się otworzyły. Szybko oboje udali się na zewnątrz i bez słowa wsiedli do samochodu.

Marilena rzuciła Javierowi swój znajomy uśmiech i włożyła kluczyk do stacyjki. Przez chwilę znieruchomiała, a następnie odwróciła głowę w jego kierunku.

- Byłeś świetny!

Nie wiedział, czy chodziło jej o to, jak poradził sobie z wiązaniem dwóch napastników, czy o to, co się wydarzyło, zanim dwaj mężczyźni zjawili się w jej mieszkaniu. Chciał zapytać, ale nie mógł z siebie wydobyć żadnego słowa. Odwzajemnił tylko jej uśmiech. Wtedy Marilena przekręciła kluczyk i ruszyli w stronę Pól Elizejskich.

Tymczasem na gorze mężczyzna, któremu Marilena rozcięła taśmę wiążącą dłonie, zdążył już pozostawionym przez nią nożem uwolnić swojego towarzysza i obydwaj stali teraz przy oknie, patrząc na odjeżdżającego niebieskiego peugeota.

- Nalej nam jeszcze bourbona, a ja zadzwonię do Higginsa - powiedział do kolegi mężczyzna, który odegrał rolę inspektora. Widocznie udawanie policjantów kosztowało go sporo wysiłku, bo ociekał potem. Sprawdź też, czy w zamrażalniku Marilena ma lód i wrzuć mi do szklanki ze trzy kostki. Ciepłego alkoholu nienawidzę bardziej niż upałów.

Javier wyjął papierosa z paczki, która leżała między siedzeniami i zaczął nerwowo palić. Już długo nie czuł dymu w ustach i zarzekał się kiedyś, że nigdy nie powróci do nałogu; w tej sytuacji jednak nie miało to większego znaczenia.

- Jedź wolniej, bo nas pozabijasz - krzyknął do Marileny, która mijała kolejne skrzyżowanie, nie bacząc specjalnie na kolory świateł na sygnalizatorach.

- Uspokój się! Musimy znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu i wszystko przemyśleć. Znam kogoś, kto może nam pomóc. Musisz szybko wyjechać z Francji. Mówiłeś, że wybierasz się do Polski?

- Tak, ale nie mogę po prostu uciec. Trzeba wszystko najpierw wyjaśnić. Najlepiej będzie, jak się zgłoszę na policję.

- Po co? Żeby narobić sobie kłopotów. Przecież wiesz, że nie niosłeś ze sobą bomby, bo na pewno zajrzałeś do torby. Mam rację? - Javier nic nie mówił, więc wiedziała, że tak właśnie było. - Twój udział w tym, co się stało w „Pano-ramie”, jest więc żaden.

- A portret pamięciowy?

- Na pewno policja przesłuchiwała dziesiątki osób i każdy powiedział, co zauważył przed seansem. Pewnie nie byłeś jedynym mężczyzną z torbą w kinie. A jeśli nawet, to nic z tego nie wynika. Nie zdziwiłabym się nawet, gdyby ci udawani policjanci, z którymi mieliśmy do czynienia, lub jacyś inni organizatorzy zamachu podali właśnie twój rysopis, bo potrzebowali kozła ofiarnego.

- Pewnie masz rację. A dlaczego akurat właśnie mnie ktoś chciał w to wszystko wciągnąć?

- Widocznie komuś wpadłeś w oko. Na przykład w kolejce do kasy. Młody mężczyzna wchodzący z torbą do kina świetnie pasował na zamachowca. Nikomu jeszcze wtedy taki pomysł nie przyszedłby do głowy, ale jak już tragedia miała miejsce, to ubrać w nią człowieka z torbą nie było wcale takie trudne. Kiedy portrety pamięciowe zaczną krążyć w mediach, to podrzucenie policji ciała zamknęłoby

sprawę, a prawdziwi winowajcy mieliby spokój. Pewnie taki był plan tych dwóch, co nas zaskoczyli u mnie. Jedna kulka i pozostawienie ciała tam, gdzie je łatwo mogła znaleźć policja.

-Ale przecież teraz są świetne metody identyfikacji. Znając kod DNA można wszystko ustalić. Kto by uwierzył, że argentyński lekarz mógł podłożyć bombę w paryskim metrze?

- Tak, mieliby DNA nieboszczyka, ale skojarzyć to z danymi osobowymi nie jest takie proste. Gdybyś był Francuzem, to co innego. Ale szukać po świecie danych do identyfikacji nie jest takie proste. Może organizatorzy tego całego zamieszania sprawdzili jakoś, że nie jesteś stąd. Sądzili, że mają idealnego kozła ofiarnego. Zanim zidentyfikowano by ciało, pewno upłynęłyby miesiące. O ile w ogóle ktoś trafiłby na twój ślad. Z kolei w Argentynie uznano by cię pewnie po prostu za zaginionego i na tym zamknięto by sprawę. W końcu Europa nie jest taka mała i raz na jakiś czas prawdopodobnie zdarza się, że ktoś nie wraca do Buenos Aires po wycieczce za Atlantyck. Zwłaszcza że nie byłeś tu na wczasach zorganizowanych przez jakieś biuro, ale całkiem sam.

- A dlaczego podają w mediach, że „Towarzystwo Przyjaciół Zielonych” przyznało się do zamachu?

- To chyba oczywiste. My walczymy o czyste powietrze. Jeśli wygramy, to ci, co je zatruwają swoją działalnością, stracą źródło dochodów. Często niemałych. Prawdopodobnie ktoś chciał nam zrobić złą opinię. Teraz nasi sympatycy się od nas odsuną.

- Ci, których opłacacie w ten dziwaczny sposób?
- Właśnie ci.
- To może nie byłoby takie złe...

- Javier!

-No dobrze, już dobrze... Twoja sprawa. A dokąd teraz jedziemy w takim pośpiechu? Szczęście, że nie trafiliśmy po drodze na jakiegoś prawdziwego policjanta, bo mandat byłby murowany.

- Pomyślałam, że będzie dobrze, jak od *razu* wstąpimy do szefa „Towarzystwa”. Nazywa się Higgins, Brian Higgins. Mieszka w tym białym domu po prawej.

Marilena włączyła kierunkowskaz. Byli już na przedmieściach i jechali ulicą otoczoną po obydwu stronach zielenią i ekskluzywnymi willami. Skręciła na jeden z podjazdów, zatrzymała samochód i zaciągnęła ręczny hamulec.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła i wysiadła.

Javier też odpiął pas i spojrzał na biały piętrowy dom ze spadzistym, wiśniowym dachem. Nie znał się specjalnie na tego typu budownictwie, bo sam od kilku lat wynajmował mieszkanie w kilkupiętrowej kamienicy, jednak był przekonany, że powierzchnia domu, przed którym się zatrzymali, musiała wynosić ponad pięćset metrów. Również on wysiadł i ruszył szybkim krokiem za Marilena.

Podeszli do potężnych mahoniowych drzwi, a Marilena zastukała kunsztowną, mosiężną kołatką.

-Nic dziwnego, że „Towarzystwo Przyjaciół Zielonych” może płacić takie słone łapówki mruknął Javier, podziwiając klamkę i solidne zawiasy.

Marilena nie zareagowała na jego uwagę. Po chwili otworzył drzwi mężczyzna w czarnym garniturze.

- Czy jest Higgins? - zapytała Marilena.

Mężczyzna skinął głową, spojrzał na Javiera, a następnie znów na Marilene.

Przyjaciół - Marilena przedstawiła Javiera, wskazując ręką na swojego towarzysza.

Mężczyzna szerzej otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Znaleźli się w dużym, gustownie umeblowanym pokoju. Centralne miejsce zajmował niski stół ze szklanym blatem, wokół którego stały dwa fotele, obite kremową skórą i tak samo wykończona kanapa. Białe ściany ozdobione były licznymi obrazami. W głębi pokoju, tuż przy olbrzymim oknie, zajmującym niemal całą jedną ścianę, ustawiony był barek z trzema wysokimi stołkami. Wystrój wnętrza uzupełniały dwie olbrzymie palmy - jedna ustawiona obok barku, a druga - niedaleko drzwi prowadzących do następnego pomieszczenia.

- Proszę usiąść - rozkazał mężczyzna i zniknął za drzwiami, przy których stała palma. Po chwili wrócił i oznajmił: - Pan Higgins zaprasza.

Marilena i Javier poszli za nim do drugiego pokoju. Brian Higgins siedział za biurkiem i rozmawiał przez telefon, popijając z pękatego naczynia jasnobrażowy napój z lodem. Niewątpliwie była to whiskey. Dał znak ręką, w której trzymał szklanekę, żeby usiedli przy okrągłym stoliku. Następnie odstawił szklanekę na blat biurka i kiwnął palcem na mężczyznę, który otworzył im drzwi.

- Jacques...! Zapytaj naszych gości, czego się napiją. Zaraz kończę...

Jacques nie należał do osób, którym trzeba było tego typu polecenia powtarzać, zwłaszcza jeśli pochodziły od Higginsa.

- Co podać? - spytał uprzejmie.

- Campari z sokiem pomarańczowym i lodem - powiedziała Marilena.

- To samo - rzucił Javier, gdy Jacques utkwiał w nim pytające spojrzenie.

Higgins właśnie żegnał się z rozmówcą. Odłożył słuchawkę i zanotował coś w leżącym na biurku kalendarzu. Następnie zdjął okulary, przetarł je chusteczką i schował do skórzanego futerału. Na koniec poprawił się w fotelu i głęboko westchnął.

- Paskudna sprawa, panie Gordon - powiedział, unosząc ponownie do ust szklankę z whiskey. Właśnie do pokoju wszedł Jacques, niosąc na tacy zamówione drinki. - Rozumiem, że to dla naszych gości? - zapytał, spoglądając na Javiera i Marilenę.

- Tak, szefie - odpowiedział Jacques. - Campari z sokiem pomarańczowym - poinformował Marilenę i Javiera, stawiając na stoliku przed nimi wysokie szklanki z pomarańczowym płynem.

- Czy jeszcze coś, szefie? - zapytał.

-Nie, zawołał cię, jak będziesz potrzebny - Higgins zaczął, aż Jacques zniknie za drzwiami, wypił kolejne dwa łyki alkoholu, po czym odstawił szklankę i odezwał się do Javiera.

- Niech pana nie dziwi, że przechodzę od razu do rzeczy, ale Marilena wczoraj poinformowała mnie, że zgodził się pan zawieźć pieniądze do kina. Gdy przed chwilą was zobaczyłem, od razu skojarzyłem sobie pana twarz z pokazywanym rano w telewizji portretem pamięciowym. Również w dzisiejszej prasie jest podobizna domniemanego sprawcy.

Javier chciał coś powiedzieć, ale Higgins uniósł rękę, dając w ten sposób znak, aby mu nie przerywał.

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że musiała zajść jakaś pomyłka - kontynuował gospodarz. - Wszystko na pewno się wkrótce wyjaśni. Marilena wspominała mi, że wybiera się pan do Polski.

- Tak, ale muszę chyba najpierw zgłosić się na policję.

- W jakim celu? Przecież nic pan nie zrobił. Portret pamięciowy nie oddaje idealnie pana rysów twarzy. Właściwie jeśliby dobrze się rozejrzeć po paryskich ulicach, to prawdopodobnie jeszcze kilku podobnych mężczyzn by się znalazło. Tymczasem, jeśli trafi pan na policję, to przesłuchania szybko się nie skończą, a przecież pana urlop nie będzie trwał wiecznie. Poza tym może się zdarzyć, że mimo wszystko to pana oskarżą o zamach. W końcu, dlaczego argentyński lekarz nie miałby mieć powiązań z jakimiś tajnymi organizacjami? Gdyby doszło do procesu, ktoś, kto od początku próbuje pana zrobić, na pewno podstawiłby opłaconych przez siebie świadków. Wówczas wcale nie byłbym taki spokojny o pana los. Bo to mało niewinnych ludzi siedzi za kratkami?

Javier nic nie powiedział. Słowa Higginsa tylko rozbudziły jego wyobraźnię. Już widział siebie w ciasnej celi z groźnymi przestępcami. W dalszym ciągu nie był jednak pewien, czy nie powinien porozmawiać z policją.

- W Argentynie wszyscy potwierdzą, że jestem poza podejrzeniem. Nawet nie miałem mandatu drogowego od dłuższego czasu.

- Nie twierdzą, że na pewno trafi pan za kratki, ale z wyjazdem do Polski będzie się pan musiał raczej pożegnać. Jest jeszcze inny aspekt całej sprawy. W końcu to jednak pan przyniósł do kina torbę.

- To moja wina. Niepotrzebnie Javiera w to wciągnęłam..
.. - odezwała się Marilena.

- Do tego jeszcze powrócimy - przerwał jej wypowiedź Higgins, patrząc wciąż na Javiera. - Były w torbie pieniądze. Spora suma. Co pan powie o torbie policji, a przede wszystkim o jej zawartości? Nie wiem, czy policja zbagate-

lizuje fakt uczestnictwa w przekazywaniu pieniędzy od „Towarzystwa Przyjaciół Zielonych” pewnej wpływowej osobie. Wprawdzie pan nie wie, kto miał torbę odebrać, ale przecież policja spisała dane większości osób, które tego wieczoru były w „Panoramie”. Jeśli nawet nasz współpracownik opuścił kino, zanim radiowozy nadjechały, to któryś ze świadków mógł go widzieć. Marilena zapewne wspominała, że docieramy do osób wpływowych, a tacy są powszechnie znani, bo ich zdjęcia pojawiają się w mediach.

- No tak... - Javier zaczął wierzyć, że jego wizyta na komendzie może mu tylko zaszkodzić.

-Wreszcie opowiadając policji o naszej działalności, naraża pan nie tylko „Towarzystwo”, ale przede wszystkim Marilenę. To ona przecież wybrała wieczór biznesowy z kolekcjonerem sztuki, zamiast doprowadzić do końca swoje zadanie. Od początku nie byłem z tego zadowolony, ale pozostawiłem jej wolną rękę. Zawsze miałem do niej pełne zaufanie. - Higgins dotąd przez cały czas nie spuszczał z oczu Javiera, ale teraz zwrócił się do słuchającej uważnie i sączącej campari kobiety. - Prawda, Marileno? Nigdy nie narzucałem ci sposobu działania. Jednak tym razem mnie zawiodłaś. Nie jestem zadowolony, że posłużyłaś się panem Gordonem. Teraz sprawa trafi na policję i możemy mieć kłopoty.

Javier zauważył, że Marilena wyprostowała się w fotelu. Słowa Higginsa najwyraźniej wywarły na niej wrażenie. Wyglądała trochę jak uczennica złapana na ściąganiu.

Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za konsekwencje - powiedziała odważnie do szefa. Javier był pod wrażeniem jej postawy i poczuł, że nie może jej teraz zawieść.

-Ma pan rację. Nie zgłoszę się na policję... - Nie do końca akceptował rozumowanie Higginsa, ale nie chciał komplikować życia Marilenie.

- Tak będzie najlepiej - Higgins nie dał po sobie poznać, że słowa Javiera sprawiły mu ulgę. - Niech pan zapomni o wszystkim i kontynuuje swoje turystyczne wojaże. Tylko już raczej nie we Francji. Radziłbym szybko zabrać rzeczy z hotelu i jechać do Polski. Ponieważ portret pamięciowy jest na lotniskach, to zalecam podróż samochodem. Na granicy rzadko jest kontrola, więc będzie pan bezpieczny. Niedługo sprawa ucichnie. U mnie już była policja i zapewniłem ich, że „Towarzystwo Przyjaciół Zielonych” nie ma nic wspólnego z zamachem. Może niedługo prawdziwi winowajcy przyznają się do podłożenia bomby i działania policji pójdą innym tropem. Na szczęście nasza przesyłka dotarła do adresata, mimo całego zmieszania. Jeśli więc pan policji nic nie powie lub nie wpadnie w ich ręce, to nikt o nas nie będzie pytał. Dlatego im dalej stąd pan będzie, tym lepiej. Jeśli powrót planował pan też przez Paryż, to radzę od razu zmienić booking. Na pewno z Warszawy jest mnóstwo innych możliwości połączeń z Buenos Aires - Frankfurt, Zurych, Londyn... Zresztą, jeśli chciał pan zwiedzać Europę, to w ten sposób dojdą kolejne wrażenia. Trzeba wykorzystać urlop do końca.

- Nie wiem, czy wciąż chce mi się bawić w turystę...

- Proszę nie robić takiej zrozpaczonej miny. Jeszcze raz panu mówię, że nie ma pan z tym zamachem nic wspólnego. Po prostu przypadek. Za parę dni o wszystkim pan zapomni. Zapewniam. - Higgins sprawiał wrażenie człowieka, który wie, co mówi. - Jak weszliście, to rozmawiałem przez telefon z moim siostrzeńcem, który ma jakieś interesy w Polsce i jutro rano jedzie do Warszawy. Na pewno pana zabierze.

Nie jest może zbyt rozmowny, więc radzę zabrać na drogę coś do czytania, ale na pewno jazda z nim będzie tańsza niż wynajętym samochodem. Poza tym pracownicy biura rent-a-car też oglądają telewizję i czytają prasę, więc ktoś mógłby pana twarz skojarzyć z portretem pamięciowym. Najlepiej nie rzucać się w oczy.

- A co z hotelem? - wtrąciła Marilena

- Niech pan zadzwoni do hotelu i powie, że pana koleżanka ureguluje rachunek - odpowiedział Higgins, nie odrywając wzroku od Javiera, a następnie spojrzał na Marilene. - Zapłacisz - przynajmniej to możemy dla pana Gordona zrobić - spakujesz rzeczy i przywieziesz bagaże do motelu „Charles Ribot”. To dwie przecznice stąd, ulica Rodier 52. Jacques zaraz tam pana Gordona zawiezie. Znam właściciela i wiem, że na pewno nie będzie o nic pytał. Porozmawiam z moim siostrzeńcem, żeby był przed motelem jutro rano o godzinie 9.30. Nazywa się Alain Ferron i jeździ grafitowym murano.

- A co będzie z tobą? - Javier spojrzał na Marilene. - Przecież nie możesz wrócić do swojego mieszkania. Jeśli nawet ci dwaj mężczyźni byli tam tylko po mnie, to i tak mogą wrócić, żeby dowiedzieć się, gdzie ja jestem.

-Nie przejmuj się mną. Ten apartament wynajmowałam tylko na czas remontu mojego własnego mieszkania. Właściciel, Louis Vimont, wyjechał na dłużej do Chicago, więc ci, którzy ciebie szukali, na pewno za mną nie trafią. Teraz wrócę do siebie i najwyżej przemęcę się jeszcze dwa tygodnie z malarzami. Zresztą oni mają klucze i przychodzą tylko na osiem godzin.

-Czyli muszę tylko wyjechać z Francji i wszystko powinno być w porządku? - zapytał Javier, chociaż nie był wcale przekonany, że tak będzie. - A jeśli ktoś mnie

w Polsce rozpozna? Przecież chyba tam też mogli podawać wiadomości o kinie „Panorama” i o poszukiwaniu podejrzanego?

- Nie sędzę, aby w Polsce ktoś pana z tym wszystkim skojarzył. W końcu jest pan Argentyńczykiem. Ale tak na wszelki wypadek, to niech pan zapaści wasy. Wtedy na pewno nikt pana nie rozpozna.

- Tak. Koniecznie zapaści wasy. Będiesz wyglądał jeszcze przystojniej. Rozkochasz w sobie wszystkie Polki - dodała Marilena.

Cała trójka się roześmiała. Nawet Javier odzyskał pogodny nastrój. Poczul, że może rzeczywiście - tak jak twierdził Brian Higgins - nie ma się czym zamartwiać. Znalazł się przypadkiem w centrum jakiegoś wydarzenia, jednak jego wina jest żadna. To tak, jakby był pasażerem w autobusie, który miał wypadek. Niech więc sprawy toczą się swoim trybem, a on powinien po prostu zniknąć. Nie tylko dla własnego dobra, ale również dla dobra sprawy. Przypadkowy uczestnik nie pomoże w rozwiązaniu zagadki. Może najwyżej zaszkodzić. Chciał więc teraz jak najszybciej wyjechać z kraju, w którym przytrafił mu się ten nieoczekiwany incydent, aby kontynuować podróż do Polski.

Prezydent usiadł za biurkiem w bibliotece i zapalił fajkę. Minęło już sporo czasu od inauguracji, jednak wciąż jeszcze nie mógł się przyzwycząić do swojej nowej funkcji. Nie chodziło wcale o to, że był ciągle pod obstawą borowców. Zanim zaczął piastować urząd prezydenta, też czasami musiał korzystać z ochrony. Nie był jednak aż tak skrzępowany napiętym harmonogramem. Miał nieco więcej swobody.

Dawniej nic się nie stało, jeśli przełożył jakieś spotkanie lub je nawet odwołał. Teraz był jak uczeń, którego plan dnia wyznaczały dzwonki. Tu wprawdzie nic nie dzwoniło, ale trzeba było dotrzymać wszystkich terminów, nawet jeśli bolała głowa lub przychodziła ochota na chwilę intymności. Nie przywykł również do nowego tytułu. W ciągu dnia owszem, gdy był w wirze codziennych narad i spotkań, nawet zdziwiłby się, gdyby ktoś nie zwrócił się do niego „panie prezydencie”. Jednak w chwilach takich jak teraz, gdy pykał dym z ulubionej fajki, czuł się co najwyżej szefem firmy prawniczej, którą przez długie lata prowadził, zanim brat wciągnął go do polityki. „Żeby tak móc jutro usiąść za kierownicą i nacisnąć gaz”. Zawsze lubił prowadzić samochód, a tu przez pięć lat ma zakaz. „I niech ktoś powie, że prezydentowi wszystko wolno” - uśmiechnął się do siebie i w myślach dodał: - „No, może przez dziesięć lat, jak dobrze pójdzie”. Marzyła mu się długa prezydentura, taka jak jego poprzednika. Nie wyobrażał sobie, że mógłby być gorszy. Co prawda sondaże nie były dla niego korzystne, ale wierzył, że wkrótce wszystko się zmieni. Przyjdzie czas, że pokaże opozycji, na co go stać. Pomyślał o ambitnych planach na najbliższe miesiące i nabrał pewności siebie. „Tylko czy wytrzymam aż dziesięć lat bez jazdy za kółkiem?” - znów dumna mina zagościła na jego twarzy. „A zresztą nie ma co się przejmować! Niech się inni pocą za kierownicą. Jeszcze będę miał na to czas. Na szczęście z samochodem jak z rowerem. Nie zapomina się”. Za oknem widoczna była rozświetlona panorama Warszawy. Żona prezydenta, Irena, już o tej porze spała w sypialni, a kroki i szepty na korytarzu świadczyły o tym, że jego córka, Agata - studentka ostatniego roku ekonomii - wróciła właśnie z nocnego wypadu ze swoim nowo poznanym przyjacielem. Tytoń

wyjątkowo źle się palił. Prezydent wziął do ręki ubijak, wyczyścił starannie fajkę, po czym napełnił ją nową porcją czarnej amphory. Widząc, że pudełko z zapalnikami, które leżało na biurku, jest puste, wstał, aby z szafki wyjąć nowe. Po drodze skręcił w stronę drzwi, wyszedł na korytarz, a następnie zszedł po schodach na parter. Agata i jej chłopak stali w holu, oparci o komodę, i rozprawiali o czymś. Gdy go zobaczyli, przerwali nagle i wyprostowali się.

- Dobry wieczór, panie prezydencie! - wykrzyknął zaskoczony chłopak.

- Cześć, tato! - powiedziała szeptem Agata. - Jeszcze nie śpisz?

- Dobry wieczór! Zaraz się kładę. Tylko mam ochotę na fajkę.

- Pali pan, panie prezydencie? - zapytał chłopak nazbyt odważnym, prawdopodobnie po kilku piwach, głosem. - Przecież to szkodzi.

- Fajka mniej... Przynajmniej tak mówią. Jak chcesz, to zaprosz kolegę na chwilę do sali obrazowej - poddał propozycję córce. - Ja będę w bibliotece. Dobranoc!

- Dobranoc, panie prezydencie! - mówiąc te słowa, chłopak niemal stanął na baczność.

- Nie siedź tam całą noc, tato. Dobranoc! - pożegnała ojca Agata.

Prezydent przystanął na schodach i odwrócił się do córki.

- Jakieś pół godziny i jestem w łóżku - powiedział i wrócił do biblioteki. Zamknął drzwi, po czym wyjął z szafki nowe pudełko zapalek. Następnie zajął miejsce w ulubionym fotelu za biurkiem i znowu wziął do ręki fajkę. Pomyślał, że może córka rzeczywiście ma rację. Powinien się położyć. Zawsze starał się w pełni wykorzystać przerwę w napiętym programie zajęć na relaks. Jednak wiadomo, jak to jest. Jeżeli

się ma tyle spraw na głowie, to trudno się całkowicie odprężyć. Wiedział też, że jak się teraz położy, nie przemyślawszy wszystkich spraw i bez opracowania planu działań na kolejny dzień, to i tak nie zaśnie. Wyjął z pudełka zapałkę i potarł nią o draskę. Ogień pojawił się natychmiast. Uniósł na wysokość oczu mały płomyk i utkwiał w nim na moment wzrok. Po paru sekundach zbliżył zapałkę do cybucha i wciągnął przez fajkę powietrze. Nowa porcja tytoniu od razu się zajęła. Dla pewności jeszcze dwa razy wciągnął dym i dopiero wtedy wrzucił zapałkę do popielniczki. Przejrzał zapiski w notatniku i odłożył go na bok. Postanowił już nie myśleć o planach na następne dni. Zresztą nie spodziewał się jakichś sensacji. Szum wokół zmian w rządzie już trochę przycichł, a więc media zajęły się innymi tematami. Miał wprawdzie zaplanowane spotkanie z premierem, ale wyłącznie rutynowe. Trzeba będzie też jeszcze raz przejrzeć kalendarz na najbliższe dwa tygodnie.

Przed wyjazdem do Londynu powinien mieć przynajmniej dwa dni bez żadnych spraw krajowych. Chyba że trafi się coś pilnego. Wszystkiego przewidzieć się nie da. Musi też gdzieś odnotować urodziny żony, aby znowu nie zapomnieć, jak to już raz mu się zdarzyło. To jednak dopiero za dziesięć dni. Ten tydzień zapowiada się spokojnie, jeśli w ogóle tak można powiedzieć o wypełnionym po brzegi prezydenckim terminarzu. Nawet dobrze się składa, bo będzie miał wolną głowę na wywiad z hiszpańskim dziennikarzem. Nadal nie był pewien, czy to dobry pomysł, ale liczył na to, że światowej sławy publicysta inaczej spojrzy na jego działalność niż krajowe media. Jeśli czegoś mu teraz brakowało, to właśnie dobrej prasy. „Jak on się nazywa?” - pomyślał. Ciągłe miał kłopoty z zapamiętywaniem nazwisk, chociaż wszelkie liczby, daty i numery telefonów łapał w lot. „Chyba

jakoś Paul... Nie, może raczej Raul. Tak, Raul Sanchez!" Fakt, że przypomniał sobie to nazwisko, wprawił go w dobry nastrój. „Nie jest ze mną jeszcze tak źle” - pomyślał. Następnie poprawił się w fotelu i przymknął oczy. Zaczynała nachodzić go senność.

Zastanawiasz się zapewne, dlaczego znowu fragment tekstu wydrukowany jest inną czcionką. Myślałem, że się w końcu domyślisz. Teraz już wiesz? Witaj! To prawie koniec pierwszego rozdziału. Chcę mieć jednak pewność, że nie śpisz i że nie umknął ci po drodze jakiś szczegół, który może mieć istotne znaczenie w dalszym rozwoju wydarzeń. Przede wszystkim przestrzegam przed częstymi wizytami w kinie. Okazuje się, że wybuchy mogą tam zdarzyć się nie tylko na ekranie, ale również całkiem blisko miejsca, które wskazała ci bileterka. Jeśli oglądasz kryminał lub film katastroficzny, gdzie scenariusz przewiduje efekty pirotechniczne, to z rachunku prawdopodobieństwa wynika, że twoje szanse na przeżycie seansu wynoszą pięćdziesiąt procent. Dlaczego? To bardzo proste. Są dwie możliwości. Albo wybuchnie coś tylko na ekranie, albo w powietrze wyleci cała sala kinowa, a ty razem z nią. Jeśli dwie możliwości, to szanse są jak 1:1, czyli pół na pół. Albo będziesz tylko oglądał wybuch, albo poczujesz na sobie jego skutki. Gorzej, gdy przyszedłeś do kina na jakiś melodramat czy na przykład „Manhattan”. W akcję takiego filmu nie są wpisane żadne efekty pirotechniczne, a więc prawdopodobieństwo wybuchu na ekranie wynosi zero procent. Do ilu wówczas procent wzrastają szanse eksplozji na sali kinowej? Jeśli twoja odpowiedź brzmi sto procent, odznaczasz się wysoką

podatnością na sugestię. Gdyby tak było, to na każdy seans musieliby przychodzić faceci z torbami wypchanymi dynamitem, a tak chyba nie jest. Ale dajmy już sobie spokój z kinem i pirotechniką...

Lubisz muzykę? Okazuje się, że nawet w Argentynie grają rocka. Litto Nebbia był jednym z pierwszych miejscowych wykonawców tego stylu. Widziałem w Buenos Aires jego koncert. Wprawdzie muzyk obstawił się wówczas elektroniką i syntezatorami, ale z głośników popłynęły całkiem naturalne dźwięki. Rockowe nuty przeplatały się z latynoskimi rytmami, a głos wokalisty brzmiał ciepło i sugestywnie. Ukazała się wówczas płyta „Litto Nebbia en Bras ii. Aqui y ahora...”. Niezła rzecz. Choć nie wszędzie dostępna, zwłaszcza teraz, ponad dwadzieścia lat od premiery, ale w dobie Internetu możesz się za nią rozejrzeć. Utwór „Bastidores” jest fantastyczny. Jeśli do płyty dotrzesz, to radzę posłuchać przed dalszą lekturą. Dlaczego? Chyba nie myślisz, że odpowiem. Miałem tylko sprawdzić, czy uważnie czytasz, a nie zdradzać szczegółów kolejnych rozdziałów.

Teraz skup się, bo to ważne. Wystrzegaj się kontaktów z osobami, które po godzinie rozmowy chętnie podają swój numer telefonu. Zwłaszcza za granicą. Osoby te mogą cię wciągnąć w wydarzenia, których wcale nie oczekujesz podczas urlopu. Raczej wybieraj ludzi, od których podczas pierwszego spotkania numeru nie wyciągniesz. Jak wtedy odnaleźć taką osobę następnego dnia? Słuchaj, to nie poradnik towarzyski, więc nie licz na pomoc akurat w tej kwestii. Powiem ci tylko, że o wartościowe znajomości jest ostatnio coraz trudniej. Atomizacja społeczeństwa postępuje. Już tylko w klubach golfowych można nawiązać jakiegokolwiek znajomość. No, nie rób takiej miny! Żartowałem... Aha, jeszcze jedno. Jeśli nowo poznana osoba nazywa się tak jak

bohater serialu lub znany reżyser, to też radziłbym zachować dystans. Zwłaszcza jeśli studiuje. Niewykluczone, że dorabia sobie do stypendium nie tylko zmywaniem naczyń w uniwersyteckiej stołówce lub pracą w „Hard Rock Cafe”. A co z tym wszystkim ma wspólnego polski prezydent? Cierpliwości! Niedługo wszystko się wyjaśni Tyle na razie. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem zbyttnio. Pora wracać do akcji...

rozdział 2

dzień czwarty

Mimo że hotel nazywał się „City Club”, czyli „Klub Miejski”, to znajdował się z dala od centrum Wiednia, w pobliżu sporego kompleksu handlowego. Nie był to może jakiś sklepowy gigant, ale praktycznie większość rzeczy można było kupić. Oczywiście, jeśli nie miało się zbyt wyszukanego lub zanadto oryginalnego gustu. Vincentowi potrzebne były jedynie nowe nożyki do golarki, więc z tym akurat żadnego problemu nie było. Zaraz po wejściu do butiku z kosmetykami odnalazł odpowiedni regał i wrzucił do koszyka pudełko z nożykami. Nie planował innych zakupów, więc od razu skierował się w stronę wyjścia. Trzeba było jeszcze tylko zapłacić. Był w dobrym nastroju, więc postanowił zamienić parę słów z kasjerką. Może by tego nie zrobił, ale kobieta wydała mu się niezwykle atrakcyjna. Mimo że miała na sobie służbowy mundurek, albo może właśnie dlatego. W każdym razie była niewątpliwie w guście Vincenta. Z tego też powodu nie śpieszył się specjalnie z podaniem karty.

- Wspaniała pogoda jak na końcówkę lata - zagadnął kasjerkę, która cierpliwie przyglądała się, jak stojący przed

nią klient bez pośpiechu przeszukuje swój portfel. - Pani już po urlopie?

- Prawie. Parę dni mi zostało, więc prawdopodobnie pod koniec września jeszcze gdzieś wyskoczę.

- Coś dzisiaj tu mały ruch.

- To normalne o tej porze. Dopiero otworzyliśmy. Po południu na pewno się zwiększy.

-Nareszcie znalazłem! Proszę bardzo - rzekł do kasjerki, wręczając jej „American Express”. - Mieszka pani w Wiedniu?

-Nie, ale blisko. Proszę zatwierdzić sumę zielonym przyciskiem.

- Oczywiście - Vincent wykonał polecenie i jeszcze raz przyjrzał się kobiecie, podczas gdy ona czekała, aż wydrukuje się paragon.

- W takim razie życzę udanej drugiej części urlopu.

- Dziękuję - zmrużyła powieki i lekko się zarumieniła, dostrzegając, że Vincent nie przypadkiem pozwolił sobie dłużej zabawić przy kasie. Rzeczywiście nikt inny nie zbliżał się z zakupami, więc mogła sobie pozwolić na parę słów z czarującym klientem.

- Pan na dłużej u nas? - musiała zauważyć obcy akcent Vincenta, który zdradzał, że niemiecki nie jest jego ojczystym językiem.

- Nie. Tylko przejazdem. Dzisiaj ruszam w dalszą drogę.

- Oto paragon - kasjerka wręczyła Vincentowi świstek z komputerowym wydrukiem. - Dziękuję i życzę miłego dnia!

- Wzajemnie. Do widzenia! - Vincent postarał się o swój najlepszy uwodzicielski uśmiech. Gdyby nocował w Wiedniu, to na pewno zaprosiłby ją na kolację. Tymczasem miał dość napięty harmonogram i musiał się go

trzymać. „Może następnym razem” - pomyślał, odchodząc z reklamówką od kasy. Idąc w stronę wyjścia, zatrzymał się jeszcze na chwilę przy regale z płytami, który stał przed dużym sklepem muzycznym. „Trzy kompakty w cenie jednego!” - głosił plakat przymocowany do szyby. Vincent odruchowo przeleciał wzrokiem po tytułach. Od dawna już nie kupował albumów przecenionych. Polował głównie na ciekawe nowości oraz kolekcjonerskie rarytasy. Wiedział, że w ofercie promocyjnej ani jednych, ani drugich nie znajdzie. Być może jakby wszedł do środka, to coś ciekawego wpadłoby mu w ręce, ale nie był to najlepszy moment na rozglądanie się za czymś nowym do jego okazałej płytoteki. Czekająca go dalsza droga, przed którą chciał się jeszcze trochę odprężyć. Uwielbiał muzykę, ale chyba jeszcze bardziej dbał o swoje ciało. Skoro miał okazję nocować w hotelu z pięknym basenem, postanowił zrezygnować ze strawy duchowej na rzecz sportu i odnowy biologicznej. Opuścił więc centrum handlowe i przeszedł pomostem nad autostradą z powrotem do hotelu. Miał ochotę rzucić się do wody w ogromnym, otoczonym zielenią basenie, a następnie spędzić z godzinę w kompleksie odnowy biologicznej, z saunami i masażami wodnymi. Saun było tu kilka, a w najcieplejszej temperatura dochodziła nawet do 120 stopni. Można było wypocić wszystkie toksyny i doskonale się zrelaksować. Później smaczny obiad w restauracji nad basenem i człowiek mógł się poczuć jak nowo narodzony. Gdy Vincent miał recepcję i kierował się w stronę wind, usłyszał, że ktoś wykrzykuje znajome nazwisko.

- Julio Almodovar!? Panie Almodovar!

Vincent już pół roku tak się nie przedstawiał. *Ostatnio* podczas sprawy meksykańskiego handlarza narkotyków.

Żeby zrealizować kontrakt, musiał wynająć dom naprzeciwko jego rezydencji. Ochroniarze dokładnie pilnowali mocodawcy, więc trzeba było uspić ich czujność. Początkowo, gdy Vincent pojawił się w pustej od dłuższego czasu posiadłości, kilkakrotnie go odwiedzali, wypytując o różne rzeczy. Gdy się jednak dowiedzieli, że jest hiszpańskim psychologiem, który przyjechał do Meksyku, aby oderwać się od miejskiego gwaru Barcelony, a zwłaszcza od pacjentów, i napisać książkę o wpływie doznań psychicznych przyszłej matki podczas ciąży na tempo rozwoju umysłowego jej dziecka, zaczęli powoli traktować go jak nieszkodliwego naukowca. Jakież było ich zaskoczenie, kiedy pewnego dnia nie otoczyli handlarza przed domem, gdy wysiadał z auta, jak to zwykle wszędzie robili. Byli przekonani, że nikogo obcego nie ma w pobliżu. Rzeczywiście, nikogo obcego nie było. Tymczasem w rezydencji naprzeciwko „nieszkodliwy naukowiec” właśnie pociągał za spust. Po chwili narkotykowy król raptownie osunął się na ziemię. W pierwszym odruchu ochroniarze myśleli, że ich mocodawca się po prostu potknął, ale jak zauważyli strugę krwi ciekącą z brunatnego otworu nad kołnierzem białej koszuli, wyciągnęli pistolety i schowali się za samochód. Ulica była pusta. Jedyne sportowa honda hiszpańskiego psychologa stała na podjeździe po drugiej stronie jezdni. Vincent tymczasem zdążył już wyskoczyć z domu tylnym wyjściem i przebiec przez zarośla otaczające basen. Dotarł do drugiej ulicy, gdzie zaparkowany był wynajęty jeep, ze wszystkimi bagażami, które Vincent miał ze sobą podczas tego kontraktu. I tym razem nie zostawił żadnych śladów.

Dom wynajął przez duże biuro nieruchomości na nazwisko Julio Almodovar. Wiedział, że nawet jeśli ludzie handlarza tam trafią, to i tak ślad się w tym miejscu urwie.

Zwłaszcza że urzędnik, z którym Vincent załatwiał wszystkie formalności, wygadany ekonomista, ze sporą nadwagą, miał następnego dnia wyjechać do Austrii. Ten urzędnik nazywał się Juan Gomez i stał teraz właśnie w drzwiach hotelu „City Club”, machając ręką i wykrzykując wymyślone przez Vincenta na potrzeby tamtej misji nazwisko.

- To pan, panie Almodovar? Chyba się nie mylę? - pytał zziąjany Gomez, łapiąc oddech, bo biegł za Vincentem niemal od parkingu przed centrum handlowym. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. - Zawsze miałem dobrą pamięć do twarzy.

Vincent rozejrzał się, czy nikt nie obserwuje tego zdarzenia, które wyjątkowo było mu nie na rękę, zwłaszcza że w recepcji hotelu „City Club” znany był pod zupełnie innym nazwiskiem. Na szczęście obsługa hotelu zajęta była rutynowymi czynnościami, a kilku gości, siedzących w fotelach, rozmawiało ze sobą, nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół nich.

- Dzień dobry... Vincent się zawahał. - Juan... Juan Gomez, o ile dobrze pamiętam?

-Zgadza się. Myślałem już, że mi pan ucieknie. Uff... Trochę mi serduszko pika... Lekarz powiedział, żebym się nie forsował. Od naszego ostatniego spotkania ubyło mi kilka kilo, ale to jeszcze za mało. Pracuję nad tym. Ale co ja tu będę pana zanudzał moją nadwagą i zdrowiem... Co z panem się stało? Zniknął pan jak kamfora. Parę osób o pana pytało.

- Czyżbym jakiegoś rachunku w pana firmie nie uregulował?

-Nie, wszystko było w jak najlepszym porządku. Opłacił pan czynsz z góry za dwa miesiące, a po pana zniknięciu przyszedł e-mail, że dom już można wynająć, więc mój

następca nawet dostał premię. Ale ktoś inny dzwonił do mnie.

- Kto taki? Może któryś z moich byłych pacjentów? Ciągłe mnie prześladują...

-Nie wiem, kto to był. Nie przedstawił się, ale najwyraźniej zależało mu na spotkaniu z panem. Nawet przyjechał do Wiednia i mnie jakoś odnalazł. Zupełnie nie wiem, jak trafił do mnie. Powiedział wówczas, że jeszcze kiedyś przyjedzie lub zadzwoni. Od tamtej pory się nie odezwał. Musi mi pan zostawić wizytówkę, żebym mógł przekazać o panu informację. Myślałem, że pan gdzieś całkowicie przepadł, a tu taka niespodzianka.

- Wizytówki nie mam ze sobą, więc niech pan da swoją, a ja moje dane prześlę. Najlepiej pocztą elektroniczną. Rozumiem, że ma pan adres e-mailowy?

-Oczywiście. Teraz już chyba wszyscy mają. Oto moja wizytówka i wszystkie informacje.

- Może wypijemy razem kawę?

-Nie, dziękuję. Jadłem w „City Clubie” śniadanie z klientem - Gomez wskazał ręką drzwi do restauracji. - Teraz jadę do biura. Dziś mam masę pracy na miejscu, więc najwyższa pora, aby tam się znaleźć. Miło było pana znów spotkać. Słyszał pan o zabójstwie tego króla narkotyków? To chyba było tuż przed pana wyjazdem z Meksyku. Rodzina i ludzie zmarłego wciąż szukają winowajcy.

- Tak, coś słyszałem.

- Mówią, że ten, kto to zrobił, nie pożyje długo. Gangsterzy są uparci. Będą go śledzić, aż wytropią. Ja tam nie wiem, ale takie krążą plotki po Meksyku...

- Pewnie coś w tym jest. Zamachowiec musi mieć się na baczności.

- Właśnie... A co pan robi w Wiedniu?

- Jestem tylko przejazdem. Dziś ruszam dalej.
- Dokąd?
- Na południe.
- Urlop czy sprawy zawodowe? -

Jedno i drugie...

- Ja też ciągle jestem w rozjazdach. Może jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy. Niech pan nie zapomni mi przesłać swoich namiarów. Następnym razem może coś zjemy i pogadamy. Ja zapraszam. Wprawdzie muszę uważać na dietę, ale od czasu do czasu można trochę poszaleć.

- Dlaczego nie...

- No nic, muszę lecieć. Żegnam! A może do zobaczenia?

Uścisnęła sobie ręce, a Gomez jeszcze raz zerknął na zegarek.

- Do zobaczenia - powiedział Vincent i pomyślał, że na pewno nie ostatni raz widzi Juana Gomeza. Gdy mężczyzna udał się w kierunku parkingu, Vincent spojrzał na jego wizytówkę. Interesowała go nie nazwa firmy, a jej adres. Po chwili uśmiech pojawił się na jego twarzy. Wiedź znał dobrze i wiedział, gdzie to jest. „Z basenu i sauny tym razem nici. Trzeba się zbierać. Ale jednak najpierw się ogolę, a potem zjem śniadanie” - pomyślał i ruszył w stronę windy.

Grafitowe murano zajęchało przed motel „Charles Ribot” punktualnie o godzinie 9.30. Alain Ferron wysiadł i wszedł do holu. Javier właśnie wychodził z windy, niosąc walizkę i torbę podróżną. Przez oszklone drzwi motelu zobaczył samochód, który opisał Higgins, więc domyślił się, że jedyny stojący w holu mężczyzna musi być jego siostrzeńcem.

Podszedł do niego, postawił walizkę i wyciągnął prawą rękę na powitanie.

- Dzień dobry. Nazywam się Gordon. Pan pewno przyjechał po mnie.

Tak. Alain Ferron - przedstawił się właściciel murano i uściśnął Javierowi dłoń. - Czeka nas długa trasa, więc pora ruszać. Spało się dobrze?

Javier nie miał pewności, czy powinien zwierzać się nieznanemu z nieprzespanej nocy, więc wysilił się na amerykański uśmiech.

-Wszystko w porządku... - odpowiedział zdawkowo, wiedząc, że zwolni go to z jakichkolwiek tłumaczeń. - Może wstawię bagaże do samochodu?

- Pomogę panu - Ferron podniósł walizkę i szybkim krokiem ruszył na zewnątrz. Javier poszedł za nim. Kiedy minął obrotowe drzwi, Ferron zdążył już umieścić walizkę w bagażniku i stał przy otwartej klapie.

- Może jeszcze torbę włoży pan tutaj? - zapytał.

- Tak, proszę. - Javier zsunął z ramienia torbę i wręczył ją Ferronowi. - Zaraz wrócę. Muszę jeszcze uregulować rachunek.

-Nie potrzeba. Wszystko załatwione. Higgins... - Ferron zawiesił głos - to znaczy mój wujek, ma tu otwarte konto. Niech pan wsiada. Im szybciej wyjedziemy stąd, tym lepiej.

Wolałbym sam zapłacić... - Javier nie lubił mieć długów.

- Rachunek jest już uregulowany. Odkręcenie tego zajęłoby trochę czasu, a my go nie mamy. Zwłaszcza jeśli chcemy jeszcze dziś w nocy dotrzeć do Polski. Wprawdzie wiem, jak ominąć największe paryskie korki, ale i tak wyjazd na autostradę prowadzącą do granicy zajmie nam trochę czasu.

Mówiąc te słowa, Ferron otworzył prawe drzwi i obszedł samochód, aby usiąść za kierownicą. Javierowi nie pozostało nic innego, jak zająć miejsce obok. Niemal równocześnie zamknęli drzwi. Ferron wygodnie się usadowił, zapiał pasy i przekreślił starter. Ruszyli.

Rozmowa początkowo się nie kleiła, ale po godzinie, gdy oddalili się od Paryża, znaleźli wspólny język w sprawach motoryzacyjnych. Javier podziwiał pomysłowość projektantów murano, a Ferron zachwalał jeden z modeli BMW, który stał w jego garażu.

Rewelacyjne osiągi. Jedynie źle zrobiłem, że zdecydowałem się na czerwony. Wystarczy trochę kurzu i zaraz trzeba go myć, bo fatalnie wygląda.

- Słyszałem, że samochody w tym kolorze mają najwięcej wypadków, więc musi pan uważać - Javier próbował wprowadzić trochę luzu do rozmowy.

- To chyba raczej jakiś przesąd - Ferron skomentował uwagę Javiera poważnie, gdy jednak zobaczył uśmiech na twarzy rozmówcy, zrozumiał jego intencje i też się uśmiechnął. - Mówmy sobie może po imieniu, w końcu długa droga przed nami.

- Oczywiście - zgodził się Javier. - Miałem właśnie to samo zaproponować.

- Świetnie. A ty czym jeździsz?

- Na razie mam starego mustanga, ale zamierzam wkrótce zmienić.

Pierwsze lody zostały przełamane. Droga do granicy minęła szybko i bez problemów wjechali do Belgii. Javierowi spodobały się tamtejsze krajobrazy, a szczególnie to, że autostrada biegła na wzniesieniach. Nie przypuszczał, że w tym kraju teren jest tak pofałdowany. Żadna chmura nie przykrywała błękitnego nieba, więc był zadowolony, że

okulary słoneczne miał przy sobie, a nie w bagażniku. „Na zewnątrz musi panować niezła spiekota” - pomyślał, gdy w wyprzedzającym ich kabrioletcie zobaczył mężczyznę bez koszuli i kobietę w kostiumie kąpielowym. Wyglądali na parę zakochanych, udającą się do jakiegoś bajecznego kurortu. „Czemu zachciało mi się jechać akurat do Paryża? Czy nie trzeba było odwiedzić Majorki albo jakiegoś kąpieliska w Egipcie? Może obeszłoby się bez tylu niespodzianek... Ale tam nie poznałbym Marileny... Szkoda tylko, że tak atrakcyjna kobieta wplątała mnie w to całe zamieszanie. Jak sprawy ucichną, to może wybiorę się z nią gdzieś nad morze? Właśnie takim kabrioletem... Jak wtedy, gdy byłem na urlopie z Sandrą. To dopiero była kobieta...” Javier zamknął oczy i przywołał w myślach wspomnienia z wypadów na atlantyckie wybrzeże, blisko Mar del Plata. Miał tam jedno ulubione miejsce, gdzie zresztą bywał nie tylko z Sandrą.

- Możesz spać. Jak będę miał już dość prowadzenia, to cię obudzę i mnie zmienisz - powiedział Ferron.

Javier już go nie słyszał. Posapywał miarowo, z głową opartą o szybę.

Letnie słońce nie szczędziło gorących promieni austriackiej stolicy. Vincent w duchu doceniał skuteczność klimatyzacji, gdy co rusz przystawał przed skrzyżowaniem, czekając, aż zapalą się zielone światła. Na szczęście było już blisko. Niedługo zaczynała się pora lunchu, ale skoro Gomez twierdził, że jest taki zapracowany i musi uważać na dietę, to może dzisiaj zrezygnuje z posiłku lub zamówi coś do biura. To jednak nie było najważniejsze. Główny problem stanowiło znalezienie odpowiedniego miejsca. Skręcił

w prawo, a po chwili wjechał na mały parking przy stacji benzynowej i kafejce. Stało tam kilka aut i ruch panował spory. Ktoś sprawdzał ciśnienie w oponach. Dwóch mężczyzn w garniturach, którzy prawdopodobnie przyszli lub przyjechali z pobliskiego biura na południowy posiłek, dyskutowało zawzięcie, jedząc łączywie hot dogi i popijając colę. Jakaś kobieta rozłożyła na masce samochodu plan, chcąc zapewne znaleźć drogę do celu swojej podróży. Punkt był doskonały. Vincent wiedział, że tutaj nikt nie zwróci na niego uwagi. Zaraz jedni powrócą do swoich firm albo pojedą dalej, a zamiast nich pojawią się inni. W ciągu godziny sytuacja na parkingu zmieni się kilkakrotnie. Posiedział jeszcze chwilę za kierownicą, rozkoszując się chłodnym klimatyzowanym powietrzem. Z hotelu nie od razu pojechał do centrum, aby tutaj dotrzeć. Najpierw musiał znaleźć teren za miastem, gdzie nie było ludzi. Odkręcił tam pojemnik przymocowany pod karoserią, wyjął zamaskowany karabin i wsunął go w zwój skór. „Nie sądziłem, że będę musiał wymontować pojemnik, jeszcze zanim wjadę do Polski” - Vincent narzekał do siebie, odkręcając śruby. Z czoła lał mu się pot i czuł, że jego koszula za chwilę będzie mokra. Pomstował na upał i żałował, że nie pływa teraz w pięknym basenie hotelu „City Club”. „Dziś jeszcze raz przyjdzie mi to wkręcać” - myślał ze zgrozą, przecierając spoconą twarz. - „Przynajmniej mogę uznać, że właśnie zaliczyłem saunę”. Nie był jednak aż tak bardzo zaskoczony dodatkowymi utrudnieniami. Zwykle wszystko szło zgodnie z planem, ale co jakiś czas zdarzały się niespodzianki. „Taka robota!” - dodał sobie otuchy tymi słowami, gramoląc się spod samochodu. Gdy TRG-42 był owinięty w skóry, Vincent mógł spokojnie otworzyć puszkę piwa. Na szczęście zawartość okazała się jeszcze całkiem chłodna. Nie pierwszy

raz przewoził karabin przez granicę i próbował już różnych metod, aby nie wpaść. O skórach pomyślał niedawno. Uważał, że to znakomite rozwiązanie. Zrolowane skóry świetnie ukrywały broń, a na granicy TRG-42 będzie znów w metalowym pojemniku przyczepionym do podwozia. Celnicy - o ile w ogóle zainteresują się samochodem - zajmą się skórami, zamiast zaglądać pod karoserię. W czasach BSE, ptasiej grypy i innych chorób rozprzestrzenianych przez zwierzęta, naturalne skóry to pierwsze, co może wzbudzić ich zainteresowanie. Skóry na pewno odciągną uwagę od wszelkich innych ładunków przewożonych osobowym samochodem. Żeby jednak nie spowodowały długiego postoju na granicy, Vincent miał ze sobą odpowiednią dokumentację i fakturę stwierdzającą, że są to wzory bez wartości handlowej. Zdobyć takie dokumenty to nic trudnego, zwłaszcza dla kogoś, kto już przekroczył niejedną granicę z karabinem snajperskim.

Właśnie dwaj mężczyźni od hot dogów wrzucili śmieci po posiłku do kosza i wsiedli do samochodu. Vincent chwilę poczekał, aż ich pojazd ruszy, i wtedy dopiero wysiadł. Rozejrzał się po okolicy. Kobieta wciąż pochylona była nad planem, a przed wejściem do kafejki mała grupka młodzieży zastanawiała się, co po posiłku zrobić w ten piękny, upalny, dzień. Niedaleko parkingu wznosił się budynek z restauracją na parterze. Vincent był tam niedawno na obiedzie. Wyczytał gdzieś, że restauracja jest nieziemsko droga, ale kucharz dokonuje cudów, więc postanowił spróbować. Zapamiętał adres, bo długo kluczył po okolicy i pytał przechodniów o drogę, zanim w końcu trafił. Delektując się wówczas combrem baranim w sosie z avocado, obserwował pracę robotników w nowo wybudowanym gmachu po drugiej stronie ulicy. Znajdujące się tam nadal rusztowania

świadczyły o tym, że roboty na zewnątrz nie zostały jeszcze zakończone; natomiast na parkingu przed budynkiem stało mnóstwo samochodów udekorowanych reklamowymi znakami. Widocznie pracownicy zaczęli już wprowadzać się do wynajętych przez rozmaite firmy pomieszczeń. Wyciągali z samochodów obrotowe krzesła, pudła ze sprzętem biurowym, komputery, kosze na śmieci oraz mnóstwo innych przedmiotów. Biuro Gomeza było na tej samej ulicy, co znana Vincentowi restauracja, ale o dwa numery niżej. Oznaczało to, że znajduje się w sąsiednim wieżowcu, niemal naprzeciwko zasiedlanego właśnie biurowca. Vincent miał szczęście. Nowy gmach to świetne stanowisko do strzału. Pozostawało tylko znaleźć odpowiednie pomieszczenie, z widokiem na okno, za którym pracował otyły ekonomista. Vincent wyjął z bagażnika starannie zwinięty rulon i zarzucił go na plecy. „No, lekki ten fiński wynalazek nie jest” - przypomniał sobie, jak łatwo było obchodzić się ze staruszką SWD. - „Ale jak się zachciało nowoczesności, to trzeba pocierpieć”. Nacisnął przycisk na pilocie, aby zamknąć dobrze drzwi. Byłoby niezręcznie, gdyby nie zastał tu samochodu, kiedy będzie musiał szybko i dyskretnie opuścić okolicę.

Z bagażem na ramieniu ruszył w stronę biurowca. Wyglądał jak inni urzędnicy, wprowadzający się do nowych pomieszczeń. Przed gmachem i w środku panował ruch prawie jak w metrze, kiedy wszyscy śpieszą do pracy. Kilkanaście osób stało z pakunkami przy windach. Było ich aż sześć, więc Vincent nie musiał długo czekać. Z wizytówki Gomeza wyczytał, że jego firma zajmuje szóste i siódme piętro. Gdy wsiadł do windy, nacisnął przycisk z numerem osiem. Liczył, że z wyższego piętra będzie miał lepszą widoczność. O pozostałych pasażerów się nie martwił.

Dwóch wrzeszczało coś przez komórki, narzekając na słaby sygnał w windzie, a jeden przeglądał z przerażeniem faktury i tulił do biodra pudło z laptopem. Jechali wyżej, więc nie przestali zajmować się swoimi sprawami, gdy Vincent wysiadał. Na piętrze ósmym panowała cisza, a pokoje były pozamykane. Oczywiście Vincent mógł je bez trudu otworzyć, aby mieć dostęp do okna, ale nie było to potrzebne. Wszedł do męskiej toalety i spojrzął przez okienną szybę. Budynek po drugiej stronie jezdnii widoczny był jak na dłoni. Pozostawało jedynie odszukać Gomeza. Vincent rozwinął skóry, chwycił za kolbę swojego TRG-42 i przyłożył do oka celownik optyczny.

-Jeszcze tylko skorzystam z toalety... - usłyszał z korytarza damski głos. Czyżby ktoś miał przeszkodzić w tym, co właśnie zamierzał zrobić? Vincentowi nie było to na rękę. Wstrzymał się przez moment ze swoim planem, słuchając, co będzie dalej.

- Chodź już! Zrobisz, jak będziemy w restauracji - poganiał kobietę mężczyzna.

- Ale nie wytrzymam, panie dyrektorze.

Vincent postawił karabin przy nodze, kopnął rulon skór pod pisuary i przylgnął plecami do ściany, z prawej strony drzwi wejściowych.

No dobrze, tylko szybko. Wołam windę! - znów odezwał się „dyrektor”.

Vincent spojrzął w lewo na otwierające się do środka drzwi.

-Gdzie wchodzisz? To męska... - „dyrektor” widocznie lubił we wszystkim porządek.

- Przecież tu i tak nikogo nie ma - jego pracownica chciała postawić na swoim.

Vincent nie był zadowolony z nieprzewidzianej sytuacji, ale czekał na rozwój wydarzeń. Przypuszczał, że jeśli kobieta nawet się zorientuje, że w męskiej toalecie ktoś jest, to po prostu szybko się wycofa. Raczej nie będzie mu się przyglądała. Taką przynajmniej miał nadzieję. Nikt nie powinien go tutaj teraz zobaczyć. Kobiętę mógłby obezwładnić, ale trudno byłoby dopaść na korytarzu jej przełożonego. „Z tonu, w jakim się do niego zwraca, nie wydaje się, aby łączyły ich wyłącznie stosunki służbowe”

- pomyślał Vincent. Nawet zdziwiło go, że akurat w tym momencie przyszło mu do głowy takie spostrzeżenie. „Nie powinienem myśleć teraz o głupotach. Jeśli „dyrektor” zorientuje się, że jego pracownica została napadnięta, to narobi hałasu, a jak jeszcze akurat winda nadjedzie, to będzie problem”. Vincent wiedział, że musi się skoncentrować, bo ta nieoczekiwana sytuacja mogła mu pomieszać plany. Gdyby kobieta weszła do męskiej toalety, to nie pozostałoby nic innego jak zaryzykować. Rozplanował w myślach kolejne ruchy: - „Najwyżej ją ogłuszę i krzyknę, że zaśląbła. Może „dyrektor” uwierzy i przybiegnie na pomoc. Wtedy jego też jakoś załatwię”. Naszykował się do ataku, ale kobieta nie weszła do środka.

- ...No dobrze, skorzystam z damskiej, jeśli pan nalega
- posłuchała zaleceń „dyrektora”.

W tej samej chwili rozległ się dźwięczny elektroniczny dzwonek.

- Berta, wracaj! Właśnie przyjechała winda.

- W porządku. Już idę... Ale jak nie wytrzymam, to będzie musiał mi pan kupić nową sukienkę... Plus oczywiście bieliznę. Gorzej jak zaleję buty. Wydałam na nie fortunę...

- mówiła kobieta, zanosząc się śmiechem. Na szczęście oddalała się, bo jej głos był coraz cichszy.

Później słychać było już tylko kliknięcie zamykających się drzwi windy i na korytarzu znów zapanował całkowity spokój. „Kłopot z głowy” - pomyślał Vincent. Różne sytuacje zdarzały mu się podczas realizacji zleceń, więc akurat ta go specjalnie nie poruszyła. Kiedyś miał kontrakt na włoskiego bankiera, który naraził się pewnej rodzinie mafijnej. Mężczyzna przez całą dobę miał obstawę i niezwykle trudno było do niego dotrzeć. Ale -jak to zwykle bywa - każdy ma słaby punkt. W przypadku bankiera był nim ekskluzywny jacht. Nietrudno było się domyślić, że zakupiony z pieniędzy mafijnych, które wpływały za usługi, które bankier grzecznie świadczył, zanim postanowił zerwać ze „sponsorami”. Mafii jednak decyzja bankiera nie przypadła do gustu i dlatego zaangażowano Vincenta. Na jacht bankier zwykle nie zabierał obstawy. Pływał przeważnie z żoną lub przyjaciółmi i sam pełnił rolę zarówno gospodarza, jak i kapitana. Miał wprawdzie dwóch marynarzy do pomocy, kucharza oraz kelnerkę, ale najczęściej sam stawał za sterem. Dwaj ochroniarze byli, oczywiście, niedaleko, ale na motorówce, która krążyła w pobliżu jachtu. Tylko podczas dalszych wypraw, kiedy jacht zawijał do innych portów, ktoś z ochrony wchodził na pokład. Jednak na przejażdżkach wzdłuż malowniczego brzegu Sycylii, kończących się powrotem do pełnego turystów portu w Palermo, nie było to konieczne. Bankier był przekonany, że krążąca w pobliżu motorówka z obstawą zupełnie wystarczy. Jeśli nikt nie dostanie się blisko jachtu, to on i pozostali uczestnicy morskich wypraw będą bezpieczni. Tymczasem Vincent wynajął łódź motorową i prześledził ulubioną trasę bankiera. Okazało się, że niemal każda wyprawa kończyła się w pobliżu tej samej dzikiej plaży. Bankier i jego goście wskakiwali z jachtu do wody, płynęli

na ląd i tam spędzali około godziny, opalając się na piasku lub spacerując wzdłuż brzegu. Tymczasem ochrona obserwowała teren z motorówki. Gdy plażowicze mieli już dość słońca, płynęli z powrotem na jacht, gdzie bankier stawał za sterem i kierował łódź do Palermo. W dniu, kiedy jedna z takich wypraw miała miejsce, Vincent wynajął motocykl Kawasaki VN 1600 i dojechał na nim w okolice plaży od strony lądu. Wybrał taki środek transportu nie bez powodu. Myślał, że uda mu się wjechać pod górę bezpośrednio nad urwisko, skąd będzie widać plażę. Przecenił swoje siły. Rzadko jeździł motocyklem i piaszczysty grunt utrudniał utrzymanie równowagi. Po kilku nieudanych próbach Vincent dał za wygraną i wszedł z karabinem na skałki pieszo. Tam wybrał odpowiednie stanowisko strzeleckie i wygodnie położył się, czekając na jacht bankiera. Wtedy jeszcze posługiwał się „snajperką” SWD. Miała już swoje lata, ale nadal była sprawna. Celownik PSO-1 nie był może szczytem techniki, jednak bez trudu można było podziwiać z bliska, jak szybujące nad morzem ptaki niosą w dziobach pożywienie dla swojego potomstwa, ukrytego bezpiecznie w gniazdach. Wszystko przebiegało tak jak zwykle. Pojawił się jacht i wkrótce uczestnicy rejsu dopłynęli wpław do plaży. Część zajęła się podziwianiem widoków, a inni, w tym także bankier, ułożyli się wygodnie na piasku. Gdy Vincent miał bankiera na celowniku i dotykał już palcem wskazującym spustu, usłyszał za sobą w oddali znajomy warkot silnika. Zrezygnował więc z oddania strzału i - jak się okazało - dobrze zrobił. Był to bowiem warkot jego motocykla. Nieopatrznie zostawił kluczyk w stacyjce, bo nie podejrzewał, że na takim odludziu może znaleźć się złodziej. „Nie ma ostatnio w ludziach za grosz uczciwości - pomstował, gdy wrócił do miejsca, gdzie zostawił wynajętę

kawasaki. - Wolą kraść, niż zająć się jakąś pracą". Był wściekły, ale postanowił się nie przejmować. „Ot, jeszcze jedna niespodzianka podczas wykonywania obowiązków - wytłumaczył sobie to nieoczekiwane utrudnienie. - Dobrze, że nie oddałem strzału, bo na pewno ochroniarze bankiera dobiliby w mig do brzegu i rozpoczęliby poszukiwania". Vincent był wprawdzie w niezłej formie, ale nie ćwiczył regularnie. Bez motocykla mógłby mieć problemy. Uratował go siódmy zmysł. Przecież nie musiał to być akurat właśnie jego motocykl, którego silnik usłyszał. Jednak znów zareagował jak zawodowiec. „Niezły jesteś - pochwalił się. - Oby tak dalej!" Nie pozostawało nic innego, jak ukryć karabin i liczyć na autostop. Na szczęście po kwadransie pojawił się na rzadko uczęszczanej drodze życzliwy kierowca. Vincent jeszcze tego samego dnia wrócił samochodem po ukryte w skalnej szczelinie narzędzie pracy. Zlecenie mafii oczywiście w końcu wykonał, ale bankier pożegnał się z życiem w zupełnie innym miejscu.

„Tym razem też mogło być gorąco" pomyślał Vincent. Jednak od czasu, gdy „dyrektor" i jego pracownica weszli do windy, zza drzwi toalety nie dochodziły żadne dźwięki. Vincent jeszcze chwilę stał w bezruchu, nim podszedł ponownie do okna. Można było je uchylić, ale w dalszym ciągu chciał mieć pewność, że nie zwróci na siebie czyjejś uwagi. Ktoś na chodniku mógł przecież spojrzeć w górę, na fasadę gmachu. W końcu to tylko ósma kondygnacja. Oparł kolbę o prawe ramię i przez celownik optyczny zaczął po kolei zaglądać w okna na szóstym i siódmym piętrze biurowca naprzeciwko. Widział sporo osób, ale Gomeza nie było. Przez moment nie wiedział, co ma robić. Opuścił karabin, zbliżył się do szyby i zaczął wzrokiem wodzić za ludźmi zmierzającymi w różnych

kierunkach po przeciwległym chodniku. Wreszcie uchylił lekko okno, żeby wysunąć głowę i spojrzeć na chodnik. Jakiś czas obserwował przechodniów, aż nagle zobaczył sylwetkę przysadzistego mężczyzny, który wyskoczył na jezdnię i slalomem, między samochodami, czekającymi na zmianę świateł, przebiegł na drugą stronę. Był to Gomez. Mężczyzna trzymał w dłoniach dwie papierowe torby przypominające takie, w które zwykle pakowane są dania na wynos. „Więc jednak aż tak bardzo nie przestrzega diety” - pomyślał Vincent. Jak tylko Gomez zniknął za drzwiami budynku, gdzie mieściło się jego biuro, Vincent znów przyłożył do oka celownik i powoli zaczął wodzić nim po oknach. W jednym pokoju przekomarzały się dwie kobiety, w innym siedział mężczyzna wpatrzony w monitor, a w jeszcze innym pięć osób siedziało wokół konferencyjnego stołu. Wreszcie zobaczył Gomeza, akurat w chwili, gdy ten wpadł do gabinetu i rzucił papierowe torby na biurko. Mężczyzna pokręcił się jeszcze chwilę po pokoju, nalał sobie do szklanki jakiegoś płynu, a w końcu usiadł w fotelu przy biurku, plecami do okna. Zapewne właśnie miał przystąpić do posiłku. Vincent nie czekał długo. Gdy miał kark Gomeza na celowniku, pociągnął za spust. Głowa drgnęła, co świadczyło o tym, że pocisk trafił. Ale zaraz... Jeszcze jeden ruch głową. Niedobrze. Ofiara nadal żyła. To właśnie wtedy pojawia się ten potworny, rozrywający ból, który miesza się z mętną świadomością nieuchronnego. Dla Gomeza to, co się właśnie stało, było niewątpliwie kompletnym zaskoczeniem. Nie należał przecież do ludzi, którym śmierć codziennie zagląda w oczy. Nie był gangsterem, członkiem mafii ani policjantem. Był zwykłym urzędnikiem, który widuje broń jedynie podczas seansów filmowych w kinie lub w domu, na ekranie telewizora, kiedy przyniesie do domu jakąś sensację na DVD.

Vincent nie chciał przedłużać cierpienia. Ponownie pociągnął za spust i głowa z włosami ociekającymi krwią opadła na oparcie fotela. Chwilę jeszcze popatrzył na nieruchomą sylwetkę, zawinął karabin w skóry i szybkim krokiem ruszył do windy. Za kilka minut był już na ulicy i szedł do samochodu. Był to pierwszy raz, kiedy musiał to zrobić bez żadnego honorarium. Wiedział, że taki może być koszt jego działalności, ale nie myślał, że kiedykolwiek przyjdzie mu go ponieść. Gdy w Meksyku, jeszcze przed zrealizowaniem kontraktu, Vincent dowiedział się, że Gomez zwolnił się z pracy i pojechał do Europy, był pewien, że ten kłopot ma z głowy. W najśmielszych snach nawet nie przypuszczał, że kiedyś wpadnie na byłego urzędnika biura nieruchomości w holu jednego z wiedeńskich hoteli. Nigdy nie zostawiał za sobą śladów i musiał być konsekwentny. Trudno. Tak bywa. „Świat jest jednak mały. Za mały...” - pomyślał, wyjeżdżając z parkingu na ulicę. Doskonale wiedział, jak najszybciej wydostać się z centrum Wiednia. Znał też dobrze drogę do granicy z Czechami. Gdy usłyszał w oddali sygnał policyjnego radiowozu, włączył radio. Z samochodowych głośników popłynęły znajome dźwięki symfonii Mozarta.

Marilena wysiadła z samolotu po szesnastej. Na szczęście lot z Paryża do Malagi szybko minął. Za to teraz czekała ją uciążliwa przeprawa do wyjścia. Terminal charakteryzował się bardzo długimi korytarzami, które każdy podróżny musiał pokonać, zanim wreszcie dotarł do miejsca, gdzie czekały na niego walizki. Do tego klimatyzacja wyraźnie nie radziła sobie ze słońcem, które mocno nagrzewało wnętrze hali. Marilena starała się możliwie najszybciej pokonać długą

trasę, co przy wysokiej temperaturze nie było zadaniem łatwym. Tym bardziej że miała na ramieniu torbę podróżną z ubraniami oraz kosmetykami na dwa dni. Letnie sukienki i bielizna niewiele ważyły, więc postanowiła tym razem niczego nie oddawać na bagaż. „Nie był to dobry pomysł” - wypominała sobie błędną decyzję, czując na plecach krople potu. „Ale przynajmniej szybciej wsiądę do taksówki, a tam na pewno będzie chłodniej”. Pokonanie trasy ułatwiały ciągnące się w nieskończoność ruchome chodniki, więc Marilena oczywiście z nich korzystała. Wreszcie minęła punkt odbioru bagażu, szybko przeszła obok stanowisko kontroli celnej i wydostała się na zewnątrz. Przywitało ją upalne popołudniowe słońce. Trochę razilo, więc zmrużyła oczy i podeszła do stojących w rzędzie taksówek. Wsiadła do pierwszej z nich.

- Marbella, proszę! - rzuciła kierowcy. Gdy taksówka ruszyła, Marilena wyciągnęła z torebki puderniczkę i zaczęła tuszować na twarzy ślady potu oraz zmęczenia. W samochodzie rzeczywiście było chłodniej, nawet trochę za zimno, ale znacznie przyjemniej niż w terminalu. Marilena postanowiła zrelaksować się chwilę i w myślach uporządkować dotychczasowy rozwój wydarzeń. Wszystko na razie układało się dobrze. Mógł być kłopot z Javierem, ale wyjaśnienie Higginsa najwyraźniej do niego przemówiło. Gdyby rzeczywiście poszedł na policję, to pomieszałyby wszystkie plany, a wtedy nie wiadomo, jak Higgins mógłby zareagować. Na szczęście Javier zrezygnował z dzielenia się z kimkolwiek swoimi wątpliwościami i ewentualnymi podejrzeniami, co umożliwiło realizację kolejnego etapu przypisanej mu misji. Teraz prawdopodobnie był już z Ferronem w Niemczech. Marilena przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie.

„Kto by przypuszczał, że uwierzy w bajeczkę o bracie, którą sprzedałam mu na lotnisku, i od razu połknie haczyk. Higgins jednak miał nosa - ponownie otworzyła puderniczkę i zerknęła w lusterko, tym razem, aby upewnić się o swojej urodzie. - Albo rzeczywiście tak działałam na facetów, albo akurat jestem w guście Javiera. Oznaczałoby to, że człowiek Higginsa dobrze wywiązał się ze swojego zadania". Tak naprawdę to Marilena nie miała żadnego brata w Londynie. Zresztą w ogóle nie miała rodzeństwa. Była rozpieszczoną jedynaczką, która dopiero po studiach stanęła na własnych nogach. Pochodziła z Hiszpanii. Jej rodzice przeprowadzili się do Zurychu wkrótce po tym, jak Marilena przyszła na świat. Jej ojciec był nauczycielem akademickim, a matka nigdy nie pracowała. Woląca zajmować się córką, a wszystkie obowiązki związane z utrzymaniem rodziny zostawiła przeciętnie zarabiającemu mężowi. Dlatego jak tylko znajomy męża poinformował go o tym, że zwolniło się miejsce na katedrze iberystyki w Zurychu i rektor tamtejszej uczelni rozpoczął poszukiwania odpowiedniego kandydata, ojciec Marileny był pierwszy w kolejce po etat. Spodziewał się zwiększonych wydatków po narodzinach córki i wcale się nie mylił. Przeprowadzka z Madrytu do Zurychu nie przyniosła spektakularnej zmiany w dochodach rodziny Garbo, ale matka Marileny nadal nie musiała rozglądać się za posadą i mogła skupić uwagę na ukochanej córeczce. Była z nią we wszystkich ważnych momentach. Pierwsze randki, szkolne bale, egzaminy wstępne na studia i wreszcie dyplom magistra ekonomii. Sama zakończyła naukę na szkole średniej, więc wykształcenie córki było jej nadrzędnym celem. Wiedziała, że Marilena zamiast odrabiać lekcje, wołała korzystać z życiowych uciech, więc tym bardziej śledziła jej poczynania. I udało się. Zrealizowała swoje

marzenie, choć może akurat nie było to marzenie córki; przynajmniej nie najważniejsze. Ale tego akurat matka nie przyjmowała do wiadomości. Teraz tylko pozostało wybrać odpowiedniego, dobrze sytuowanego, kandydata na zięcia i mogły razem - o tym, żeby Marilena podjęła jakąkolwiek pracę w ogóle nie było mowy - zająć się wychowaniem potomstwa. Tymczasem oczko w głowie mamusi postanowiło - świadomie lub nie - akurat w tym momencie życia zrobić rodzinie psikusa. Zamiast rozglądać się za dobrą partią na męża, w Marilenie zrodziła się chęć dokonania czegoś po raz pierwszy na własną rękę. Bez wiedzy rodziców wybrała zawód, który - zarówno nadopiekuńczej mamusi, jak i chyba ojcu wcale by się nie spodobał. Zresztą do tej pory obydwie wierzą, że ich córeczka utrzymuje się w Paryżu ze sprzedawania pamiątek bogatym turystom, wśród których wypatruje idealnego męża.

Taksówka pokonała zatłoczony fragment trasy i kierowca mógł przyspieszyć. Marilena wyjrzała przez szybę na białe budynki, wznoszące się po obydwu stronach nadmorskiej autostrady. Te z lewej strony, bliżej plaży, były na ogół hotelami. Czasami nawet przez zazielenione płoty można było dojrzeć niebieską wodę w basenach i turystów w kostiumach kąpielowych. Marilena sporo czytała na temat Costa del Sol. To największe centrum turystyczne Hiszpanii jeszcze w latach osiemdziesiątych należało do najbiedniejszych terenów kraju. Nadmorski pas od Malagi po Sotogrande zaczął się szybko rozwijać od 1986 roku, kiedy kraj dołączył do Unii Europejskiej. Fundusze, jakie wpłynęły z Unii w ciągu dwudziestu lat uczestnictwa, zostały dobrze wykorzystane. Dzięki nim stworzono nowe miejsca pracy, głównie w branży turystycznej, oraz wybudowano mnóstwo nowych dróg i autostrad. Taksówka mijiała co kilka

kilometrów reklamy rozmaitych pól golfowych. Na Costa del Sol jest ich największe zagęszczenie w całej Europie. Marilena nie grała w golfa, ale zawsze chciała spróbować. Tu było doskonale miejsce na ten elegancki sport. „Zresztą sport jak sport, ale ilu przystojnych facetów macha tymi kijami” - Marilena uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Starła się sobie przypomnieć, kiedy i gdzie ostatnio naprawdę korzystała z uroków lata, ale jakoś żadne takie zdarzenie z najbliższej przeszłości nie przychodziło jej do głowy. „Dziś pewnie też się nie uda - pomyślała. - Chyba że wieczorem, po spotkaniu. Jednak wtedy najwyżej wchodzi w grę kąpiel w hotelowym basenie. Opalanie będą musiała odłożyć na później. Zresztą to i tak podobno już niemodne, a do tego szkodliwe - przypomniała sobie przeczytany niedawno artykuł w jakimś kobiecym magazynie. - Ale mimo wszystko trochę słońca by nie zaszkodziło”. Otworzyła oczy i spojrzała jeszcze raz w lustro. Nie była zadowolona ze swojego wyglądu. Marzyła o dłuższym odpoczynku, w jednym z hoteli, które właśnie mijali, lub gdzieś dalej, nad krystalicznie czystą wodą i wśród egzotycznej roślinności. Leżałaby na bajecznie wygodnym leżaku, popijając wykwintne drinki. Koniecznie przez słomkę. Popatrzyła jeszcze chwilę przez okna taksówki na turystyczne krajobrazy Costa del Sol, po czym schowała puderniczkę do torby i położyła głowę na oparciu. Słońce o tej porze nie było jeszcze na tyle nisko, aby przez szyby razić w oczy. Zamknęła powieki i odetchnęła głęboko. „Niech się dzieje, co chce. Chwila snu dobrze mi zrobi” - pomyślała, szeroko ziewając.

Raul Sanchez siedział na ławce w Marbelli, pośrodku niewielkiego parku w centrum miasta. Przez zarosili i palmy prześwitywały budynki, a ziemia wyłożona była dużymi kafelkami, niczym toaleta w pięciogwiazdkowym hotelu. Zestawienie dzikiej podzwrotnikowej roślinności z podłogą, widywaną na ogół we wnętrzach, nieco raziło w pierwszej chwili, jednak można było się przyzwyczaić. Połączenie to, mimo że dość niecodzienne, sprawiało wrażenie czystości i rzeczywiście teren był zadbane. Okolica wyglądała malowniczo, chociaż nie wyczuwało się specjalnie bogactwa, związanego z tym stosunkowo młodym, ale odwiedzanym przez VIP-ów, kurortem. Idąc w stronę słynnego Puerto Banus, gdzie najwcześniej rozwinęła się międzynarodowa turystyka, przyciągając znanych polityków oraz popularnych artystów, od Kennedy'ego i Onassisa po Ginę Lollobrigidę i Ringo Starra, dochodziło się do malowniczej promenady, udekorowanej rzeźbami Salvadora Dalego, która prowadziła do morza. Było gorąco, ale liście krzaków i wysokie palmy łagodziły nieco działanie słońca. Sanchez mógł delektować się przyjemnym powietrzem i urokliwym otoczeniem. Miał jeszcze sporo czasu. Do spotkania z dziewczyną od Briana Higginsa pozostało ponad pół godziny. Podziwiał więc egzotyczną zieleń i przyglądał się gromadce roześmianych turystów, spacerujących po wyłożonym płytkami chodniku. Zwykle w takich momentach cieszył się, że żyje akurat w Hiszpanii, gdzie w ciągu niecałego ćwierćwiecza zaszło aż tak wiele zmian. Wszystko zaczęło się w czasach, gdy w 1981 roku w wyborach zwyciężyła socjalistyczna partia PSOE, a premierem

został Felipe Gonzales. To właśnie wtedy Hiszpania zainicjowała cywilizacyjny pochód ku standardom znanym z najbardziej rozwiniętych krajów Europy Zachodniej. Zmiany dotyczyły niemal wszystkich dziedzin życia, poczynając od edukacji poprzez budownictwo i przemysł, a na infrastrukturze kończąc. Mimo tych osiągnięć, sprawa konfliktu baskijskiego nie schodziła z czołówek gazet, a naród żył w zastraszaniu. Chociaż Baskowie mieli już swój własny parlament oraz inne autonomiczne przywileje, ustanowione w 1979 roku statutem z Guerniki, ugrupowanie „Ojczyzna Basków i Wolność”, znane jako ETA, od skrótu baskijskiej nazwy Euskadi Ta Askatasuna, domagało się więcej. Mnożyły się ataki terrorystyczne. Rząd Gonzalesa postanowił również w tej dziedzinie wzmocnić działania. Powstała Antyterrorystyczna Grupa Wyzwolenia (Grupo Antiterrorista de Liberación), złożona ze specjalnie wyszkolonych pracowników. Jej celem była walka z wszelkimi odmianami terroryzmu, zarówno w baskijskich prowincjach Hiszpanii, jak i na terenach zamieszkiwanych przez Basków po drugiej stronie Pirenejów, a więc we Francji. Fakt, że oddziały GAL okrutnie rozprawiały się z terrorystami, a przeprowadzane ataki niekiedy pociągały za sobą ofiary wśród niewinnych obywateli, wywoływał wokół stosowanych metod liczne kontrowersje. Dlatego służby GAL zostały w 1987 roku rozwiązane, a większość dokumentacji związanej z ich aktywnością zaginęła. Dopiero po latach wiele spraw wyszło na jaw, a niektórzy dowódcy GAL stanęli przed sądem. Niechlubna historia Antyterrorystycznej Grupy Wyzwolenia przyczyniła się do klęski socjalistów w wyborach w 1996 roku. Ojciec Raiila Sancheza należał do GAL. Zależało mu na powstrzymaniu terroryzmu i wierzył, że pomysł powołania specjalnych grup, złożonych

z odpowiednio wyszkolonych funkcjonariuszy, może odnieść sukces. Nie był wprawdzie zwolennikiem krwawych akcji odwetowych, ale musiał wykonywać rozkazy. Dlatego sumiennie ścigał terrorystów baskijskich, głównie na przygranicznych obszarach Francji, gdzie działali nie tylko miejscowi członkowie ETA, ale też hiszpańscy uchodźcy, należący do tej organizacji. Zwykle, gdy jednostce GAL udało się zlikwidować terrorystę, ETA ruszała z kontratakami. Spirala przemocy, zamiast maleć, sukcesywnie się rozkręcała. Podczas jednej z takich akcji odwetowych ze strony ETA, w 1985 roku, ojciec Sancheza został ranny. Niestety, nie udało się go uratować. Umarł w drodze do szpitala. Raul Sanchez miał wówczas dopiero jedenaście lat, więc jego matka nie mogła mu jeszcze nic powiedzieć o okolicznościach tragedii. Dowiedział się dopiero na studiach dziennikarskich, gdy sam zaczął odkrywać dzieje konfliktu baskijskiego. Nie popierał wprawdzie metod stosowanych przez Antyterrorystyczną Grupę Wyzwolenia, ale był przekonany, że jego ojciec wstąpił do GAL nie z chęci okrutnego likwidowania członków ETA. Zrobił to przede wszystkim w celu położenia kresu ich aktywności. Wiedział też, że ojciec nie zasłużył na taki koniec. Chciał przecież uwolnić Hiszpanię od terrorystów, a spotkała go śmierć z rąk jednego z nich. Raul Sanchez postanowił wtedy, że odnajdzie mordercę ojca. Jeszcze w czasach studenckich zainteresował się giełdą. Na początku handel akcjami, mimo że na małą skalę, wpędził go w tarapaty finansowe. Z powodu źle przemyślanych operacji sporo stracił. Nie poddał się jednak i udało mu się w stosunkowo krótkim czasie wszystko odzyskać. Odtąd gra na giełdzie nie tylko dawała mu sporo przyjemności, ale stopniowo pomnażała jego bankowe konto.

Po studiach zdobył pracę w „Cambio 16”. Najpierw pisał felietony gospodarcze. Redaktor naczelny pisma wiedział o sukcesach giełdowych Sancheza, więc bez trudu wybrał dziedzinę, w której młody dziennikarz najlepiej się sprawdzi. Dla doświadczonego gracza giełdowego dział ekonomiczny był zdecydowanie najwłaściwszym miejscem. Później jednak Sanchez przerzucił się na sprawy polityczne. Już po kilku latach stał się publicystą znanym nie tylko w Hiszpanii, ale w wielu innych krajach. Podziwiano, jak potrafił zawsze we właściwym czasie dotrzeć tam, gdzie właśnie trwał jakiś konflikt. Jego relacje z akcji policyjnych, których celem było zatrzymanie członków ETA, odpowiedzialnych za akcje terrorystyczne, były najbardziej poczytnymi tekstami czasopism, z którymi współpracował. Pojawiał się też często w informacyjnych programach telewizyjnych, komentując wydarzenia związane z konfliktami na tle sytuacji w Kraju Basków. Gdy zrobiło się o nim głośno, chętnie gościli go zagraniczni przywódcy, z którymi przeprowadzał wywiady. Liczne podróże umożliwiały mu przyglądanie się z bliska wydarzeniom na świecie. Czy był to konflikt iracki, czy też spustoszenia wywołane huraganem Katrina na południowych wybrzeżach Stanów Zjednoczonych, relacje Raiila Sancheza cieszyły się dużym zainteresowaniem czytelników. Mimo młodego wieku zdążył napisać dwie książki, jedną o początkach konfliktu baskijskiego, drugą o międzynarodowym terroryzmie. Równocześnie znajdował czas, aby kontynuować poszukiwania zabójcy ojca. Uczęszczał też regularnie na treningi judo i lekcje strzelania. Wiedział, że obydwie umiejętności mogą mu się jeszcze kiedyś w życiu przydać. Wreszcie pewnego dnia jego marzenie się spełniło. Poznał ponad wszelką wątpliwość nazwisko mężczyzny, który w 1985 roku wystrzelił śmiertelną kulę. To Alfred

Jimenez, jeden z najgroźniejszych terrorystów. W chwili, gdy strzelał do ojca Raula Sancheza, miał czterdzieści lat. Wkrótce po tym zdarzeniu zniknął całkowicie ze struktur ETA. Podejrzewano nawet, że nie żyje. Prawda okazała się jednak zupełnie inna, całkiem prozaiczna. Podobno poznał kobietę swojego życia, młodszą od niego o szesnaście lat, i na dowód miłości obiecał jej odciąć się całkowicie od terrorystycznej przeszłości. Zmienił nazwisko na Damian Rosa i uciekł ze swoją ukochaną do Kanady. Pobrali się w Montrealu. Wesele było huczne, bo takie tradycje wyniosła z domu jego wybranka. Nazywała się Barbara Niedzielska i pochodziła z Polski. Do Hiszpanii wyemigrowała w 1981 roku, kiedy była jeszcze na studiach. Na początku wiodło jej się niespecjalnie, ale jak poznała Jimeneza, jej los się nagle odmienił. To ona postawiła warunek, aby zerwał z ETA. Był zakochany po uszy, więc się zgodził. Tak rozpoczęła się ich wspólna przyszłość. Sanchez dowiedział się o wszystkim od Briana Higginsa, którego poznał na bankiecie noworocznym zorganizowanym w Paryżu przez redakcję magazynu „Paris Match”. Higgins przedstawił się jako biznesmen, który chce zainwestować w Kraju Basków, i pytał o opinię na temat bezpieczeństwa tego typu operacji. Powiedział, że czytał dużo o terroryzmie i zna książkę Sancheza. Zdradził też, że niedawno dowiedział się całkiem przypadkiem o losach jednego z najgroźniejszych byłych działaczy ETA.

- Właściwie nie powinienem tego nikomu mówić, bo informacja pochodzi od mojego kolegi z Interpolu, ale chyba zaczął działać szampan - Higgins mrugnął do Sancheza i spojrzął na swój pusty kieliszek, który trzymał w dłoni. - Na szczęście na bankietach w Paryżu można skosztować najlepszych trunków. Może jeszcze po jednym?

-Dlaczego nie - zgodził się Sanchez. - Raul mam na imię. Dziwię się, że na tym kiermaszu mody znalazłem osobę, która nie interesuje się wyłącznie głębokością damskich dekoltów.

- Brian... Mam na imię Brian - Higgins uściśnął dłoń Sancheza. - Chociaż wcale nie twierdzę, że te dekolty mnie całkowicie nie interesują - rzucił porozumiewawcze spojrzenie i parsknął śmiechem. - Wracając jednak do Alfreda Jimeneza - tak nazywał się dawniej ten terrorysta - to mam nadzieję, że nikomu o tym nie powiesz. Przyjaciel by mnie chyba zabił. Wyrwało mi się... Nie mam już głowy do alkoholu.

-Nie. Zatrzymam to dla siebie. Bądź spokojny.

Później ich rozmowa zeszała na sport i sytuację na europejskich giełdach. Sanchez jednak zaraz następnego dnia poruszył wszystkie swoje źródła informacji i okazało się, że to, co mówił Higgins, mogło dotyczyć właśnie człowieka, którego on od lat tropił. Nie wierzył w aż taki zbieg okoliczności. Dlatego poprosił jednego ze swoich kolegów, prokuratora z Paryża, aby spróbował znaleźć coś na temat Briana Higginsa. Z tym było jednak gorzej. Ludzi o takim nazwisku nie brakowało, ale nikt nie pasował do starszego, dystyngowanego, mężczyzny, którego Sanchez poznał na bankierze. Postanowił więc umówić się na spotkanie. Wykręcił numer z wizytówki, którą dostał od Higginsa.

- Słucham, Brian Higgins - głos w słuchawce brzmiał znajomo.

Witaj, Brian. Mówi Raul. Ten z „dekoltego” bankietu. Pamiętasz?

-Oczywiście, Raul. Byłem pewien, że zadzwonisz. Zapewne chciałbyś się ze mną zobaczyć?

Spotkali się jeszcze tego samego dnia przed Luwrem. Sanchez nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę, ale okazało się, że nie musiał się wysilać. Higgins był doskonale przygotowany.

- Dzień dobry, Raul. Przejdźmy od razu do rzeczy. Wiem, że próbowałeś mnie wytropić, ale nie jest to takie łatwe.

Higgins zachowywał się i mówił inaczej niż na bankiecie. Sanchezowi wydało się, że ma do czynienia z kimś zupełnie innym. Postanowił mu jednak nie przerywać.

- Wiem, że jesteś w Paryżu sam. Mój człowiek śledził ciebie od momentu, gdy wyszedłeś z hotelu. Chodzi oczywiście o Alfreda Jimeneza. Wiem, że go poszukiwałeś i wiem też o twoich sukcesach giełdowych. Sprawa bowiem ma swoją cenę.

-Jaka? - Sanchez już domyślał się, z kim ma do czynienia. Na pewno nie był to biznesman, szukający handlowych kontaktów w Hiszpanii.

- Powoli, Raiil. Wszystko zależy od twoich oczekiwań. Mogę ci oczywiście powiedzieć, gdzie morderca twojego ojca obecnie się znajduje, ale to prawdopodobnie ci niewiele da. Zresztą koszt takiej informacji to nawet dla ciebie spora suma, więc dlaczego nie mieć za nią czegoś więcej. Za niewielką dopłatę mogę ci pomóc tego człowieka zlikwi dować. Przecież właśnie o tym marzysz. Mam rację?

A skąd wiesz, że zaraz nic pójde na policję?

- Możesz to oczywiście zrobić, ale będzie im równie trudno mnie znaleźć jak twojemu koledze z prokuratury. Tymczasem ty będziesz jeszcze przez wiele lat błdził, aż wreszcie się poddasz, i Jimenez ujdzie bezkarnie. Były terrorysta już dawno zmienił nazwisko i jest daleko stąd. Tylko ja mogę cię do niego zaprowadzić.

Sanchez stał w bezruchu, patrząc na uśmiechniętą triumfująco twarz Higginsa.

- Pomyśl, Raiil. Taka okazja może się nie powtórzyć. Czekam na twój telefon jutro rano do jedenastej. Później już mnie nie znajdziesz. Numer będzie nieaktualny. Tymczasem radzę odwiedzić Luwr. Kontakt ze sztuką świetnie porządkuje myśli. Podobno mają jakąś nową ekspozycję. Będzie łatwiej podjąć decyzję. Ja muszę lecieć. Do usłyszenia!

Higgins tym razem już nie wyciągnął prawej dłoni na pożegnanie, ale przyłożył ją do ucha, jakby odbierał telefon.

-Najpóźniej o jedenastej! - krzyknął, odchodząc i trzymając wciąż prawą dłoń przy uchu. Potem opuścił ją i pomachał lewą ręką. Wreszcie odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w kierunku parkingu.

Sancheza kosztowało to nieprzespaną noc, ale skontaktował się z Higginsem następnego dnia, parę minut przed jedenastą. Spotkali się jeszcze jeden raz, aby wszystko omówić. Plan był ryzykowny, ale dopracowany do ostatniego szczegółu. Okazało się, że w 2000 roku Alfred Jimenez, a właściwie Damian Rosa, przeniósł się z Montrealu do Polski. Rodzice jego żony byli zamożnymi ogrodnikami, którzy rozkręcili biznes jeszcze w czasach, gdy słowo „badylarz” było nad Wisłą synonimem bogactwa. Ojciec Barbary Niedzielskiej zmarł stosunkowo wcześniej, zaraz po tym, jak jego córka wyemigrowała. Od tamtej pory firmę prowadziła samodzielnie jej matka, Wanda Niedzielska. Było to całkiem spore gospodarstwo sadownicze w okolicach Warszawy, a dokładniej między Piasecznem i Grójcem, niedaleko trasy E7. Tam stał też dom Niedzielskich. Do firmy należały jeszcze tereny uprawne w okolicach Grójca, którymi zajmowali się wynajęci rolnicy. Wanda Niedzielska radziła sobie zupełnie dobrze w roli menedżera. Zdobyła nawet kilka

nagród za osiągnięcia w dziedzinie ogrodnictwa i brała czynny udział w rozmaitych formach aktywności rolniczej na Mazowszu. Ze wszystkim radziła sobie zupełnie dobrze, w tym również z księgowością firmy, mimo że zakończyła naukę na liceum gastronomicznym, a w sprawach związanych z rolnictwem i ekonomią była samoukiem. Niestety, w 2000 roku zginęła w wypadku samochodowym. Jej córka musiała więc wrócić do Polski, aby przejąć schedę i kontynuować biznes. Przyjechał z nią też mąż. Najpierw planowali wszystko sprzedać i wrócić do Kanady. Szybko jednak wciągnęli się w ogrodnictwo i postanowili zostać. Zabójca ojca Sancheza wiódł więc teraz spokojny żywot plantatora w pobliżu Warszawy.

Higgins krok po kroku wyjawiał Sanchezowi, w jaki sposób - z jego pomocą - dziennikarz będzie mógł pomścić śmierć swojego ojca, a jednocześnie wyjść z tego bezkarnie. Plan Higginsa był dość skomplikowany, ale przy właściwej organizacji działań na kolejnych jego etapach mógł doprowadzić do celu. Brakowało jeszcze kilku najważniejszych elementów, ale te Higgins obiecał zdradzić dopiero po otrzymaniu zaliczki. Zanim więc Raul Sanchez poznał wszystkie szczegóły, musiał do połowy oczyścić swoje konta bankowe. Resztę miał zapłacić, gdy plan doczeka się pomyślanej realizacji.

Marilena powiedziała taksówkarzowi, żeby się zatrzymał. Byli na jednej z centralnych ulic Marbelli, wzdłuż której mieściły się sklepy i banki. Zapłaciła za kurs i wysiadła. Popołudniowy upał wciąż dawał się we znaki, ale nie było czasu, aby o tym myśleć. Do małego parku, gdzie miała

spotkać się z Sanchezem, było jeszcze kilkadziesiąt metrów. Znała to miejsce ze swojego poprzedniego pobytu w tym nadmorskim kurorcie i dlatego od razu o nim pomyślała, kiedy umawiała się z hiszpańskim publicystą. Oczekwała moment, aż samochody zatrzymają się na światłach, i przeszła na drugą stronę ulicy. Po chwili dotarła do zielonej enklawy. Raula Sancheza spostrzegła od razu. Znała doskonale jego twarz z audycji telewizyjnych. W świetle dnia był nawet jeszcze bardziej podobny do Javiera. Gdyby nie wąsy, on i jego argentyński sobowtór byłiby niemal identyczni. Nawet ubierali się w zbliżonym stylu. Sanchez spojrział na nią i uniósł głowę, ale nie wstał od razu. Dopiero gdy zbliżyła się, nabrał pewności, że to właśnie z tą kobietą był umówiony. Wtedy podniósł się i zrobił krok w jej stronę, żeby się przywitać.

- Dzień dobry. Mam na imię Marilena. Jestem od Briana Higginsa.

- Domyśliłem się. Dokładnie o czasie. Czy tu porozmawiamy, czy wejdziemy gdzieś na kawę?

- Proponuję, abyśmy przeszli się po promenadzie. Tam jest równie przyjemnie, a swobodniej będzie można rozmawiać.

- Niech więc pani prowadzi. Myślałem, że ustalimy jakieś hasło rozpoznawcze albo coś w tym rodzaju - Sanchez chciał przełamać pierwsze lody. Zresztą słyszał ze swojej elokwencji.

- To dobre w kryminałach. Czy jakaś inna kobieta o imieniu Marilena zaczęła pana w ciągu ostatnich kilku minut, mówiąc, że jest od Higginsa? - zapytała zniżonym głosem. Gdy jednak zauważyła zdziwienie na twarzy Sancheza, roześmiała się. - Co? Przestraszyłam pana? Nie chciałam... Jak pan widzi, hasła nie zawsze są potrzebne.

Wyszli spod cienia palm na pasaż z rzeźbami Dalego. Słońce w dalszym ciągu mocno prażyło.

- Czy wszystko przebiega zgodnie z planem? - zaczął pierwszy Sanchez.

- Jak najbardziej. Pana dubler właśnie jedzie do Polski. Będzie w Warszawie prawdopodobnie późno w nocy. Jest z nim nasz człowiek, więc wszystko mamy pod kontrolą.

- Kto to jest?

- Argentyńczyk. Lekarz. Długo szukaliśmy, nim trafił się odpowiedni kandydat. W Hiszpanii nie było nikogo na tyle podobnego. No, może jeden nadawałby się, ale ma rodzinę, więc prawdopodobnie podczas podróży chciałby być w kontakcie z żoną i dziećmi. To mogłoby pomieszać nam szyki. Ten natomiast to kawaler, samotnik. Nawet nie jest teraz z żadną kobietą. Wystarczy mu przelotne znajomości, a żyje głównie pracą i golfem.

- Już wie, jaka jest jego misja?

- Jeszcze nie. Na razie traktuje wyjazd jako wyprawę turystyczną z małym wątkiem sensacyjnym.

- Właśnie... Jak przyjął wydarzenia związane z kinem?

- Trochę się wystraszył. Zwłaszcza jak nasi ludzie wtargnęli do mnie, udając policjantów. Uwierzył, że poszukują go zarówno prawdziwi sprawcy, jak i władze francuskie. Dlatego od razu zgodził się przyspieszyć wyjazd do Polski. Na razie wmówiliśmy mu, że całkiem przypadkiem znalazł się w centrum wydarzeń. Uwierzył, że wszyscy zapomną o nim, jak tylko policja dotrze do zamachowców.

- A jeśli w Polsce nie zgodzi się współpracować?

- Nie ma obawy. Opłaceni przez nas ludzie odpowiednio naświetlą mu sprawę, gdy już będzie w Warszawie. Nie

sądzę, aby młody Argentyńczyk chciał znaleźć się we francuskim więzieniu. Zwłaszcza jeśli jest niewinny.

- Czy aby wasi ludzie będą mieć wystarczające argumenty?

- Jeśli nie, to mamy plan „B”, ale chyba nie będzie nam potrzebny.

- Mówiłem, że nie chcę, aby coś mu się stało. W przeciwnym razie się wycofuję.

- Teraz to już trochę za późno, panie Sanchez. Ale proszę się nie martwić. Nie to akurat miałam na myśli. Raczej użyjemy po prostu innych argumentów, aby go przekonać do współpracy. Nie chcę pana zanudzać szczegółami. Proszę mi wierzyć, że wiemy, co robimy.

Zbliżyli się właśnie do plaży. Tu i ówdzie na piasku leżeli amatorzy opalenizny. Najwięcej turystów było na leżakach pod parasolami, które wyrastały przy mieszczących się wzdłuż wybrzeża hotelach. Morze było spokojne, tylko przy samej plaży woda delikatnie szumiała, załamując się na piasku. Wiał lekki, ale ciepły wiaterek. Zamiast więc chłodzić, potęgował tylko wrażenie upału.

- Może jednak wejdziemy gdzieś, aby się czegoś napić?
- zapytał Sanchez.

-Nie, dziękuję. Po drodze z lotniska tylko wrzuciłam torbę podróżną do hotelu. Marzę o tym, żeby tam wrócić i się wykapać.

- To może wieczorem?

-Nie, naprawdę. Dziś miałam ciężki dzień, a jutro nasz samolot wylatuje bardzo wcześnie. Życzę miłego wieczoru w Marbelli. - Marilena wyciągnęła rękę, aby się pożegnać.

-To w takim razie do zobaczenia na lotnisku!
- powiedział Sanchez i uściśnął jej dłoń.

- Do zobaczenia... Aha, na lotnisku się nie znamy. Również w samolocie - pouczyła go Marilena. Zresztą chyba nie będzie panu potrzebne towarzystwo. Jak tylko rozpoznają w panu słynnego publicystę, to od fanów trudno będzie się opędzić.

- Z tą popularnością to trochę przesada. Daleko mi jeszcze do Micka Jaggera.

-Ja bez trudu pana dzisiaj rozpoznałam. Chętnie popatrzę na reakcję innych pasażerów. Do jutra!

Marilena ruszyła promenadą w stronę ulicy. Raul Sanchez jeszcze chwilę popatrzył na morze, po czym udał się w kierunku hotelu.

Przed granicą w Cieszynie stała długa kolejka samochodów. Vincent odczekał już swoje i właśnie oddał paszport do kontroli. Minęła godzina 23, więc wyliczył, że w Warszawie będzie nie wcześniej niż po drugiej. Odebrał dokument i skinął głową na pożegnanie. Już miał ruszać, gdy zobaczył, jak celnik daje znak, aby się zatrzymał. „Niedobrze” - pomyślał, ale nacisnął hamulec i stanął w wyznaczonym miejscu.

- Dzień dobry! Kontrola celna. Co pan wwozi do Polski? - odezwał się celnik łamaną angielszczyzną.

- Rzeczy osobiste, kilka garniturów, dokumenty handlowe i wzory.

- Proszę wysiąść z samochodu i otworzyć bagażnik.

Vincent bez słowa wykonał polecenie.

- Co jest w tym rulonie?

-Nic... To są po prostu zwinięte wzory skór - oferta dla polskich producentów obuwia.

- Proszę rozwinąć rulon.

Vincent rozwiązał sznurki i rozłożył skóry na dachu samochodu.

- Ma pan na to jakieś dokumenty?

- Tak, proszę, oto faktura. Wzory bez wartości handlowej.

Celnik popatrzył na dokument wystawiony w języku włoskim, obrócił go na drugą stronę, potem znów na pierwszą i oddał go Vincentowi.

- W porządku. Może pan jechać.

- Dziękuję. - Vincent zwinął skóry i ponownie wrzucił je do bagażnika. - Do widzenia!

- Do widzenia - mruknął celnik i wrócił do biura.

Vincent usiadł za kierownicą i włączył starter. Tak jak przypuszczał, skóry skutecznie odwróciły uwagę od pozostałego bagażu. Celnik nawet nie zainteresował się walizką i wieszakiem na garnitury. O kontroli podwozia tym bardziej nie pomyślał. „Czekałaby go tam ciekawa niespodzianka” - pomyślał Vincent. Ostatnią granicę miał za sobą i odprężony jechał w kierunku Warszawy. Po drodze musiał jeszcze napełnić bak, ale to dopiero za jakieś kilkadziesiąt kilometrów. Powinien też coś zjeść. Od śniadania w stolicy Austrii nie miał nic w ustach. Nagle samochód zatrząsał się, a koła grzmotnęły o jakąś przeszkodę. Vincent zjechał na pobocze, włączył ręczny hamulec i wysiadł. Popatrzył za siebie na drogę. Była dość dobrze oświetlona, ale niczego nie zobaczył na asfalcie. Zajrzał jeszcze pod samochód i upewnił się, że pojemnik z karabinem jest na swoim miejscu. Następnie wrócił za kierownicę i ruszył dalej. „Pewno jakaś dziura w drodze” - wytłumaczył sobie zdarzenie. Jak jeszcze kilka razy koła samochodu napotkały przeszkody, miał już pewność, że to wina drogi. Zmniejszył prędkość i włączył radio. „Jeśli takie

wyboje będą do samej Warszawy, to chyba wcześniej niż o trzeciej nie dojadę" - pomyślał, gdy wzrokiem odnalazł zegar na desce rozdzielczej.

Kolacja była wyborna. Marilena rozkoszowała się świetnie przyrządzonym homarem w specjalnym, lekko czosnkowym sosie. Musiały być w nim jakieś zioła i inne składniki, jednak nie umiała ich rozpoznać. W każdym razie dobrze, że posłuchała kelnera, który jej właśnie to danie zarekomendował. Świetne białe wino doskonale komponowało się z delikatnym smakiem homara. Wino też wybrała za poradą kelnera. Na deser zamówiła lody zmiksowane ze świeżymi truskawkami i posypane czarnym pieprzem, z dodatkiem alkoholu. Po raz pierwszy jadła to zestawienie we Włoszech. Mimo dość niezwykłego połączenia słodkich lodów z używanym zazwyczaj do dań głównych ostrym pieprzem, nietypowy deser i tym razem smakował wyśmienicie. Po kolacji usiadła z kawą przy basenie i długo rozkoszowała się powiewem morskiego wiatru. Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Dobry wieczór, panie Higgins - rozejrzała się po okolicy, sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu. Na szczęście sąsiednie stoliki były puste. Mogła więc rozmawiać swobodnie. Zresztą nawet jakby ktoś stał blisko, niczego dziwnego nie zauważyłby w jej wypowiedzi. Nie spostrzegła jednak sylwetki mężczyzny, który w tym momencie wszedł na patio, zatrzymał się, a następnie usiadł przy barze, skąd obserwował, jak rozmawiała.

- Tak. Wszystko w porządku... Był zadowolony... Nie, nie ma obawy, panie Higgins, mieszkamy w różnych hotelach...

Lecimy rano o dziewiątej... Oczywiście, że powiedziałam mu o tym... Dziękuję. Panu też życzę miłego wieczoru. Dobranoc!

Marilena rozłączyła się i znów rozejrzała się po rozświetlonym lampami hotelowym patio. Niebo było bezchmurne, więc można było podziwiać tysiące gwiazd na tle czarnego firmamentu. Spojrzała w kierunku kelnera i dała mu znak, że prosi o rachunek. Kelner zjawił się przy jej stoliku niemal natychmiast. Marilena wypisała na rachunku numer pokoju i złożyła swój podpis. Tymczasem mężczyzna, który śledził jej ruchy, ruszył w kierunku schodów prowadzących na górę. Marilena wstała od stołu i popatrzyła w kierunku morza. Pomyślała, że mogłaby tak jeszcze stać kilka godzin, rozkoszując się wieczorną ciszą, maconą jedynie głosami hotelowych gości, delektujących się - podobnie jak przed chwilą ona - smakami hiszpańskiej kuchni. Jednak miała przed sobą kolejny trudny dzień, więc należało się położyć do łóżka. Nawet jak nie zaśnie od razu, to przynajmniej trochę dłużej odpocznie. Zrobiła trzy głębokie wdechy, a następnie udała się do swojego pokoju. Gdy się do niego zbliżyła, zauważyła, że drzwi nie są domknięte. Na ogół zwracała uwagę na takie drobiazgi i mogłaby przysiąc, że wychodząc, na pewno je zatrzaskiwała. Ale pewnie się myliła. Zresztą po jej wyjściu mogła jeszcze przyjść pokojówka, żeby przygotować posłanie na noc. Należało mimo wszystko zachować ostrożność. Nie oczekiwała żadnych niespodzianek, więc nie miała ze sobą broni. Musiała jednak zbadać sytuację i upewnić się, że żadne niebezpieczeństwo jej nie grozi. Mogła zawołać kogoś z recepcji albo przynajmniej pokojówkę, ale nie chciała wzbudzać sensacji. Pchnęła więc mocno drzwi, które otwały się na oścież. Sama pozostała w holu, przyczajona za

zewnątrzną futryną. Ten odruch pozostał jej z licznych szkoleń, jakie przeszła, nim trafiła do służby. „Przydałby się teraz jakiś pistolet” - pomyślała, nasłuchując, czy z pokoju nie dochodzą jakieś dźwięki.

- Nie wchodzisz? - zapytał znajomy męski głos.

- Czekam tu już kwadrans.

- Cześć, Frank - powiedziała z ulgą i weszła do środka.

- Musiałeś mnie tak nastraszyć? Nie planowaliśmy dzisiaj spotkania. Aż mi hiszpańska kolacja podeszła do gardła.

- Jedzenie smakowało? Widziałem cię w restauracji.

- To trzeba było tam do mnie podejść, a nie włąmywać się do mojego pokoju.

- Chciałem to zrobić, ale jak się zbliżałem, to zaczęłaś rozmawiać przez telefon. Usłyszałem nazwisko „Higgins”, więc nie chciałem przeszkadzać. Zresztą lepiej, żeby nikt nas nie widział razem. Wszystko gra?

- Oczywiście. Przecież mnie znasz... A gdzie zgubiłeś Billa?

- Tajskie żarcie mu nie posłużyło, więc odchorowuje obiad w pokoju hotelowym. Pewnie zamiast spać, będzie latał do łazienki przez całą noc, więc liczyłem na to, że ty mnie przenocujesz.

- Jeśli lubisz spać na podłodze lub w fotelu, to czuj się jak u siebie.

- Fotel będzie w sam raz. Już go wypróbowałem. Wynajęliśmy samochód. Bill przyjedzie po mnie rano. Niestety, nie zabierzemy cię na lotnisko. Lepiej, żebyśmy trzymali się osobno...

- Wiem, wezmę taksówkę. Tylko o szóstej cię tu nie ma, bo nie lubię, jak mi się ktoś kręci po pokoju podczas porannej toalety. Śniadanie też wolę zjeść sama.

-Okay. Zaraz dzwonię do Billa, żeby przyjechał trochę wcześniej.

Javierowi nie przeszkadzało, że było już ciemno. Lubił nawet prowadzić w nocy. Przed dwiema godzinami minęli Świecko i byli w Polsce. Droga od granicy miała zaledwie po jednym pasie ruchu w każdą stronę, ale dało się jechać. Nie to, co w Niemczech, gdzie można było naprawdę przyspieszyć. Ale dziury w jezdni przypomniały Javierowi Argentynę. „Zupełnie jak w Buenos Aires” - pomyślał, gdy po raz kolejny zatrzęsło samochodem. Jego towarzysz podróży oddał mu kierownicę dopiero za Berlinem i zasnął zaraz po przejechaniu polskiej granicy. Mimo wybojów chrapał od dłuższego czasu miarowo w fotelu pasażera. Dopiero teraz, gdy wjechali na dwupasmową drogę, uniósł głowę i rozejrzał się po okolicy.

- Gdzie jesteście? - zapytał, przecierając oczy.

- Na autostradzie. Mam nadzieję, że tak będzie do samej Warszawy. Nareszcie można trochę dodać gazu. Proponuję, abyśmy za jakąś godzinę zatrzymali się gdzieś na kawę. Co ty na to? - zapytał Ferrona, ale zamiast odpowiedzi, usłyszał z prawej strony rytmiczne posapywanie. Drogowskaz, który mijali, informował, że do polskiej stolicy pozostało jeszcze 305 kilometrów. „Jeśli prowadzi tam ta autostrada, to powinniśmy dojechać w ciągu trzech godzin” - pomyślał Javier i upewnił się, czy nie przekracza dozwolonej prędkości. Czytał trochę o Polsce, ale nie wiedział nic o zwyczajach tutejszej policji drogowej. Wolał więc na wszelki wypadek uważać. Najwyżej będą w hotelu trochę później.

Prezydent próbował zasnąć. Nie było to jednak łatwe. Światła nadjeżdżających z naprzeciwka samochodów raziły oczy i nie pozwalały się całkowicie wyłączyć. Nie pomagały w tym także rozmaite myśli. Czy właściwie ustosunkował się do kwestii wykorzystania funduszy unijnych? Czy powinien być tak nieustępliwy w sprawach związanych z kolejną Paradą Równości w Warszawie? Niech się teraz lokalne władze martwią. Konferencja w Katowicach znacznie się przeciągnęła. Ale tak zwykle bywało, gdy pozwalał się za bardzo wciągać w dyskusję. Powinien odpowiadać na pytania i teraz byłby już w łóżku, a nie wciśnięty w tylne siedzenie prezydenckiej limuzyny. Na szczęście minęli już Raszyn i za kilkanaście minut będą przed Pałacem Prezydenckim. W nocy o tej porze w stolicy nie ma wielkiego ruchu. Nieliczne samochody, które mijali, grzecznie zjeżdżały na bok. Wprawdzie również w dzień inne pojazdy musiałyby ustąpić miejsca, ale gdyby to była godzina szczytu, to nie miałyby gdzie zjechać i nawet z przejazdem prezydenckiej kawalkady byłby kłopot. Dlatego zwykle planowano z góry najlepszy czas przejazdu. Tym razem też o wszystkim pomyślano, tylko pobyt w Katowicach się przedłużył. Właśnie volvo V70 ustąpiło miejsca prezydenckiej limuzynie, zjeżdżając na prawy pas. Vincent nie bardzo wiedział, kto o tej porze mknie po Warszawie, otoczony obstawą, jednak podejrzewał, że to musi być jakaś szycha, albo nawet sam prezydent. Przetarł oczy i zajął się szukaniem w radiu stacji, która umiliłaby mu ostatnie minuty podróży. Królowała muzyka nastrojowa, głównie jazz. Posłuchał chwilę „Almost Blue” w wykonaniu Diany Krall, lecz zaraz

ponownie włączył wyszukiwarke. Wreszcie niespodzianka. Springsteen z „Thunder Road” może nie pasował do tak późnej pory, ale niewątpliwie zachęcił do dalszej jazdy. Vincent zerknął w lewe lusterko, a widząc, że nikt z tyłu nie nadjeżdża, włączył kierunkowskaz i ruszył prawym pasem. „Weź mnie za rękę. Wyjeżdżam tej nocy, aby odnaleźć ziemię obiecaną”. Znał te słowa na pamięć. Wprawdzie dość późno docenił wydany w 1975 roku album „Born to Run”, ale jak tylko zasmakował w porywających kompozycjach, świetnych tekstach, a przede wszystkim w mistrzowskich interpretacjach Bossa, płyta zajmowała zaszczytne miejsce na półce z napisem „ulubione” w jego domowej płytotece. Przejechał teraz pod wiaduktem i skręcił w lewo. Gdy dojechał do hotelu „Holiday Inn” i włączył prawy kierunkowskaz, żeby zjechać do podziemnego parkingu, zobaczył, jak dwieście metrów przed nim ciemne murano przemknęło przez rondo z dużą prędkością. „Pewno jedzie ze 120 na godzinę. Jakiś szaleniak. Gdyby nie ta pora, to zaraz zgarnąłby go jakiś patrol” - pomyślał Vincent i wjechał do garażu. Tymczasem w murano za kierownicą siedział Alain Ferron. Miał dość całego dnia jazdy i chętnie położyłby się spać. Do tego nie bardzo wiedział, jak znaleźć hotel, a o tak późnej porze nie było kogo spytać. Nacisnął hamulec, bo właśnie dostrzegł dwóch mężczyzn w mundurach policyjnych. Zajęci byli rozmową, więc postanowił zaryzykować.

- Javier! - krzyknął Ferron do śpiącego obok towarzysza podróży i uderzył ręką w jego ramię. - Obudź się! Zapytaj ich, jak dojechać do hotelu!

Javier otworzył oczy, kiedy samochód zatrzymał się przed policjantami, a Alain opuścił prawą szybę. W pierwszej chwili, widząc dwóch policjantów, wydarzenia z Paryża

przeleciały przez jego zaspaną głowę, a strach wywołał ciarki na plecach.

- Zapytaj ich, jak dojechać do hotelu - powtórzył Ferron.

Javier wreszcie oprzytomniał, uśmiechnął się do policjantów i wykrzyknął

-,„Sheraton"! „Sheraton"? - po czym rozłożył ręce w geście wyrażającym dezorientację.

- Prosto dwie przecznice, a następnie w prawo i potem znów prosto - odpowiedział po polsku jeden z funkcjonariuszy, mocno przy tym gestykulując.

-Jak skróćcie w prawo i pojedziecie prosto, to hotel będzie tam po lewo. Left! - zakończył po angielsku drugi. Chyba był w trakcie nauki angielskiego lub gdzieś to słowo wcześniej słyszał.

Ferron niewiele z tego zrozumiał. Bardziej się domyślił, że trzeba jechać prosto, natomiast w drugą przecznicę skrócić w prawo.

- Thank you! - powiedział Javier po angielsku, głównie z uwagi na słowo „left", które padło na zakończenie. Pomknęli dalej. Na szczęście po skręceniu w prawo, zgodnie z instrukcją pierwszego policjanta, spotkali jakiegoś przechodnia. Ferron zjechał na prawy pas i zatrzymał się przy mężczyźnie, a ten na tyle zainteresował się samochodem, że przybliżył twarz do szyby. Wówczas Javier otworzył okno.

- „Sheraton"? - zapytał.

Przechodzień musiał wracać z nocnej imprezy, bo ledwo trzymał się na nogach i zionął alkoholem. Widząc jego stan, Ferron chciał od razu ruszać, jednak Javier go powstrzymał.

- Poczekaj, mów coś!

- Sh...eraton! P...rosto! - mężczyzna bełkotał i wskazywał przed siebie prawą ręką. - H...otel będzie p...o lewej stronie. Z...obaczycie go n...a pewno! - tym razem zrobił

karykaturalny wymach lewym ramieniem i z rozbrajającym uśmiechem wykrzyknął „Good morning!”

- Thank you! - powtórzył Javier, przekonany, że angielski to jedyny język, który ktoś tu na ulicy może zrozumieć.

Po paru minutach byli na miejscu. W „Sheratonie” nie mieli już żadnych problemów językowych.

„Dajcie mi akord C-dur, a dam wam tysiąc melodii”. To słowa Marca Bolana. Co mają wspólnego z treścią książki? Niewiele i bardzo dużo. Nie wiesz, kto to Marc Bolan? Zapytaj rodziców. Jeśli oni też nie wiedzą, pozostają babcia lub dziadek. Jeśli jednak musisz z tym pytaniem zwracać się do dziadków, to chyba nie masz jeszcze 18 lat, więc nie czytaj dalej. Radzę ucziwie. Ta książka nie jest dla ciebie. Piszę trochę jak autorzy ostrzeżenia na torbach plastikowych („...nie dawać do zabawy dzieciom, grozi uduszeniem...”), ale - możesz mi wierzyć - wiem, co robię. Pozwól jednak, że wrócę do Marca Bolana. Był on muzykiem, który potrafił prostymi środkami dojść do wielkich rzeczy. Sukces kierowanej przez niego grupy T. Rex jest na to dowodem. Pisał światowe przeboje oparte niekiedy jedynie na pięciu nutach. Przekładem chociażby utwór „Get it on”. Teksty układał takie, aby dobrze brzmiały z muzyką. To nic, że czasami niewiele znaczyły. „Get it on. Bang the gong. Get it on”. Rewelacja! Nawet dla kogoś, kto w ogóle nie zna angielskiego. Mimo upływu 35 lat od premiery wciąż się tego dobrze słucha. Czasami warto pójść tropem lidera grupy T. Rex. Najprostsze rozwiązania na ogół bywają najlepsze. Ale chyba już za dużo zdradzam, a miałem tylko badać twoją czujność...

Czy w innym mieście, a nawet w innym kraju, bardzo daleko od domu, można spotkać na ulicy sąsiada, z którym nie widzisz się miesiącami, bo wychodzicie do pracy i wracacie o różnych godzinach? Zdarza się to dość często. Na ogół nie wywołuje to żadnych sensacji. No, chyba że sąsiad ma żonę i jest akurat w Hongkongu z nieznaną ci blondynką lub - to może rzadziej - źródłem jego dochodów są kontrakty na morderstwa. Wtedy raczej nie należy się ujawniać, bo może okazać się, że twoja obecność będzie mu nie na rękę i wrócisz z dalekiej wyprawy nie o własnych siłach, ale na leżąco, w drewnianej skrzynce. Nie masz wśród sąsiadów płatnego mordercy? Skąd ta pewność? Regularny, spokojny, tryb życia może być świetną przykrywką...

Teraz krótka przerwa. Wstań i robimy przysiady. Raz, dwa, raz, dwa... Nadwaga jest twoim wrogiem. Każdy dodatkowy kilogram to niepotrzebny wysiłek dla serca. Jeśli po kilkunastu przysiadach zaczynasz sapać i masz dość, to znaczy, że nie kontrolujesz diety. Ale nie martw się tym specjalnie. Człowiek może cuda robić, żeby utrzymać kondycję, a tu mu kiedyś cegła na głowę spadnie i cały wysiłek na nic. Zanim więc wrócisz do lektury, strzel sobie kawałek tortu lub tłustego pączka. Śmiało! Korzystaj z chwili...

Wcześniej mówiłem o dokładnym sprawdzeniu, z kim zawierasz znajomości. Nawet na noworocznym bankiecie organizowanym przez znane czasopismo nie wszyscy muszą koniecznie podawać się za tych, którymi naprawdę są. Trzeba więc zawsze być czujnym. Jeśli kiedykolwiek masz wątpliwości co do rozmówcy, to radzę taką osobę sprawdzić. Już wiem, co teraz myślisz. Zastanawiasz się, co zrobić, gdy taka osoba jest nie do sprawdzenia, nawet przez twojego przyjaciela z policji lub prokuratury? Mówiłem już, że nie

prowadzę kącika towarzyskiego, ale na pewno w takich przypadkach zdecydowanie odradzam wymianę numerów telefonów... O dziurach w polskich drogach było sporo, więc nie będę do tego wracał. Wystarczy przejechać samochodem niewielką odległość i natychmiast przestaje dziwić astronomiczny koszt budowy jednego kilometra autostrady, liczony w grubych milionach euro. Żeby zalepić tak wielkie dziury, jakie straszą na polskich drogach, trzeba nie lada wysiłku. Szkoda tylko, że kiepskich dróg trzeba czasami wstydzić się nawet przed osobnikami, żyjącymi z uprawiania zawodu, będącego w sprzeczności z prawem.. Tym razem tyle. Teraz pora na następny rozdział...

rozdział 3

dzień piąty i szósty (chronologicznie)

Marilena spała tej nocy bardzo głęboko. Nie słyszała nawet, jak wychodził Frank. Ale gdy budzik postawił ją na równe nogi, poczuła ból głowy. Kiedy jednak popływała kwadrans w basenie i napiła się soku pomarańczowego, wszystko wróciło do normy. „Gdyby tu tak zostać parę dni i zapomnieć o wszystkim” - zatopiła się w marzeniach, spożywając na tarasie zamówione do pokoju śniadanie i rozkoszując się przepięknym widokiem morskiego krajobrazu. Plaża była prawie pusta, tylko jeden amator porannego sportu biegł wzdłuż brzegu, rozpylając od czasu do czasu wodę, gdy fala zalewała jego stopy. Panowała cisza, niezmacona jeszcze głośną muzyką, która zwykle towarzyszy tradycyjnym porannym zajęciom rekreacyjnym, przygotowywanym przez hotelowych animatorów. Tylko chwilami słychać było, jak w oddali szczeka pies, zapewne prowadzony na poranny spacer lub dający znak swojemu panu, żeby przypomniał sobie o obowiązkach i wypuścił go przed drzwiami. Od czasu do czasu zaszczebotał ptak lub zawarczał silnik samochodu jakiegoś nieszczęśnika, który - zamiast korzystać z zasłużonego urlopu na malowniczym hiszpań-

skim wybrzeżu - spieszył do pracy. Mimo wczesnej pory, słońce zaczynało przygrzewać, a lekki wiaterek roznosił charakterystyczną letnią woń podsuszanej trawy, zmieszaną z zapachem kwiatów i palm. Marilena miała jeszcze dwie godziny do wylotu. „W sam raz - pomyślała, spoglądając na zegarek. - Teraz trzeba tylko spakować torbę, zamówić taksówkę i uregulować rachunek”. Wypiła ostatni łyk soku i zaczęła układać ubrania w torbie. Po dwudziestu minutach stała przed hotelem. Na taksówkę nie trzeba było długo czekać. Podczas jazdy odszukała w podręcznej torebce bilet i kolejny raz uzupełniła szminkę na ustach. Gdy wysiadła przed terminalem, do odlotu pozostało jeszcze pół godziny. Miała dużo czasu. Tak jak podczas lotu do Hiszpanii poprzedniego dnia, również i teraz nie oddawała nic na bagaż. Odebrała tylko kartę pokładową i udała się do wyznaczonej bramki.

Lotnisko było pełne turystów. Ponieważ opuszczała Malagę, towarzyszyły jej głównie osoby wypoczęty, opalone i zapewne z żalem żegnające Wybrzeże Słońca. Rzeczywiście było tu bajkowo. Piękne krajobrazy, świetnie wyposażone ośrodki wypoczynkowe i wspaniała pogoda. Marilena żałowała, że na tak krótko przyjechała w te strony. Obiecała sobie jednak, że jak wszystko się zakończy, to na pewno w podobnym miejscu będzie odpoczywać. „Może nawet ładniejszym” - na moment znów rozplynęła się w marzeniach. Wyrwał ją z nich głos chłopca krzyczącego po polsku „mama”. Popatrzyła na małżeństwo z dwójką małych dzieci. Wszyscy byli brązowi od słońca. Podobnie zresztą jak większość pasażerów. Nazwa tej części Hiszpanii nie wzięła się z niczego. „Prawdopodobnie na przylotach jest teraz znacznie więcej białych twarzy” - pomyślała Marilena,

przypominając sobie zgłodniałych odpoczynku i słońca turystów, z którymi leciała poprzedniego dnia.

Samolot już czekał, więc od razu weszła na pokład i zajęła wyznaczone miejsce. Gdy zapięła pasy, zobaczyła Raula Sancheza. Dziennikarz uklonił się witającej go w drzwiach stewardesie, a ona uśmiechnęła się do niego. Wyglądała jakby próbowała sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz. A może tylko sprawiała takie wrażenie. Marilena nie była pewna. Gdy Sanchez szedł między rzędami foteli, spoglądał na odcinek karty pokładowej i wypatrywał swojego miejsca. Po chwili je znalazł i usiadł w fotelu, trzy rzędy przed Marilena. Prawie jako ostatni do samolotu wszedł Frank Weller. Ten sam, który minionej nocy nocował w pokoju Marileny. Wyglądał tak, jak większość ludzi wyobraża sobie typowego Anglika. Rozwiane, opadające na uszy ciemne włosy, ostre rysy twarzy i lekko zadarty do góry nos. Puścił oko do tej samej stewardesy, która przed chwilą witała Sancheza, i porwał ze stojaka „Herald Tribune”. „Pewno Bill znowu gdzieś zablądził albo musieli po drodze stawać z powodu jego problemów żołądkowych” - tak Marilena tłumaczyła sobie późne pojawienie się kolegi. „Dobrze, że Bill nie leci z nami, bo turbulencje mogłyby mu jeszcze bardziej zaszkodzić” - pomyślała, otwierając informator pokładowy. „Lot do Paryża ma dopiero po południu, więc do tego czasu powinno mu przejść”.

Bill, ten, który dowiózł Franka na lotnisko, a dokładniej Bill Jackson, istotnie miał przed sobą jeszcze sporo spraw nad Sekwaną i rzeczywiście nie czuł się najlepiej. Zatrucie pokarmowe trzymało go przez większość nocy i właściwie dopiero przed czwartą zdołał na krótko zasnąć. Na szczęście głośny budzik, który Jackson woził zawsze ze sobą, gdyż nie dowierzał służbom hotelowym, punktualnie o piątej zrobił

swoje. Jego właściciel błyskawicznie wstał i przystąpił do porannej toalety. Nie minęło pół godziny, jak był na hotelowym parkingu i wsiadał do samochodu, aby pojechać po Franka. Czekał go ciężki dzień, a już dawno nie był w tak fatalnej formie. „Co mnie podkusiło, żeby brać do ust to świństwo?” - Bill pomstował wybór tajskiej restauracji, jakiego zresztą on sam dokonał, gdy z Frankiem Wellerem poprzedniego dnia wylądowali głodni w Maladze. Gdyby nie pewne formalności, których on i Frank musieli dopilnować na południu Hiszpanii, na pewno nic nie wyrwałoby Billa akurat teraz z Paryża. Z kolei Frank miał lecieć do Warszawy i tam czekać na Marilene. Skoro jednak obowiązki przywiodły go na Costa del Sol, to postanowił spotkać się z nią w Marbelli i tym samym samolotem lecieć do Polski. Natomiast Bill - po odwiezieniu Franka na lotnisko - wracał do Paryża, gdzie czekało na niego mnóstwo obowiązków. Wszystkie dotyczyły Briana Higginsa.

Frank właśnie mijał Marilene, aby zająć miejsce w tylnej części samolotu, a stewardesa - ta od powitań - zatrzasnęła drzwi i udała się do kabiny pilotów. Gdy już wszyscy pasażerowie byli na swoich miejscach, jej koleżanka rozpoczęła prezentację instrukcji zapinania pasów oraz procedury postępowania w sytuacjach awaryjnych. Tymczasem maszyna toczyła się w kierunku pasa startowego. Gdy tam dotarła, nastąpił krótki postój. Samolot do Warszawy był dopiero trzeci w kolejce do startu, więc trzeba było parę minut zaczekać. Wreszcie charakterystyczne głośnie wycie silników i metalowy kolos zaczął rozpędzać się po szerokiej, betonowej, nawierzchni. Coraz szybciej i szybciej, aż przód oderwał się od ziemi i pociągnął wielotonową masę w błękitne przestworza. Gdy zakończyło się wzbijanie, maszyna wyrównała lot.

-Nazywam się Evita Rodriguez i mam przyjemność dowodzić załogą samolotu Boeing 737. Właśnie osiągnęliśmy wysokość przelotową. Nasza podróż do Warszawy potrwa trzy godziny i piętnaście minut. Życzę państwu miłego lotu!

Damski głos płynący z głośników wywołał zdziwienie na twarzy niejednego pasażera. Kobieta w roli kapitana to jednak coraz częstsze zjawisko w podniebnym pasażerskim transporcie. „Nie tylko mnie przypadło w udziale męskie zajęcie” - Marilena miała zamknięte oczy i uśmiechała się do siebie.

- Co robimy z tak smakowicie rozpoczętym dniem?

Mówiąc te słowa, Javier ocierał usta serwetką po śniadaniu. On i Alain Ferron siedzieli w hotelowej restauracji. Słońce zaglądało przez szyby, zapowiadając upalną pogodę.

- Mam jeszcze trochę spraw do załatwienia. - Ferron właśnie dopijał kawę. - Ty po prostu zwiedzaj. Podobno jest tu Starówka z zamkiem, mają też jakiś duży budynek w centrum, pochodzący z czasów, gdy Stalin sprawował władzę w Związku Radzieckim. Można wjechać na najwyższe piętro i podziwiać panoramę Warszawy. Jest też Belweder, gdzie poprzednio urzędował prezydent, ale tam chyba nie ma wstępu dla turystów. Nie chciałbym cię jednak wprowadzić w błąd. Moje informacje o Warszawie nie są najlepsze. Może jednak ten Belweder nie jest całkowicie zamknięty. Zresztą zapytaj w recepcji.

- Warszawa jest dużo mniejsza od Buenos Aires?

- Znacznie. Tylko niewiele ponad milion mieszkańców, więc bardzo daleko do takiego kolosa, jakim jest stolica

Argentyny. Ale to niewątpliwie największe polskie miasto. Centrum administracji, biznesu i tak dalej. Za to nie ma specjalnie zabytków, bo prawie wszystko zbombardowali Niemcy podczas drugiej wojny. Jest wprawdzie Starówka, ale to tylko rekonstrukcja tego, co było tam w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

- A skąd wiesz tyle o Warszawie?

-Czytałem to i owo... Ale nie jestem pewien, czy moje informacje są aktualne, bo podobno wciąż tu coś nowego budują. Najlepiej kup sobie przewodnik.

- Tak zrobię. Zjemy razem kolację, czy cały dzień masz zajęty?

-Zostawię ci wiadomość w recepcji. - Ferron spojrzął na zegarek - Niestety, muszę lecieć! Jak ci się turystyczne szlaki znudzą, to popatrz sobie na inne tutejsze atrakcje. Podobno Polki należą do najładniejszych kobiet w Europie. Trzymaj się i udanego dnia!

-Na razie! - Javier uniósł prawą rękę w geście pożegnania. Ferron zdążył już wstać i ruszył w stronę holu głównego.

Javier rozejrzał się po sali. Było sporo kobiet, jednak jakoś żadna nie poraziła go swoją urodą. „Pewno zagraniczne turystki. Rozejrzę się, jak wyjdę z hotelu” - pomyślał Javier. „Szkoda, że Marilena nie mogła ze mną przyjechać do Warszawy. Muszę później do niej zadzwonić”.

Samolot z Malagi wylądował na Okęciu zgodnie z planem, tak jak zapowiadała pani kapitan. Pasażerowie przywiezieni zostali autobusami do terminalu, gdzie ustawili się w kilku kolejkach do stanowisk odprawy paszportowej.

Frank stał przed jednym okienkiem, ziewając i rozglądając się na wszystkie strony. Marilena cierpliwie czekała przed innym stanowiskiem, zastanawiając się, dlaczego to wszystko tak długo trwa. „Przecież Polska jest już w Unii” - uzasadniała w myślach swoje zniecierpliwienie. Dwoje stojących obok niej Hiszpanów, prawdopodobnie małżeństwo, rozpoznało Raiila Sancheza, bo dyskutowali o jego ostatniej książce. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, który stał dwa rzędy dalej, też chyba poznał znanego dziennikarza, bo ukradkiem wskazywał na niego, mówiąc coś na ucho do kilkunastoletniego młodzieńca. Marilena nie miała wątpliwości, że to jego syn. Nie byli może bardzo do siebie podobni, ale mieli takie same włosy i niemal identyczne gesty. Sanchez w miarę szybko przeszedł przez kontrolę paszportową i stanął przy stanowisku odbioru bagażu z napisem „Malaga”. Marilena nie musiała czekać na bagaż, więc jak tylko jej paszport został sprawdzony, przeszła obok taśmy, na której zaczęły właśnie pojawiać się pierwsze walizki, i wyszła z terminalu bagażowego do holu głównego. Od razu zobaczyła kilku reporterów i dwóch kamerzystów. Nie miała wątpliwości, że czekali na Sancheza. Istotnie, gdy dziennikarz przekroczył drzwi z napisem „Nic do oclenia”, rzucili się w jego kierunku.

Najszybszy był mężczyzna z mikrofonem TVN, za którym dzielnie brnął do przodu energiczny operator z kamerą na ramieniu.

- Witam serdecznie w Polsce, panie Sanchez. Jak minęła podróż? - zapytał lekko zziąjanym głosem.

- Dziękuję. Lot był spokojny. Trochę za długo trwa u was kontrola paszportowa, ale poza tym podróż bez sensacji - odparł z uśmiechem publicysta.

W tym momencie było już przed nim kilku dziennikarzy, w tym połowa z mikrofonami. Ci ostatni przekrzykiwali się nawzajem, zadając pytania.

- Jak udało się umówić na wywiad z prezydentem?

- Nie było z tym problemów. Moja propozycja została bardzo szybko przyjęta.

-Mam wcale nie jest łatwo dostać się do prezydenta. Rzadko rozmawia z dziennikarzami. Dlaczego akurat pan miał szczęście?

- Trudno mi powiedzieć. Może wasz prezydent czytał moją najnowszą książkę i zgadza się z moimi poglądami.

- Książka rzeczywiście interesująca. Gratuluję! Ale to chyba nie główny powód, a przynajmniej nie jedyny. Czy nie chodzi o poprawę wizerunku? Przecież wszyscy wiemy, że ostatnie wydarzenia w Polsce wywołują sporo kontrowersji i prezydent liczy na to, że znany publicysta rzuci świeże światło na pewne sprawy. Czy mam rację?

-Czyżby? Nie myślałem o tym w takich akurat kategoriach. Przecież mój wywiad raczej nic nie zmieni. Po prostu czytelnicy w Hiszpanii dowiedzą się więcej o Polskę.

- Skąd ta skromność? W świadomości odbiorców w wielu krajach jest pan mistrzem dziennikarskiej sztuki, świetnym publicystą, a pana ostatnia książka to bestseller. Prawie wszyscy liczą się z pana zdaniem.

-Nie wiem, czy rzeczywiście wszyscy, ale dziękuję za komplement.

- Wywiad z prezydentem jutro. Co Raul Sanchez zamierza robić w Polsce do tego czasu? Czy jakieś inne spotkania są zaplanowane?

-Nie przypominam sobie dokładnie. Musiałbym zajrzeć do notesu, a ten jest głęboko w tej walizce... - Sanchez wskazał ręką na bagaż. - Tam też są moje przybory toale-

towe, a wśród nich golarka. Jak państwo widzą, nawet nie zdążyłem rano się ogolić, więc chciałbym się jak najszybciej znaleźć w hotelu. Bardzo miło, że państwo przyszli, ale nie szykowałem się na konferencję prasową akurat w tym miejscu...

- Proszę jeszcze tylko powiedzieć, do kiedy zostaje pan w Polsce.

- To moja pierwsza wizyta. Chciałbym najpierw się trochę rozejrzeć. Zdaje się, że loty do Hiszpanii są codziennie. Dziękuję bardzo za to nieplanowane spotkanie, ale taksówka, którą zamówiłem z lotniska w Maladze chyba już czeka. Życzę miłego dnia!

Sanchez przedarł się przez tłum dziennikarzy i podszedł do mężczyzny, który trzymał w dłoniach kartkę z jego nazwiskiem. Oddał mu walizkę i ruszył za nim w stronę taksówki.

Marilena przez cały czas przysłuchiwała się nieoczekiwanej konferencji prasowej z Raulem Sanchezem w roli głównej. Gdy publicysta odjechał, też wsiadła do taksówki. Najdłużej na lotnisku został Frank Weller. Najpierw obserwował rozmowę Sancheza z dziennikarzami, a gdy Marilena i Sanchez opuścili terminal, chwilę jeszcze przyglądał się uczestniczącym w wywiadzie dziennikarzom oraz turystom. Gdy nie zauważył nic, co przyciągnęłoby jego uwagę, wszedł do kafejki. Zamówił na wynos porcję pizzy, a następnie, jedząc i ciągnąc za sobą niewielką walizkę na kółkach, zaczął przeglądać w kiosku zagraniczną prasę. Po dłuższym namyśle wybrał „Herald Tribune”, zapłacił i wcisnął gazetę pod pachę. Postał jeszcze chwilę przed kioskiem, wcinając z apetytem pizzę. Nawet zdziwił się, że w Warszawie umięją tak dobrze przyrządzić ten włoski specjał. Gdy przełknął ostatni kawałek, wrzucił do kosza serwetkę,

przez którą trzymał pizzę, i poszedł w kierunku postoju taksówek.

Marilena nie od razu pojechała do hotelu. Kazała kierowcy zatrzymać się przed chińską restauracją na Marszałkowskiej. Pora lunchu już minęła, ale to nie chęć spożycia posiłku spowodowała, że wybrała akurat to miejsce. Weszła do środka i rozejrzała się po sali. Przy jednym ze stolików siedział Alain Ferron.

-Cześć! Myślałam, że się spóźnię. Samolot przyleciał punktualnie, ale taksówka wlokła się w korkach prawie godzinę - Marilena mówiła te słowa, zajmując miejsce przy stole i kładąc na kolanach serwetkę.

-Witaj! Jednak mimo wszystko udało ci się dotrzeć punktualnie. Nie wyobrażałem sobie, żeby mogło być inaczej - pochwalił ją Ferron.

- Dziękuję za komplement. Jak minęła wczoraj droga?

-Trochę daleko jak na jeden dzień, ale jakoś daliśmy sobie radę.

Do stolika podszedł kelner i przyniósł dwie karty.

- Czy życzą państwo sobie coś do picia? - zapytał najpierw po polsku, a gdy zrozumiał przyczynę ich konsternacji, powtórzył pytanie po angielsku.

- Dla mnie campari z sokiem pomarańczowym - powiedziała Marilena.

- A dla mnie ballantine's gold z lodem - dodał Ferron.

Gdy kelner skinął głową i oddalił się, pierwsza odezwała się Marilena.

- Z hotelem wszystko w porządku?

- Jesteśmy w „Sheratonie”, tak jak chciał Higgins. Rozstaliśmy się rano, po śniadaniu. Javier miał zająć się zwiedzaniem. Powiedziałem mu, że muszę parę spraw załatwić w mieście i prawdopodobnie spotkamy się na kolacji. Mam mu zostawić wiadomość w recepcji.

- Świetnie! W jakim nastroju jest Javier? Czy widać po nim zdenerwowanie?

-Nie, zachowuje się całkiem spokojnie. Jak normalny turysta.

Wspaniale. Czy udało ci się zorganizować samochód?

-Oczywiście. Czeka na parkingu w hotelu „Marriott”, zaraz przy wyjściu z pomieszczenia, gdzie są windy, po prawej stronie. Tu są kluczyki i dokumenty - Ferron wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki żółtą kopertę i wręczył ją Marilenie, a ta natychmiast włożyła pakunek do bocznej kieszeni swojej podróźnej torby.

- Jaki model?

- Granatowy passat sedan. Nie będzie rzucał się w oczy.

- Pewny?

-Tak. Z wypożyczalni. Wynajęty na Tomasa Puentę. Papiery z „Avisa” są w kopercie, razem z hiszpańskim paszportem i prawem jazdy na to nazwisko. Higgins musi tu mieć dobre układy, bo mając adresy i kontakty, które mi podał, wszystko udało mi się załatwić w dwie godziny.

-Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej...

Właśnie do stolika podszedł kelner z drinkami.

- Czy mogę już przyjąć zamówienie?

- Zjesz coś? - zapytał Marilene Ferron.

- Chętnie, właśnie poczułam głód.

- Zwykle w chińskich restauracjach jadam ich kaczkę na słodko.

- Dla mnie też może być, ale najpierw zjem zupę. Jaka pan poleca? - zapytała Marilena kelnera.

- Wszystkie są znakomite - oznajmił kelner.

-Zatem poproszę zupę z bambusa i kaczkę na słodko z samymi warzywami.

- Dla mnie tylko kaczka, ale z ryżem - powiedział Ferron.

Kelner zebrał jadłospisy i poszedł na zaplecze, więc mogli kontynuować rozmowę.

- Co teraz? - zapytał Ferron.

- Zjemy dobry obiad, mam nadzieję.

- Ale chodzi mi o moje dalsze zadania. Higgins powiedział, że ty mnie we wszystko wprowadzisz.

- Tak. Są dla ciebie dwie sprawy, ale spokojnie, mamy czas. Zresztą nie jest to dobre miejsce na takie rozmowy.

- A co z Javierem?

- Wkrótce się dowiesz. Mamy pewien plan, ale porozmawiamy po obiedzie. Najlepiej jak już wyjdziemy z restauracji. Na razie wypijmy za spotkanie w Warszawie - uniosła campari i wyciągnęła rękę w kierunku Ferrona. Ten chwilę się zawahał, ale w końcu też podniósł swoje naczynie z whiskey i stuknął nim w szklanekę Marileny. Oboje wypili po sporym łyku napojów i postawili naczynia na stole.

- Teraz możesz mi opowiedzieć, co w tym mieście jest ciekawego.

- Nie nadaję się na przewodnika.

- Przecież Higgins kazał ci odrobić lekcje z wiadomości o Polsce. Czyżbyś zapomniał? - mówiąc te słowa, Marilena wpatrywała się w oczy Ferrona, czekając jak zareaguje. Gdy zauważyła na jego twarzy lekkie zakłopotanie, parsknęła śmiechem. - No wiesz, Alain... Lekceważysz polecenia szefa?

Ferron dopiero teraz zrozumiał, że Matilcun fcvrtuie i również się uśmiechnął.

- Czy słyszałaś coś o Stalinie? - zapytał /nifconyin głosem. Gdy z kolei teraz Marilena zrobiła zdziwioną minę. odezwał się znacznie głośniej:

- No więc jest tu w centrum taki duży budynek...

„Time goes by so slowly. Time goes by so slowly...” Ze sklepowych głośników Madonna w swoim przeboju „lung Up” zapewniała, że czas płynie wolno. „O tak, naprawdę wolno...” - pomyślał Vincent, czekając cierpliwie aż stojący przed nim mężczyzna uzyska informacje o dostępności najnowszego boksu Chrisa Rei z płytami bluesowymi.

- Był, ale się sprzedał. Proszę zapytać za tydzień - poinformował pracownik sklepu.

Takim powodzeniem się cieszy? - meloman był bardzo dociekliwy.

- Trudno powiedzieć, mieliśmy tylko jeden egzemplarz.

- Dlaczego tylko jeden? Czyżbym tylko ja o to pytał?

- Nie. Sporo osób już pytało.

- To dlaczego nie zamówiliście więcej?

-Nie wiem.

Na szczęście pytającym był Anglik lub Amerykanin, a przynajmniej osoba posługująca się językiem angielskim. Dlatego Vincent rozumiał, o czym klient i sprzedawca rozmawiają. Zresztą wydawnictwo „Blue Guitars”, o którym była mowa, stało od dawna u niego w domu na półce. Vincent był przekonany, że jak zapyta w tym samym języku, to też uzyska odpowiedź. Wprawdzie pracownikowi sklepu rozmowa sprawiała trudności, ale jakoś sobie radził.

Mężczyzna szukający „Blue Guitars” zrezygnowany odchodził właśnie od stanowiska informacyjnego, więc nareszcie przyszła kolej na Vincenta.

- Gdzie mogę znaleźć boks z reedycją „Boni To Run” Springsteena? - zapytał z nadzieją w głosie.

-Niestety... chwilowo... nie ma. Mogę... zamówić — pracownik bardziej męczył się szukaniem w pamięci odpowiednich angielskich słów, niż wstydził się braków asortymentowych.

- Nie, dziękuję. Zapytam gdzieś indziej...

Gdy Vincent wychodził na ulicę, z głośników leciało nagranie „Hello” Lionela Richie. „No tak. Puszczają takie starocie, a wznowienia Springsteena nie mają” - pomyślał. „Gdzie ja teraz znajdę inny sklep muzyczny? Dobrze, że mam dzisiaj wolne. Dopiero jutro czekają mnie kolejne zadania, więc pospaceruję po centrum i może coś wypatrzę”. Nie chciał jednak całego popołudnia spędzić w sklepach. Planował odwiedzić warszawską Starówkę, o której przeczytał w hotelowym przewodniku. Poczul głód, a ponieważ przechodził obok restauracji, zdecydował się wejść do środka. „Płyty i zabytki mogą poczekać. Teraz przydałoby się jakiś polski przysmak”. Sama myśl o dobrym daniu wprawiła go w znakomity nastrój.

Raiil Sanchez wyszedł ze swojego pokoju i podszedł do windy. Poza nim w holu na dwunastym piętrze hotelu „Marriott” nie było nikogo. Panowała całkowita cisza. Ubrany był w dres, a na nogach miał buty do biegania. Uzupełnieniem sportowego stroju był biały ręcznik, zwinięty i przewieszony przez ramiona. Prawdopodobnie każdy, kto

teraz zobaczyłby go, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą sportowca lub dbającego o kondycję biznesmena, który wybiera się na jogging albo do centrum odnowy biologicznej, mieszczącego się w hotelowych podziemiach. Z jego wyglądem gryzła się nieco wisząca na piersiach czarna lornetka, ale przecież mógł być sportowcem z ornitologicznym zacięciem. Otworzyły się drzwi windy. Sanchez poczekał, aż mężczyzna o azjatyckich rysach twarzy, ubrany w czarny garnitur i ciągnący za sobą walizkę na kółkach, opuści kabinę, a następnie wszedł do środka. Guzika nie musiał przyciskać, bo palił się tylko parter, a więc zarówno starsza kobieta w zielonym kostiumie, przypominająca Amerykankę, jak i nastolatek z blond czupryną, ubrany w dzinsy, T-shirt z nadrukiem „2 Cool 4 U” i adidasy, musieli tam jechać. Nikt nie odezwał się słowem, kiedy winda zjeżdżała niemal bezszelestnie na dół. Gdy wreszcie drzwi się otworzyły, dziennikarz przepuścił kobietę i wyszedł na korytarz. Chłopak ostatni opuścił windę i podbiegł do dziewczyny na oko w tym samym wieku, podobnie ubranej i o jasnych jak jego włosach, czekającej w holu, naprzeciwko recepcji. Sanchez popatrzył, jak całują się na powitanie, i przywołał windę do garażu. Była pusta. Zjechał na dół i wyszedł do podziemnego parkingu. Granatowy passat czekał w umówionym miejscu. Sanchez wsiadł do samochodu i wyjął z kieszeni plan. Przystudiował go już dobrze kilka razy w pokoju hotelowym, ale nie chciał się pomylić. „Higgins przygotował wszystko znakomicie, ale ja nie znam polskiego, więc jak się zgubię, to prawdopodobnie trudno będzie kogoś zapytać o drogę” - pomyślał. Dla pewności ponownie przejrzał trasę. Później do połowy przekręcił kluczyk i uruchomił radio. Zapoznał się z jego obsługą i wybrał stację, która nadawała akurat Prince'a. Na

koniec ustawił na swoim zegarku sekundnik na zero, nacisnął start i uruchomił silnik. Gdy stwierdził, że wszystko ma pod kontrolą, ruszył. Jeszcze tylko parę skrętów między zaparkowanymi samochodami, uregulowanie w automacie zapłaty za postój i po kilkunastu minutach był na Nowogrodzkiej. Do Puławskiej dotarł bez trudu, chociaż trwało to nieco dłużej, niż pierwotnie przypuszczał. Pamiętał, że teraz musi jechać przez cały czas prosto, więc mógł chwilę rozejrzeć się po okolicy. Warszawa nie wywarła na nim większego wrażenia. Przypuszczał, że w polskiej stolicy mogły być ciekawe miejsca, ale ulica Puławska nie przykuwała wzroku. Gdy jednak zbliżył się do rozjazdu z różnymi kierunkowskazami oraz wiaduktem, stracił na moment orientację. Zatrzymał się więc na chwilę przy „K.FC”. Rzut okiem na plan uspokoił go. Był na właściwej drodze. Spojrzał na licznik kilometrów oraz zegar i skorygował zapisy na planie, obok miejsca, gdzie akurat się znajdował. Wreszcie zmienił stację w radiu i ponownie ruszył. Po upływie godziny był w Piasecznie. Odnalazł kierunek na Grójec i wyjechał na trasę E7. Po kilku kilometrach, przed stojącym po lewej stronie barem z naleśnikami, skręcił w lewo. Wąska asfaltowa droga, pośród rozległych pól i owocowych sadów, doprowadziła go do małego skrzyżowania, przy maszcie wysokiego napięcia. Zatrzymał samochód i wysiadł. W prawo odchodziła już tylko droga piaszczysta. Po jej prawej stronie, podobnie jak po prawej stronie drogi asfaltowej, którą tu dotarł, ciągnął się drewniany płot. Otaczał wielki sad jabłkowy, położony na wznoszącym się lekko terenie, a więc można było go obejrzeć do samego końca, aż po sam las, który zaczynał się prawie kilometr od asfaltowej drogi, za ogrodzonym terenem. Jakieś kilkanaście metrów za ostatnim rzędem owocowych

drzew widoczny był piętrowy, potężny jasny dom, ze spadzistym, ciemnobrązowym dachem i wielkim tarasem widokowym. Kilkanaście metrów obok znajdował się drugi, mniejszy budynek, jedynie z małym okienkiem. Nietrudno było się domyślić, że był to garaż. Jego brama znajdowała się po przeciwnej stronie, a więc z miejsca, gdzie stał Sanchez, była niewidoczna, podobnie jak drzwi wejściowe do domu. Widać było natomiast olbrzymią wjazdową bramę w płocie, który ograniczał teren od strony lasu. Piaszczysta droga, prowadząca od asfaltowej, musiała skręcać za płotem w prawo i dochodzić właśnie do tej głównej bramy wjazdowej. Za drogą rozpościerał się już wyłącznie las. Natomiast teren między domem i garażem a bramą pokrywały kwieciste klomby, podzielone alejkami, a na samym środku wznosiła się okrągła fontanna, z jedną większą rzeźbą pośrodku i czterema mniejszymi, umieszczonymi symetrycznie na obrzeżach. Płot po prawej stronie bramy głównej ciągnął się jeszcze bardzo daleko, chyba ponad kilometr, aż wreszcie, na wysokości ostatniego rzędu drzew owocowych, ponownie skręcał w prawo. Widoczny był tylko jego mały fragment, którego nie zasłaniał sad. Dłuższy odcinek, dochodzący z powrotem do asfaltowej drogi, skrywały wierzchołki drzew owocowych. Dwa biegnące prostopadle fragmenty płotu łączyły się przy drodze, zamykając olbrzymią posiadłość rodziny Niedzielskich. Wszystko należało teraz do Anny Niedzielskiej, która prowadziła gospodarstwo wspólnie z mężem, Damianem Rosą. Sanchez nawet zdążył przyzwyczać się do tego przybranego nazwiska, widniejącego na materiałach zakupionych za niebagatelną sumę od Briana Higginsa. Wolał jednak myśleć o byłym działaczu ETA pod jego dawnym nazwiskiem. To przecież Alfred Jimenez zabił jego ojca.

Sanchez jeszcze raz przebiegł wzrokiem po sadzie i dwóch budynkach. Wszystko wyglądało całkiem imponująco, chociaż nie podejmował się ocenić wartości majątku. Na ogrodnictwie zupełnie się nie znał. Ale skoro matkę Barbary Niedzielskiej stać było na mercedesa s 500, którym rozbiła się sześć lat temu, niestety śmiertelnie, wracając nocą z kolacji dla przyjaciół w restauracji hotelu „Bristol” z okazji jej sześćdziesiątych urodzin, to musiało jej się powodzić całkiem nieźle. Właśnie minęła godzina 19. Zgodnie z informacjami od Higginsa, Jimenez o tej porze wychodził na wieczorny spacer do lasu. Rzeczywiście nie minęło nawet pięć minut, jak mężczyzna z siwą głową pojawił się za domem i przeszedł otoczoną kwiatami alejką w kierunku fontanny. Sanchez wyjął z samochodu lornetkę i spojrzał przez nią na mężczyznę. Tak. To był na pewno on. Mimo że zmienił nieco uczesanie, a jego włosy straciły ciemny kolor, nie było wątpliwości, że jest to poszukiwany przez Sancheza były terrorysta. Dziennikarz zdążył zapamiętać wszystkie dostępne zdjęcia Jimeneza, pochodzące jeszcze z jego działalności w ETA. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę, wyciągnął coś z wody, prawdopodobnie jakiś liść, papier lub zatopionego owada, i wrzucił znalezisko do kosza na śmieci. Później wyszedł przez furtkę w bramie, skręcił w lewo i zniknął za płotem. Gdy doszedł do końca płotu, ukazał się znowu Sanchezowi i powoli zaczął zbliżać się w jego kierunku. Podobno tak zawsze przebiegała trasa jego wieczornego spaceru. Dochodził do asfaltowej drogi, później skręcał w lewo i szedł poboczem aż do miejsca, gdzie kończył się płot. Potem znów w lewo, później kolejny raz, aż otoczył całą posiadłość. Wracał przez furtkę na dziedziniec pokryty kwiecistymi klombami i przeważnie siadał na ławce, obok fontanny, aby podziwiać zachód słońca. Okolica była

niemal pusta, jeśli nie liczyć otaczającego posiadłość lasu. Następny dom już prześwitywał w oddali przez drzewa, ale trzeba było jechać do niego jeszcze z kilometr. Wieczorną ciszę zakłócał jedynie śpiew ptaka lub stukot dzięcioła. Notatki Higginsa informowały, że właśnie o tej porze mógł się pojawić na drodze jakiś pojedynczy samochód lub amator wieczornego joggingu. Jednak okoliczni mieszkańcy podobno zdążyli się do tego przyzwyczaić, więc warunki wydawały się znakomite. Wystarczyło włożyć sportowy strój, taki właśnie, jaki Raiil Sanchez miał teraz na sobie, i Alfred Jimenez niczego nie będzie podejrzewał. Ale były członek ETA zaczął właśnie zbliżać się do asfaltowej drogi. Sanchez jeszcze raz przyłożył do oczu lornetkę. Pierwszy raz zobaczył z bliska twarz Jimeneza. Na jej widok poczuł ucisk w żołądku. Wiedział, że nie może tak dłużej stać. Samochód ukryty był za drzewami, ale jeśli Jimenez przejdzie jeszcze kilkanaście metrów, to może go dojrzeć. Tak się jednak nie powinno stać. „Nie dzisiaj” - myślał Sanchez. Widok tego samego sportowca dzień po dniu na takim pustkowiu może mimo wszystko wzbudzić podejrzenia. Zwłaszcza u byłego terrorysty. Dlatego wsiadł do samochodu i od razu odjechał. To musiało wystarczyć. Zrobił wizję lokalną, a teraz będzie czekał. Jednak jadąc z powrotem do hotelu, nie miał dobrego humoru. Wspomnienie twarzy Jimeneza nie dawało mu spokoju. Miał ją wciąż przed oczami. Nawet chyba raz przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle, ale na szczęście nie było w pobliżu żadnego policjanta. Pocięszął się, że jest coraz bliżej celu. „Minęła dwudziesta pierwsza, a więc te dwadzieścia dwie godziny nie zrobią większej różnicy” - pomyślał, gdy wjeżdżał do podziemnego parkingu hotelu „Marriott”.

Samolot, którym z Malagi leciał Bill Jackson, wylądował na lotnisku „Orły” o godzinie 20.35. Inspektor Interpolu znał doskonale Paryż jeszcze z czasów, gdy był stacjonarnym pracownikiem jednego z wydziałów Sekretariatu Generalnego. Po trzech latach spędzonych za biurkiem, kiedy rodzinny dom w Londynie odwiedzał tylko w weekendy, i to nie zawsze, postanowił przejść do pionu operacyjnego. Od tamtej pory nie musiał być w Paryżu, a miejsca jego pracy zmieniały się wraz z kolejnymi zadaniami. Nadal rzadko bywał w domu, ale przynajmniej nie musiał siedzieć w biurze przez cały dzień. Lubił pracę w ruchu. Był do niej stworzony. Uwielbiał zwłaszcza te bardziej skomplikowane sprawy. Akurat uczestniczył w jednej z najważniejszych. Interpol i francuska policja od dłuższego czasu miały Briana Higginsa na oku, jednak głównym zadaniem było dotarcie do jego mocodawcy, podejrzanego o zamachy na życie znanych osób. Higgins był tylko pionkiem, wynajętym niedawno do sprawy Jimeneza. Tak naprawdę to Interpol nie wiedział na pewno, czy mocodawcą Higginsa jest tylko jeden szaleniec czy jakaś zorganizowana, żądna krwi, grupa. Raczej jednak chodziło o samotnika, dysponującego olbrzymimi funduszami, które przeznacza na spektakularne morderstwa. Od wielu lat ten tajemniczy osobnik był nieuchwytny. Poczynaniami swoich podwładnych sterował tak umiejętnie, że mimo ciągłej inwigilacji wszystkich, którzy mogli mieć z nim jakikolwiek związek, nie udało się go zidentyfikować. Jego pomysłowość spędzała sen z powiek niejednemu agentowi. Wielokrotnie pracownicy Interpolu, współpracujący z regionalnymi oddziałami policji, byli blisko udaremnienia tragedii, jednak

zawsze w ostatniej chwili coś wymykało się spod kontroli. Co najciekawsze, podejrzewano, że „szef -jak go określano w raportach - zawsze zjawiał się na miejscu zamachu. Jakby chciał osobiście delektować się smakiem triumfu. Były na to dowody. Niestety, jak dotąd nie zaprowadziły one funkcjonariuszy do celu. Najtęższe autorytety medyczne spędziły długie godziny nad opracowaniem profilu psychologicznego „szefa". Mimo to nie udało się do niego dotrzeć. Po każdym zamachu pojawiały się nowe szczegóły, które mąciły starannie nakreślony portret. Jakby jego osobowość ulegała za każdym razem całkowitej transformacji. Stąd zrodziły się podejrzenia, że mogło chodzić o kilka osób, współpracujących ze sobą w zbrodniczym procederze. Prowadzona od lat sprawa musiała wreszcie zakończyć się sukcesem. O jej wadze świadczyło chociażby to, że cała góra Interpolu otrzymywała codziennie raporty o postępie prac. Bill Jackson dostał spore uprawnienia i miał pod sobą sztab agentów. Byli wśród nich Marilena Garbo i Frank Weller. Marilenie udało się przeniknąć do siatki Higginsa i została jego prawą ręką w sprawie Jimeneza. Nawet podsunęła mu pomysł z kinem, kiedy trzeba było postarać się o jakiś haczyk na Argentyńczyka, który miał zapewnić Sanchezowi idealne alibi. Znany dziennikarz nie mógłby przecież zastrzelić Jimeneza, nawet jeśli ten kiedyś zabił jego ojca, w czasie gdy przeprowadzał wywiad z polskim prezydentem, kilkadziesiąt kilometrów od miejsca zbrodni. Plan Higginsa, albo jego tajemniczego mocodawcy, był istotnie znakomity. Niestety, pomysł Marileny z kinem został przez kogoś w ostatniej chwili zmodyfikowany. Agentka Interpolu planowała tylko wmówić Javierowi, że policja ściga go za pomoc w przekazywaniu łapówki. Tymczasem wydarzenia potoczyły się inaczej. Higgins nie

powiedział jej o bombie. Na szczęście nikt w kinie nie zginął, bo chyba akcja zostałaby przerwana. Interpol zgarnąłby tylko Higginsa wraz z jego ludźmi, a „szef znowu uszedłby bezkarnie. Wprawdzie ostateczną decyzję musiało podjąć dowództwo Interpolu, ale po burzliwych dyskusjach ponownie zapalono zielone światło i obserwację Higginsa kontynuowano. Trzeba było też wprowadzać w życie dalsze etapy planu. Dlatego Bill Jackson postanowił podesłać do pomocy Marilenie swojego dawnego kolegę ze Scotland Yardu, a obecnie agenta Interpolu, Franka Wellera. Miał on śledzić poczynania Sancheza i Javiera Gordona, podczas gdy Marilena kontynuowała rozpracowywanie ludzi Higginsa, czekając, aż wreszcie pojawi się jakiś ślad, który zaprowadzi Interpol do „szefa”. Bill Jackson wiedział, że od wyniku zakrojonej na międzynarodową skalę akcji zależy jego kariera w firmie. Postanowił być w środku wszystkich działań, a do takich należała między innymi ciągła obserwacja willi Higginsa. Dlatego nie zaplanował na ten wieczór żadnych wizyt w paryskich kabaretach. Na lotnisku czekał na niego ubrany po cywilnemu policjant, aby go zawieźć do stojącej w pobliżu domu Higginsa furgonetki, wyposażonej w urządzenia rejestrujące wszystko, co działo się wewnątrz budynku. Od dłuższego czasu na podsłuchu były linie telefoniczne, w tym także połączenia w sieci komórkowej. Możliwy był również wgląd w przychodzącą i wychodzącą pocztę elektroniczną. Policjanci stacjonowali tam przez całą dobę, obserwując posiadłość. Marilena zadbała o to, aby odpowiednio rozlokować w pomieszczeniach willi Higginsa miniaturowe mikrofony. Mimo zastosowania najnowocześniejszych form inwigilacji, nie udało się ustalić, w jaki sposób, a zwłaszcza skąd, przychodzą polecenia. Jackson przez całą drogę siedział

zamyślony na tylnym siedzeniu i nic nie mówił. Dopiero w tej chwili dotknął ramienia policjanta, który powitał go na lotnisku, a teraz siedział za kierownicą i prowadził.

-Tu po prawej jest McDonald. Zatrzymaj się. W samolocie nic nie jadłem, a czeka mnie długa noc.

- W porządku, panie inspektorze. Mam stanąć na parkingu i wejdziemy do środka?

- Nie. Podjedź do okienka dla samochodów. Kupimy coś i ruszamy dalej.

-Jak pan sobie życzy! Stąd do willi Higginsa jest niedaleko. Powinniśmy być na miejscu za dwadzieścia minut.

Słońce już dawno zaszło, a czarne bezchmurne niebo nad Warszawą udekorowane było nieskończoną ilością gwiazd. Javier stał na widokowym tarasie Pałacu Kultury i oglądał rozświetloną panoramę miasta. „Rzeczywiście, z Buenos Aires nie da się tego porównać. Ale jak na ponad milion mieszkańców, to może być”. Żałował, że Alain Ferron nie zostawił żadnej wiadomości w recepcji hotelu, tak jak obiecywał. „Pewnie miał ważne sprawy” - usprawiedliwiał kolegę Javier. Nie lubił spędzać wieczorów samotnie, a zwłaszcza tak daleko od domu. Pomyślał o swoim szpitalu. W Buenos Aires kończył się dopiero dzień pracy. Jego koledzy zaraz zrzucą lekarskie fartuchy i wrócą do domów lub wybiorą się na jakieś wieczorne atrakcje. Oczywiście nie ci, których czeka nocny dyżur. Javier był pewien, że Carlos zaraz będzie w siłowni. Kolega Javiera dbał o sylwetkę. Golf nie jest sportem, który zmusza organizm do dużego wysiłku, a już na pewno nie do takiego jak forsowny siłowy trening. Dlatego niedostatki ćwiczeń na polu golfowym Carlos musiał

rekompensować zmaganiem się z różnymi przyrządami wyciskającymi z człowieka siódme poty oraz ze sztangami. W odróżnieniu od swojego kolegi, Javier nie potrzebował aż tak dużego wysiłku, aby czuć się dobrze. Najwyżej czasami popływał w basenie i to mu całkowicie wystarczało. Zresztą w ogóle nie lubił się specjalnie forsować i może właśnie dlatego z różnych sportów najbardziej przypadł mu do gustu golf. Nie trzeba było się pocić i męczyć do utraty tchu, aby osiągnąć wynik. Fakt, że niezbędne były niemałe umiejętności, których - ku swojemu niezadowoleniu - nie posiadał tyle, aby dorównać Carlosowi, ale nikt nie może powiedzieć, że był graczem słabym. Po prostu potrzebował jeszcze trochę czasu, aby doszlifować uderzenia, zwłaszcza te na odległość. Niedawne pierwsze zwycięstwo z Carlosem było dobrym znakiem zwykowania formy. „Szkoda tylko, że miało miejsce przy kiepskiej pogodzie” - pomyślał Javier, wspominając zwycięski mecz. „Dobrze, że Carlos musiał wtedy wracać do pracy, bo nie poznałbym Marlona Diaza. To w końcu dzięki niemu tu jestem”. Javier przez moment zastanowił się, czy właśnie tak sobie wyobrażał europejskie wakacje. Na pewno na brak wrażeń nie mógł narzekać. Mało brakowało, a uznano by go za zamachowca. Poczuł nagle ulgę, że wszystko zakończyło się dla niego pomyślnie. Wędrówka po Warszawie spowodowała, że paryskie wydarzenia wydały mu się bardzo odległe i prawie nierealne. „Na szczęście nie wylądowałem we francuskim więzieniu. To by dopiero był urlop! Ale mam przynajmniej naukę na przyszłość”. Popatrzył na gmach „Marriotta”, a następnie na monstrualne dźwigi, wznoszące olbrzymią budowlę po przeciwnej stronie ulicy. Zjechał z powrotem na dół i ruszył w kierunku najbliższego skrzyżowania. Postanowił rozejrzeć się za jakimś muzycznym klubem. Miał nadzieje, że znajdzie

miejsce, gdzie będzie można wypić kieliszek wina, słuchając polskiego bluesa lub rocka. „Ale gdzie ja tu znajdę pub z muzyką na żywo?” - zastanawiał się, przerzucając informator turystyczny, który zabrał z hotelu.

Było tam sporo nazw klubów z adresami, ale trzeba było do nich dojechać. „Zatrzymam taksówkę i pokażę kierowcy informator. A może lepiej zapytam tego faceta? Wygląda na takiego, co słucha muzyki i może nawet zna angielski”. Javier nie był pewien, czy tak jest, ale zaufał swojej ocenie dotyczącej zainteresowań i lingwistycznych umiejętności stojącego obok kiosku mężczyzny.

- Dobry wieczór! Czy może mi pan polecić najbliższy klub, gdzie występuje jakiś rockowy zespół?

Mężczyzna jednak w pierwszej chwili nie zrozumiał, więc Javier spróbował jeszcze raz.

- Rockowy zespół. Klub. Muzyka na żywo! - dopiero teraz udało mu się wywołać reakcję.

-Tak... Rozumiem. Muzyka... - Mężczyzna albo udawał, że rozumiał, albo po prostu nie znał odpowiedzi.

- Ja mogę panu pomóc - Javier odwrócił się, bo słowa wypowiedziane po angielsku usłyszał za plecami. Stał przed nim dystyngowany mężczyzna w modnie skrojonym ciemnogrnatowym garniturze i w jasnej koszuli, w delikatne czerwono-szare paski.

Szukam jakiegoś muzycznego klubu - oznajmił Javier, zadowolony, że z kimś wreszcie będzie mógł się porozumieć.

- Tak, słyszałem. Dlatego postanowiłem pomóc. Nazywam się Carl Brennan. Właśnie szedłem do mojego samochodu. Znam tu niedaleko klub z muzyką na żywo. Nie wiem, kto dzisiaj gra, ale właśnie jadę w tamtym kierunku, więc mogę pana podwieźć.

- Nie chciałbym sprawiać kłopotu. Jeśli mi pan tylko wskaże drogę, to jakoś trafię.

- Proszę bardzo. Trzeba iść prosto trzy przecznice, później Nowym Światem w lewo, następnie w prawo...

- Brzmi dość skomplikowanie. Chyba nie zapamiętałem nazwy tej ulicy, którą pan wymienił. Jak to było? Nowy...

- Nowy Świat?

- Właśnie... - Javier był pewien, że przekreśli nazwę, próbując znowu zapytać kogoś o drogę. Wiedział, że jedynym rozwiązaniem jest zdać się na Carla Brennana. - Albo może jednak skorzystam z pana uprzejmości, skoro pan i tak jedzie w tamtym kierunku...

- Przecież proponowałem, że mogę pana podwieźć.

- Na pewno nie sprawię kłopotu?

- Nie, to po drodze.

Zbliżyli się do szarej primery i Brennan otworzył tylne lewe drzwi.

- Proszę wsiadać!

Gdy Javier zjrzał do samochodu, zobaczył mężczyznę z pistoletem wycelowanym w jego pierś. Chciał odruchowo się cofnąć, jednak Brennan wepchnął go do środka. Nie wiadomo, skąd pojawił się jeszcze trzeci mężczyzna i dosiadł się do nich, zatraskując za sobą drzwi. Brennan zajął miejsce za kierownicą, zapalił silnik i ruszył.

- Puśćcie mnie! To jakaś pomyłka! - protestował przerażonym głosem Javier.

- Siedź cicho i nic nie gadaj - rozkazał mężczyzna z pistoletem. Z kolei ten drugi, siedzący po prawej stronie Javiera, skrzyżował mu ręce za plecami i czymś je związał, a następnie zalepił mu usta taśmą. Na koniec wepchnął go głębiej w fotel i nałożył na głowę worek.

Jechali jeszcze z kwadrans, a może nawet nieco dłużej, aż wreszcie samochód się zatrzymał. Javierowi mocno biło serce. Dotarło do niego, że w przewodnikach turystycznych piszą, aby w obcych krajach, zwłaszcza wieczorem, nie zawierać przypadkowych znajomości. Przypomniał sobie, że gdzieś czytał o niebezpieczeństwach czyhających na obcokrajowców w krajach komunistycznych. „Ale zaraz - uświadomił sobie - Polska to dziś przecież inny kraj, członek Unii Europejskiej. To musi chodzić o coś zupełnie innego. Ale o co?” Próbował krzyknąć, zaprotestować, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu przez zakneblowane usta, a jadący z nimi mężczyźni nie zwracali uwagi na jego wysiłki. Wreszcie samochód się zatrzymał. Porywacze otworzyli drzwi, a ten, który siedział po prawej stronie Javiera, wziął go pod pachę i wyciągnął na zewnątrz. Javier potknął się o coś i gdyby nie silne ramię prowadzącego go mężczyzny, prawdopodobnie runąłby na ziemię.

- Dalej... Teraz są schody. Nogi do góry! - rozkazał po angielsku jeden z porywaczy.

Było tylko kilka stopni i znów płasko. Ktoś otworzył drzwi, a mężczyzna trzymający Javiera z prawej strony pociągnął go za sobą. Weszli do jakiegoś pomieszczenia. Wtedy dopiero ktoś ściągnął mu z głowy worek.

Byli w niewielkim pokoju sąsiadującym z magazynem. Pomieszczenie wyglądało jak biuro dla kogoś, kto prawdopodobnie pełnił funkcję ochroniarza albo urzędnika, rozporządzającego towarami. Możliwe, że ten ktoś tu nawet sypiał, bo pod ścianą stał tapczan. Było również biurko z komputerem, regał na dokumenty i telewizor. Jedno okno wychodziło na zewnątrz, natomiast przez drugie, wewnętrzne, w ścianie oddzielającej pokój od magazynu,

widoczne były długie wysokie regały z równo poukładanymi kartonami.

- Siadaj - powiedział mężczyzna, który prowadził Javiera. Zerwał mu z ust plaster i pchnął go na tapczan.

- O co tu chodzi? Czego panowie chcecie ode mnie? - Javier dygotał z przerażenia.

Wyglądało na to, że mężczyzna, który przedstawił się jako Carl Brennan, dowodzi akcją, bo odezwał się pierwszy.

- Miło mi powitać pana w Warszawie, panie Gordon. Zaraz wyjaśnię powód tego całego zamieszania, za które przepraszam. Musieliśmy jednak jakoś pana tu ściągnąć.

- Ale kim pan jest? Dlaczego mnie porwaliście?

- Proszę mnie wysłuchać do końca. Jeśli będzie pan greczny, to nic panu nie grozi. Współpracujemy z człowiekiem o nazwisku Higgins. Zdążył go pan poznać w Paryżu. Pana wizyta w kinie „Panorama” nie była przypadkowa. Wszystko zostało starannie zaplanowane. Postaraliśmy się o to, aby to pan odpowiadał za eksplozję. Oto pełna dokumentacja fotograficzna. - Brennan wyjął z szuflady w biurku zdjęcia i rzucił na tapczan, obok Javiera. Było na nich widać wyraźnie, jak Javier wchodzi do kina z torbą i jak wychodzi bez niej.

- To oczywiście nie wszystko, panie Gordon. Mamy naocznych świadków, którzy potwierdzą, że zostawiał pan coś za koszem przy drzwiach, kiedy opuszczał pan kino w trakcie seansu.

- Przecież tam nikt nie stał. Zresztą w torbie były jedynie pieniądze - oburzył się Javier.

- Jeśli nikogo nie było w korytarzu, to tym bardziej nietrudno o świadków, którzy potwierdzą naszą wersję. Zwłaszcza że mamy dwóch, może nawet trzech takich, którzy pod przysięgą powiedzą wszystko, co im każemy. A jeśli

chodzi o torbę, to i tak wybuch by ją zniszczył, więc nikogo pan nie przekona, że nie było w niej ładunku.

- Mam świadka. - Javier nie chciał zrobić Marileny, ale musiał siebie jakoś ratować. Przecież to ona wciągnęła go w to wszystko. Czuł strach i nie był już niczego pewien. Postanowił jednak zaryzykować.

-Nie wiem, jaka jest w tym wszystkim rola Marileny Garbo, ale ona może potwierdzić, że w torbie były tylko pieniądze.

Javier wystraszył się przez moment, że powiedział coś, co mogło zaszkodzić kobiecie. Ugryzł się w język, ale było już za późno. Popatrzył z przerażeniem na rozmówcę, czekając na jego reakcję. Bał się, ale teraz strach go całkowicie sparaliżował. Nie wiedział, z kim ma do czynienia i jak powinien zareagować. Wspomnienia z Paryża odżyły. „Po co w ogóle mówię mu o Marilenie?” - strofował siebie w myślach, choć wiedział, że w sumie prawie nic go z nianie łączyło.

- Panią Garbo już się zajęliśmy. - Brennan wyjął z tej samej szuflady, gdzie znajdowały się zdjęcia, dysk i włożył go do odtwarzacza DVD pod telewizorem. Na ekranie pojawiła się Marilena. Siedziała związana na krześle i miała zakneblowane usta. Jej rozczochrane włosy i sińce pod oczami świadczyły o tym, że sporo przeszła.

- Co jej zrobiliście? - wykrzyknął przerażony Javier.

- Jeszcze żyje, ale jak długo, to zależy wyłącznie od pana, panie Gordon - Brennan wyłączył telewizor.

- Czego chcecie ode mnie? Nawet nie mam pieniędzy. Prawie całe konto opróżniłem, przygotowując się do tej wycieczki.

- Niczego nie chcemy. Przynajmniej żadnych pieniędzy.

- To jaki jest powód tego wszystkiego?

- Lubił pan teatr, panie Gordon? Występował pan na scenie w szkolnych przedstawieniach?

- Tak... Coś takiego robiłem. Ale co ma wspólnego szkolny teatr z tą całą sytuacją?

- Chcemy, aby pan zagrał rolę kogoś, do kogo jest pan bardzo podobny.

Javier był całkowicie zaskoczony. „Zagrać kogoś? Co to wszystko ma znaczyć?”. Po chwili jednak przypomniał sobie pierwszą rozmowę z Marlonem Diazem w klubie golfowym „Lagos de Palermo”. „Co jednak Marlon może mieć z tym wspólnego?” - w głowie Javiera zaczęły kłębić się rozmaite myśli. - „Podejrzenie tani bilet, wskazówki co do hotelu w Paryżu... Czyżby to wszystko było zaplanowane?” - aż ciarki przeszły mu po plecach na samą myśl.

- Czy chodzi o Raula Sancheza?

- Widzę, że jest pan bardzo inteligentny, panie Gordon. Gratuluję! Tak, chodzi o Sancheza. Jutro ma wywiad z tutejszym prezydentem. Musi pan go zastąpić.

- Dlaczego? A co zrobiliście z Sanchezem?

- Nic. Ma się dobrze.

- To dlaczego miałbym go zastąpić?

- Nie wydaje mi się, abym musiał na to pytanie odpowiadać, ale to zrobię. Raul Sanchez ma po prostu w tym czasie inne plany.

- A co się stanie, jeśli się nie zgodzę i pójdę na policję?

- Szybciej znajdzie się pan w więzieniu za terroryzm, niż znajdzie tam schronienie. Zresztą nawet za kratkami nie będzie pan bezpieczny. Nasi ludzie dotrą wszędzie. Dlatego nie radzę jakichkolwiek rozmów z tutejszą policją. Poza tym mamy pana przyjaciółkę...

- A jaką mam pewność, że po wszystkim dacie mi spokój?

- Czy wyglądam na kogoś, komu nie można wierzyć?
- Brennan wyszczerzył do Javiera zęby w uśmiechu niewiele mającym wspólnego ze szczerością. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Javier.

-Jak już pan grzecznie wypełni swoje zadanie, to nie będzie pan nam do niczego potrzebny - dodał Brennan, zdając sobie sprawę, że uśmiech mu się nie udał.

- A co z Marileną? Wypuścicie ją?

-Odkryliśmy niedawno, że pracuje w Interpolu. Jeśli wykona pan właściwie zadanie, to niepotrzebna będzie nam śmierć policjantki na sumieniu. I tak prawdopodobnie raportowała o nas do swoich przełożonych, czyli nie wie więcej od nich. Tam, gdzie teraz jest, dotarła z zawiązanymi oczami, podobnie jak pan przyjechał tutaj. Wystarczy, że ją gdzieś odstawimy i niech kontynuuje zaszczytną służbę w ochronie praworządności - tym razem uśmiech Brennana był naprawdę szczery.

Javier początkowo był całkowicie zdezorientowany, ale teraz zaczynał odzyskiwać równowagę. Uporządkował w myślach wydarzenia, które przeniosły go z Buenos Aires do Europy, a teraz spowodowały, że siedzi ze związanymi rękami przed szantażystą, a ten namawia go do dalszych niebezpiecznych kroków. Javier nie miał wątpliwości, że musi wziąć sprawy w swoje ręce. Inaczej Marileną zginie albo on wyląduje w więzieniu. Mimo że Marileną niewiele dla niego znaczyła, nie mógł pozwolić, aby stało się jej coś złego. Poza tym skoro rzeczywiście była agentem Interpolu, to może ze strony policji nic mu nie groziło. Jeśli nawet stał się pionkiem w jakiejś międzynarodowej intrydze, to właśnie Marileną wiedziała najlepiej, że jest niewinny. Javier rozumiał, że bez niej na pewno trafi za kratki. Dotarło do

niego, że Marilena musi żyć i to jedynie on może ją uratować.

—Dobrze. Powiedzmy, że się zgodzę... Gdzie i kiedy miałbym przeprowadzić ten wywiad?

—W Pałacu Prezydenckim. Jutro o godzinie 19. Wszystko jest umówione. Spodziewają się Sancheza, więc będzie.

—A dlaczego prawdziwy Sanchez nie może tam być?

—Mówiłem już. Ma inne plany. Po wywiadzie ktoś się zgłosi do pana po nagranie i to wszystko. Będzie mógł pan za jakiś czas przeczytać zapis rozmowy w magazynie „Cambio 16”, z którym Sanchez zwykle współpracuje, lub może nawet w innych czasopismach, o ile wywiad zostanie przedrukowany. Wprawdzie nie będzie tam pana nazwiska, ale satysfakcja pozostanie. W końcu spotka się pan i porozmawia z samym prezydentem.

—No właśnie. To jednak prezydent, a ja nie wiem nic na temat wywiadów.

—Oto lista pytań - Brennan sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej kilka spiętych kartek oraz jakieś urządzenie. - A tu jest dyktafon reporterski. Może pan nauczyć się pytań na pamięć lub mieć listę przy sobie. Z obsługą dyktafonu nie będzie problemu?

-Nie. Dam sobie radę.

-No to dogadaliśmy się. Jutro o godzinie 14 będzie u pana w „Sheratonie” Paweł. - Brennan wskazał na mężczyznę, który doprowadził do pokoju Javiera. - Zanim przyłączył się do nas, był charakterizatorem filmowym, więc na pewno świetnie przygotuje pana do roli. Myśleliśmy, że zapaści pan wąsy, ale skoro nie, to trzeba będzie przykleić sztuczne. Przyda się też coś zrobić z włosami, ale to już rola Pawła. Paweł to po angielsku Paul. Na pewno się dogadacie. Po charakteryzacji musi pan sobie radzić sam,

a o godzinie 21 Paul zgłosi się po dyktafon, więc proszę czekać w swoim pokoju.

Brennan spojrział Javierowi w oczy, tym razem wzrokiem profesora, który zakończył wykład i zastanawia się, czy studenci go zrozumieli.

- Wszystko jasne? - zapytał dla pewności, mimo że twarz słuchacza nie zdradzała oznak jakichkolwiek wątpliwości.

- Tak... - Javier odpowiedział z przekonaniem, myśląc, jak poradzi sobie z tym niecodziennym zadaniem i wyobrażając sobie rozmaite scenariusze wydarzeń.

- No to dogadaliśmy się - oznajmił Brennan. - Teraz znów musimy panu założyć na głowę worek. To nawet lepiej dla pana, że lokalizacja tego miejsca pozostanie naszą tajemnicą. Teraz Paul i jego kolega - wskazał na drugiego mężczyznę, który dotąd nie wypowiedział ani jednego słowa - zawiozą pana do hotelu. Miło było pertraktować z panem, panie Gordon.

Javier nic nie odpowiedział. Paul założył mu na głowę worek i poprowadził do samochodu.

- Trzymaj głowę nisko, dopóki nie powiem, że możesz ją podnieść! - rozkazał. Drugi mężczyzna usiadł za kierownicą. Po kilkunastu minutach jazdy samochód się zatrzymał. Paul zdjął Javierowi z głowy worek i rozciął plastry krępujące ręce. Stali w małej ciemnej uliczce.

- Jak skręcisz w prawo i pójdziesz prosto ze sto metrów, to zobaczysz „Sheraton”.

- Javierowi nie trzeba było powtarzać. Wysiadł z samochodu i szybkim krokiem ruszył przed siebie, zgodnie z instrukcją Paula.

Carl Brennan siedział na tapczanie, który przed chwilą zajmował Javier i palił papierosa, gdy do pokoju wszedł Alain Ferron.

—Wszystko według planu? - zapytał Brennana.

—Tak, jak najbardziej.

—Oto zaliczka - Ferron wyjął z marynarki grubą kopertę i rzucił ją na tapczan. - Jak Paul dobrze przygotuje Gordona do roli i wywiad się odbędzie, to wtedy druga część.

—Wiem. Znam zasady.

-To tyle, do jutra! - Ferron opuścił pomieszczenie, a Brennan zapalił następnego papierosa.

Javier usiadł przy hotelowym barze i zamówił wódkę z lodem. Wszystko, co tego dnia przeżył, przekraczało jego zdolności percepcji. Miał mętlik w głowie i liczył na to, że alkohol pozwoli mu pozbierać myśli. „Tak, to wszystko od razu wydawało się podejrzanę” - robił w myślach podsumowanie ostatnich dni. - „Dlaczego akurat ja? Czy nie było kogoś innego, kto jest podobny do Raula Sancheza? Pewnie jak wybraliby innego „bliźniaka”, to tamten zadałby identyczne pytanie... Po prostu padło na mnie... Szkoda, że w grach losowych nie mam takiego „szczęścia”. Wówczas wszystko wyglądałoby inaczej. Nie skusiłbym się na tani bilet do Europy, bo na wszystko byłoby mnie stać”. Spotkanie z Marlonem Diazem w klubie golfowym wydało się łutem szczęścia. Teraz okazało się przekleństwem.

- Dlaczego wtedy nie zauważyłem, że coś jest nie tak?
- Javier zadał to pytanie na głos, przyciągając uwagę barmana, który podszedł do niego.

-Nie dosłyszałem - barman zwrócił się do Javiera.

- Czym mogę służyć?

-Dziękuję. Po prostu mówiłem do siebie... Albo zaraz. Proszę jeszcze raz to samo - Javier wskazał na stojącą przed nim szklankę, a gdy barman odszedł, żeby przygotować kolejną wódkę, wypił jej zawartość do dna.

„I jeszcze Marilena” - Javier wrócił do nurtujących go myśli, gdy już barman zrealizował zamówienie. - Czy ją rzeczywiście wypuszczą? Jeśli faktycznie raportowała do Interpolu wszystkie swoje działania, a ci bandyci o tym przez cały czas wiedzieli, to chyba nie mają powodu, aby ją likwidować. Zresztą to nie jakiś film sensacyjny, a prawdziwe życie. Chyba nawet przestępcy mają świadomość, że mogą kiedyś wpaść w sidła policji, a wówczas lepiej jak najmniej mieć na sumieniu”. Pierwszy raz miał z czymś takim do czynienia i trudno mu było przewidzieć dalszy rozwój wydarzeń. Nie wiedział też, do czego Higgins i Brennan są zdolni. Na oko ani jeden, ani drugi nie wyglądał na mordercę. Javier miał nadzieję, że sprawa mimo wszystko zakończy się dobrze. „A może jednak zgłoszę się do tutejszej policji? Nie. Wtedy zabiliby Marilene. Tego nie mogę zrobić”.

Javier znów wypił do dna zawartość szklanki i ponownie odezwał się do barmana.

- Jeszcze raz to samo i może jakieś orzeszki lub chipsy, żeby zagryźć.

- Czy nie dosyć na dzisiaj? - zapytał barman; prawdopodobnie zauważył, że Javier zaczyna się trochę kiwać na wysokim stołku.

— Jeszcze jeden i zaraz idę spać - Javier nie dawał za wygraną.

Po chwili kolejna pełna szklanka pojawiła się przed nim na bufecie. Od razu wypił spory łyk wódki i wrzucił do ust kilka orzeszków. Był już prawie całkowicie spokojny. Alkohol zrobił swoje. Gdy i w tej szklance pozostały już tylko maleńkie kostki lodu, zaczęło mu się mocno kręcić w głowie. Z trudem wstał od baru i długo grzebał w kieszeni, szukając klucza do pokoju. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak udało mu się trafić na właściwe piętro. Odnalazł drzwi, po czym długo walczył z kluczem, żeby otworzyć zamek. Wreszcie dostał się do środka i padł na łóżko.

W restauracji, znajdującej się na parterze hotelu „Radisson”, występował kabaret. Pianista grał ostatnie takt piosenki. Vincentowi, który właśnie wyszedł z windy, melodia wydała się znajoma, ale nie mógł sobie przypomnieć, co to był za utwór. Poszedł więc do sali, skąd dobiegała muzyka. Nie wszedł jednak do środka, ale stał w drzwiach, przyglądając się temu, co się dzieje na scenie. Po paru zdaniach konferansjera, z których nie rozumiał ani słowa, na estradę wkroczyła artystka, która zaśpiewała - Vincent tylko podejrzewał, że po polsku - kompozycję Toma Waitsa. Jej głos urzekł go na tyle, że postanowił wysłuchać utworu do końca. Nie musiał się śpieszyć. Wszystko miał już zaplanowane. Tak jak podejrzewał, „Radisson” nie był odpowiednim miejscem do tego, co miał do zrobienia następnego dnia. Lepiej nadawał się sąsiedni budynek, stojący przy samym skrzyżowaniu. Vincent

zwiedził go już wcześniej, chociaż jeszcze dla pewności postanowił sprawdzić widok z hotelu. Teraz już był pewien, że poprzedni punkt jest zdecydowanie lepszy. Właściwie to mógł poczekać z tym wszystkim do następnego dnia, ale - jak to on wolał mieć wszystko zapięte na ostatni guzik. To przecież właśnie dlatego nie musiał uganiać się nigdy za zleceniami. Same do niego trafiały. Zdążył przygotować się do drugiego zadania, które miał w planie na ten sam dzień. Wolał posługiwać się karabinem snajperskim, ale przecież nie stronił od innych metod, zapewniających realizację celu. Chciał jednak mieć pewność, że wszystko się uda, więc starannie odrobił lekcję. Nawet opracował najlepszy dojazd do hotelu „Sheraton”, aby nie było żadnej wpadki. Miał kłopoty z jednym drobnym elementem, ale wiedział, gdzie go znajdzie. Tymczasem oklaski umilkły, a piosenkarka zaintonowała nowy utwór. Melodia była dla Vincenta całkowicie obca, więc opuścił restaurację i wyszedł przed hotel. Wieczór wydał mu się niezwykle przyjemny. Zrobił kilka głębokich wdechów, a następnie ruszył w prawo w kierunku skrzyżowania. Przed rogiem skręcił w lewo, minął hotel „Fryderyk Chopin” i udał się do „Holiday Inn”. Wciąż męczyło go to, że nie może przypomnieć sobie, jaką melodię grał pianista, gdy wychodził z windy. „No cóż. Lata lecą... Muszę sobie kupić ten reklamowany specyfik poprawiający pamięć”. Vincent wyteżył umysł, a po chwili uśmiech zagościł na jego twarzy. Przypomniał sobie bowiem nazwę leku. „Nie jest ze mną jeszcze tak źle. Ale mimo wszystko jutro zaczynam dzień od znalezienia apteki”. Dochodził właśnie do hotelu. Postanowił nie rozsiadać się w barze, tylko od razu iść do pokoju. Próby przypomnienia sobie, skąd zna nurtującą go melodię, a tym bardziej jej tytułu, nadal nie przynosiły rezultatu.

W holu, mieszczącym się na pierwszym piętrze hotelu „Marriott”, nie było o tej porze dużego ruchu. Nowi goście jeszcze wchodzili do restauracji, ale tylko nieliczne stoliki były zajęte. Raul Sanchez siedział przy jednym z nich. Mimo późnej pory nie chciało mu się spać. Czuł niebywałe podniecenie na myśl o tym, co miało wydarzyć się następnego dnia. Jeszcze raz przeanalizował w pamięci plan dojazdu do posiadłości Jimeneza. Pistolet od Marileny już odebrał i miał go w pokoju, w zamykanej na szyfr walizce. Model dokładnie taki, jakiego sobie zażyczył. Właśnie takim trenował strzelanie przez kilka lat w madryckim klubie. Nawet zajął kiedyś pierwsze miejsce wśród amatorów posługiwania się bronią. W ubiegłym roku również byłby najlepszy, gdyby niejeden zapaleniec z policji, który - mając do dyspozycji świetnie wyposażoną strzelnicę u siebie w pracy - zapisał się akurat do klubu strzeleckiego, którego Sanchez był członkiem. „Fanatyków nie brakuje” - wytłumaczył sobie dziennikarz pojawienie się nowego kolegi, gdy policjant już podczas pierwszego treningu wszystkie kule umieścił w środku tarczy. Później jednak Sanchez był zadowolony z obecności takiego mistrza, bo skorzystał z kilku jego wskazówek i poprawił znacznie swoje umiejętności. Na ostatnich zawodach szli łeb w łeb. Dziennikarz przegrał tylko jednym punktem, więc koledzy postanowili podzielić główną nagrodę. Ponieważ był nią olbrzymi czekoladowy tort, przekrojenie go na pół nie sprawiło organizatorom żadnego kłopotu. Wszyscy mieli wielki ubaw, a rywale nawet się zaprzyjaźnili. To właśnie od tego policjanta Sanchez uzyskał kilka informacji o Jimenezie,

zanim jeszcze dowiedział się od Higginsa, że terrorysta jest w Polsce. Teraz nie mógł się doczekać, aż będzie mógł zemścić się za śmierć ojca. Miał obawy, czy w ogóle uda mu się zasnąć. Postanowił jednak iść do pokoju i poczytać coś w łóżku. Zawołał kelnera i podpisał rachunek za kolację. Jadąc windą na dwunaste piętro, miał przed sobą typowy obrazek hotelowej nocy. Stary grubas w za ciasnym czarnym smokingu, z rozpiętą koszulą i przekrzywioną muszką, chybotął się na karykaturalnie chudych nogach i sapał ciężko, psując klimatyzowane powietrze windy swoim obrzydliwym alkoholowym chuchem. Obok niego zaś stała nieco mniej zawiana drobniutka blondyneczka, próbując utrzymać zapitego przyjaciela w pozycji pionowej, przynajmniej do czasu, gdy dojdą do pokoju. Sanchez nie dowiedział się, czy im się poszczęściło, bo musiał opuścić kabinę na dwunastym piętrze, natomiast zabawowa para jechała wyżej. Gdy wszedł do pokoju, pierwsze, co zrobił, to odnalazł w walizce „Świat według Garpa” - książkę, którą kupił na lotnisku w Maladze. Stara rzecz, ale jakoś mu umknęła, mimo że cenil twórczość Irvinga i był na bieżąco z innymi powieściami tego pisarza. Przebrał się w piżamę i zaczął w łóżku czytać. Po kilku stronach poczuł jednak zmęczenie i zgasił światło. Zanim zdążył odłożyć książkę na półkę przy zagłówku, zaczął głośno chrapać.

-Zaraz! Już otwieram! - Javier obudził się z głębokiego snu. Nie był pewien, czy mu się to śni, czy ktoś rzeczywiście puka. W głowie mu szumiało i piekło go coś w żołądku. Usiadł na łóżku i zerknął na zegarek. Zbliżała się jedenasta. Nagle uświadomił sobie, że jest w ubraniu. Spojrzał na swoje

stopy, ale zobaczył na nich jedynie skarpetki. „Przynajmniej buty udało mi się jakoś zdjąć”. Dopiero wtedy powróciły do jego świadomości wydarzenia poprzedniego dnia. „Jednak nie był to sen...” - poczuł znów dreszcze na plecach. Ponieważ stukanie się powtórzyło, chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i szeroko je otworzył. Na widok Marileny natychmiast oprzytomniał.

- To ty? Jak udało ci się uciec?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. To Frank - wskazała na mężczyznę, który stał obok niej. - Możemy wejść?

- Oczywiście. Nie wiesz, jak się cieszę, że nic ci nie jest. - Javier objął ją ramionami i mocno przytulił. - Wczoraj porwało mnie jakichś trzech zbirów...

- Wiem.

-Wiesz? Skąd wiesz? Możesz mi to jakoś wszystko wytłumaczyć? - mówiąc te słowa, Javier łypał wzrokiem na Franka, pamiętając, że ostatnio nie miał szczęścia do nowych znajomości.

Marilena zauważyła jego ostrożność.

- Frank jest z Interpolu, tak jak ja. Pracujemy razem. Nie wpuścisz nas? - Marilena nie czekała na odpowiedź. Minęła Javiera i weszła do środka, a Frank podreptał za nią. Javier nadal stał przy drzwiach, opierając się ręką o futrynę. Jedyne odwrócił głowę w stronę gości.

- Ale jak udało ci się uciec? Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę.

-Nie stój tam. Zamknij drzwi, zanim Ferron pojawi się na korytarzu i zobaczy nas tutaj - Marilena poinstruowała Javiera. - To nie byłoby dla nas najlepsze, a zwłaszcza dla mnie. Tak naprawdę to nikt mnie nie porwał.

- A co z tym wszystkim ma wspólnego Alain?

-Niestety, nie jest siostrzeńcem Higginsa, a po prostu jednym z jego ludzi.

- Wiedziałaś o tym i nie powiedziałaś mi?

- Nie mogłam.

Javier wrócił do pokoju i usiadł na łóżku.

- A film, który widziałem?

- Taki mały teatrzyk, żeby zachęcić cię do współpracy. -

Nic nie rozumiem. O co tu chodzi? Kim jesteś naprawdę?

-Tak jak ci mówiłam, pracujemy - Frank i ja - w Interpolu. Od wielu lat tropimy kogoś, kto organizuje zamachy na różnych ludzi. Czasami są to politycy, osoby wpływowe lub po prostu „medialne”, a niekiedy też zdarzają się ofiary o nazwiskach szerzej nieznanym. Właściwie nikt nie wie, jaki jest klucz do tego wszystkiego. Stąd nasze trudności z odnalezieniem głównego winowajcy. Podejrzewamy tylko, że „szef” -jak go określamy - dysponuje olbrzymimi funduszami i może działać poprzez innych kryminalistów lub za pośrednictwem organizacji o strukturach mafijnych albo nawet terrorystycznych. Przy okazji zupełnie innej sprawy trafiliśmy na Higginsa i jego ludzi. Zajmował się wówczas stosunkowo niegroźnym przemytem papierosów. Robił to jednak na dużą skalę. Dlatego włączony został Interpol. Mieliśmy go zgarnąć, ale jego działania nagle poszły w zupełnie innym kierunku. Ktoś zaangażował go do nowej sprawy. Musiały wchodzić w grę spore pieniądze, bo Higgins nagle zerwał całkowicie z przemytem, który przynosił mu olbrzymie dochody. Nasi specjaliści orzekli, że mogło chodzić o „szefa” i nagle u nas w firmie zawrzało. Cały nasz wydział został postawiony na nogi. Nadarzała się okazja, aby dotrzeć do nieuchwytnego organizatora spektakularnych morderstw, działającego bezkarnie od wielu lat. Moim

zadaniem było wkraść się w struktury szajki Higginsa, aby śledzić wszystkie jej poczynania.

- Marilena była świetna. Podobno szykuje się jakiś awans. Mam rację? - po raz pierwszy odezwał się Frank.

-Jeśli wszystko wypali... W każdym razie odniosłam sukces. Higgins mi nawet zaufał i zaczął wtajemniczać we wszystkie plany. Okazało się, że domysły naszych analityków były trafne. Higgins był z kimś w kontakcie i na jego polecenie miał przeprowadzić kolejny zamach. Chodziło o Raiila Sancheza. Podobno ojciec tego dziennikarza działał kiedyś w antyterrorystycznej organizacji GAL. Podczas jednej z akcji zginął w potyczce z jakimś Alfredem Jimenezem, członkiem ETA. Później przez wiele lat Raul Sanchez szukał mordercy ojca, aby się zemścić, jednak bezskutecznie. Okazało się, że Jimenez zmienił nazwisko, zerwał z ETA i wyemigrował z Hiszpanii. Nie wiem, skąd o tym wszystkim wiedział Higgins, ale znalazł Jimeneza i sprzedał Sanchezowi plan idealnego morderstwa.

- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Po prostu jesteś do Sancheza podobny i mówisz po hiszpańsku. Na początku byłeś tylko jednym z kandydatów, ale po drodze inni - z różnych powodów - odpadli.

-Tak przypuszczałem. Przynajmniej raz udało mi się zająć w jakimś współzawodnictwie pierwsze miejsce! Jeszcze może mi powiesz, że mam się cieszyć----

-Nie. Nie zamierzałam tego robić. Ale tu jesteś, więc można rzeczywiście powiedzieć, że byłeś najlepszy. O ile w ogóle to jest dla ciebie jakakolwiek pociecha...

- A nie lepiej byłoby po prostu zamknąć tego Higginsa i od niego wszystko wyciągnąć?

-Niby tak - ponownie odezwał się Frank - ale mógłby milczeć i niczego byśmy się nie dowiedzieli. Jeśli jego

zleceniodawcą był rzeczywiście „szef, to zapewne nawet więzienie nie uchroniłoby Higginsa przed jego zemstą. Nie chcieliśmy ryzykować. To właśnie od „szefa" Higgins mógł mieć wiadomości o ojcu Sancheza i Jimenezie. Dlatego postanowiliśmy wykorzystać kontakt z Higginsem, aby wreszcie dotrzeć do „szefa".

- I udało się?

- Niestety, nie. Właśnie, dlatego tu jesteśmy - po raz kolejny odezwał się Frank.

- Właśnie. Myśleliśmy, że na etapie przygotowań do zamachu na Jimeneza trafimy na jakiś ślad „szefa", złapiemy go i wtedy zgarniemy całą resztę. Tymczasem prowadzimy sprawę już od kilku miesięcy i nic. Dotarliśmy prawie do finału, a „szef nadal jest poza naszym zasięgiem.

- Ale rozumiem, że teraz nareszcie koniec. Mogę się pakować i wracać do Buenos Aires.

- Nie bardzo. Właściwie nie możemy ci tego zabronić, ale mógłbyś mieć kłopoty, gdybyś nie wypełnił zadania, które zlecił ci Brennan. Byłbyś oczywiście pod opieką policji, jednak dopóki „szef będzie wolny, to wszystko jest możliwe. Jest też inny problem. Kiedy nakręcaliśmy taśmę ze mną w roli głównej, Higgins i jego ludzie oczywiście nie wiedzieli - i zresztą nadal nie wiedzą - że naprawdę pracuję w Interpolu. Jeśli się wycofasz, to będę u Higginsa spalona i stracimy szansę na schwytanie „szefa".

- To co w takim razie mam robić?

- Plan był taki - twój wywiad z prezydentem miał stanowić doskonałe alibi dla Raula Sancheza, który w tym samym czasie zamierzał zabić Alfreda Jimeneza. Były członek ETA ożenił się z Polką i mieszka teraz niedaleko Warszawy. Sanchez ma tam pojechać i dokonać aktu zemsty. Musimy ten plan doprowadzić do końca.

—Chcecie pozwolić na morderstwo?

—Oczywiście, że nie. Frank jest w kontakcie z polską policją. Obstawimy posiadłość Jimeneza, a rolę terrorysty odegra jeden z naszych ludzi.

—A nie łatwiej zatrzymać po prostu Sancheza?

- Nie. Jest bowiem jeszcze jeden aspekt całej sprawy. Na podstawie poprzednich zamachów wiemy, a właściwie podejrzewamy, że „szef pojawia się na miejscu zbrodni.

- Taki „psychol"... - Frank nie pozwolił, aby o nim zapomniano. - Lubi widzieć śmierć albo rezultat tego, co zaplanował albo jedno i drugie. Nasi fachowcy próbują rozgryźć tego gościa od lat, ale portrety psychologiczne nakreślone przez kilku lekarzy trochę się różnią...

— To oczywiście nam nie pomaga, ale jedno jest prawie pewne. Jeśli zamach będzie przeprowadzony, a przynajmniej rozegramy wszystko niemal do końca, to „szef będzie w pobliżu.

-I wtedy go mamy! - Frank zacisnął pięść, jakby wyciskał cytrynę.

- Czy prezydent wie, że ten wywiad to lipa?

- Musieliśmy mu powiedzieć. Gdy sprawa się zaczynała, myśleliśmy, że „szefa" zgarniemy, zanim w ogóle dotrzemy z tym wszystkim do Polski. Wywiad był wcześniej zaplanowany, ale byliśmy przekonani, że jak odniesiemy sukces, to i tak Sanchez zostanie zatrzymany za planowanie morderstwa i wywiad się odwoła. Ale ponieważ sprawy zaszły tak daleko, to musieliśmy we wszystko wprowadzić zarówno prezydenta, jak i osoby oraz służby z nim związane. Na szczęście zgodzili się na współpracę.

-To jak ma naprawdę wyglądać ten mój udawany wywiad?

Musisz go przeprowadzić, jakbyś był rzeczywiście Sanchezem. Nadal nie wiemy, jak dalekie są macki „szefa” i gdzie ma swoich ludzi. Jeśli coś byłoby nie tak podczas wywiadu, to „szef mógłby zmienić plany i trzeba by zacząć poszukiwania od początku.

- A Sanchez jest w to wszystko wtajemniczony?

-Nie. Musimy zachować ostrożność. Nie wiedzieliśmy, czy ktoś go nie obserwuje, więc woleliśmy go nie informować. Twój kompan podróży, Alain Ferron, to też nie aniołek. Zna się na materiałach wybuchowych jak mało kto. To właśnie on spowodował eksplozję w kinie „Panorama”.

Javier nadal nie mógł uwierzyć w tę całą historię i patrzył na swoich gości w osłupieniu.

- Skoro teraz wiesz wszystko, to jesteś z nami, czy pakujesz walizki? - zapytała Marilena.

Javier zamknął powieki i rozłożył się na łóżku. Po chwili znów usiadł i spojrzął na Marilene.

- Zostawię was na chwilę. Czekam przy windzie - oznajmił Frank i wyszedł na korytarz.

Wtedy Marilena przysiadła się do Javiera, objęła go czule i pocałowała.

-Jak już będzie po wszystkim, to zgodzę się na ten podwodny show w „Lido” - uśmiechnęła się zalotnie.

- A może wspólny tydzień w Mar del Plata? - teraz Javier się uśmiechnął. Mimo tej całej sytuacji bliskość Marileny działała na niego jak balsam.

- Dlaczego nie! Zgoda. A teraz muszę lecieć! Niedługo przychodzi charakteryzator, mój aktorze!

Teraz obydwójce się uśmiechnęli, a Marilena podeszła do drzwi.

- Byłbym zapomniiał — powiedział Javier i podniósł ze stolika dyktafon. - To urządzenie nie działa. Muszę coś z nim zrobić. Wiesz, gdzie tu takie rzeczy naprawiają?

- Daj. Powiem, żeby Frank przekazał komuś z tutejszej policji. Zresztą kierowca taksówki, który po ciebie przyjedzie o 18.30, to też policjant. To on odda ci naprawiony dyktafon, zawiezie do Pałacu Prezydenckiego i będzie tam czekał, żeby cię po wywiadzie odwieźć do hotelu.

Marilena schowała dyktafon do torebki i otworzyła drzwi na korytarz.

- Zadzwoń wieczorem, jak będzie po wszystkim. Na razie!

-Na razie... - odpowiedział Javier. Wyobrażał sobie ich wspólny wieczór i na samą myśl o nim czuł podniecenie. Najpierw jednak czekało go ciężkie zadanie.

Marilena zatrzasnęła za sobą drzwi od pokoju Javiera i podeszła do Franka. Właśnie rozległ się sygnał, zapowiadający przyjazd windy.

- Zgodził się? - zapytał policjant.

-Tak, ale jeszcze muszę na chwilę do niego wrócić. Jedź sam. Później się dzwoniemy.

- Aż tak chwycił cię za serce? Taką profesjonalistkę? - zapytał Frank z miną podrywacza zainteresowanego miłosnymi perypetiami swojej koleżanki, po czym wszedł do windy.

- Jakoś tak... - mrugnęła do niego porozumiewawczo, gdy zasuwały się drzwi.

Kiedy została sama na korytarzu, ruszyła w stronę pokoju Javiera. Nie zatrzymała się jednak przy nim, lecz trzy pokoje dalej. Gdy zapukała, Alain Ferron uchylił drzwi.

- Wszystko okay?

-Tak - wyciągnęła z torebki dyktafon i wręczyła go Ferronowi.

- Paul wejdzie po niego, gdy ucharakteryzuje Javiera. Około czwartej.

-Zdążę. Nie ma sprawy powiedział Ferron i zamknął drzwi.

Marilena spojrzała na zegarek, wyciągnęła z torby puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Gdy stwierdziła, że makijaż nie wymaga korekty, wróciła przed windy i nacisnęła guzik ze strzałką skierowaną w dół.

Samochód z Frankiem i dwoma ubranymi po cywilnemu polskimi policjantami zajechał przed posiadłość Niedzielskich. Jeden policjant został w samochodzie, a drugi wszedł razem z funkcjonariuszem Interpolu przez furtkę. Drzwi do domu otworzyła Anna Niedzielska.

- Dzień dobry. Szukamy Damiana Rosy - powiedział policjant.

- Dzień dobry - odpowiedziała Niedzielska i krzyknęła za siebie - Damian, ktoś do ciebie!

Gdy Damian Rosa zszedł ze schodów i zbliżył się do wejścia, Frank i towarzyszący mu policjant wtargnęli do środka. Frank wyciągnął broń, a policjant pokazał swoją legitymację.

- Jest pan aresztowany, panie Rosa - oznajmił policjant.

- A właściwie panie Alfredzie Jimenez - dodał po angielsku Frank.

Gdy policjant zakuwał Jimeneza w kajdanki, Barbara Niedzielska stała w bezruchu. Na pewno wiedziała o przeszłości męża, ale zdążyła się z nią jakoś pogodzić. Musiała jednak

przez cały czas żyć ze świadomością, że taki dzień może kiedyś nastąpić. Terrorysta też nic nie mówił.

- Niestety, musimy tu jeszcze parę godzin zostać, zanim odtransportujemy pana w bezpieczne miejsce, gdzie poczeka pan na ekstradycję do Hiszpanii. Tamtejsza prokuratura zaciera ręce na wieść o pana odnalezieniu. Zresztą mamy już pana od dłuższego czasu pod obserwacją.

- To dlaczego dopiero teraz zostałem zatrzymany? - po raz pierwszy odezwał się Jimenez.

- Dziś planowany jest zamach na pana życie - oznajmił Frank.

- Co? Jaki zamach? - wykrzyknęła gospodyni.

- Raul Sanchez szykuje się na życie pani męża. Podobno dawno temu pani mąż zastrzelił jego ojca - wyjaśnił Frank.

- Czy to prawda, Damianie?

Jimenez nic jej nie odpowiedział, tylko zwiesił głowę.

- Co w takim razie tutaj jeszcze robimy? - zapytał po chwili.

-Z pewnych powodów chcemy, aby Sanchez myślał, że jego plan się powiedzie.

- Jak to? - znów żona terrorysty zapytała podniesionym głosem.

- Proszę się uspokoić. Wszystko mamy pod kontrolą - ponownie zabrał głos polski policjant. - Zaraz zjawi się tu nasz człowiek, który zagra rolę pani męża. Nie dopuścimy oczywiście do tego, aby Sanchez oddał jakiegokolwiek strzał w jego kierunku, ale na wszelki wypadek dublera wyposażymy w kamizelkę kuloodporną. Zapewniam jednak, że nie będzie mu ona potrzebna.

- Kiedy to nastąpi? - zapytał Jimenez.

- Po godzinie 19 - kontynuował policjant. - Wtedy, kiedy zwykle pan obchodzi posiadłość. Nasi ludzie będą ukryci

w różnych miejscach i przed samym strzałem mają obezwładnić Sancheza. Później pozostanie pan pod opieką inspektora Wellera policjant wskazał na Franka. Inspektor Weller reprezentuje Interpol.

- Kiedy wracam do Hiszpanii?

-Nie wiem jeszcze dokładnie - odezwał się Frank. - Ale na pewno jak najszybciej.

Barbara Niedzielska usiadła w fotelu, oparła głowę o zagłówek i westchnęła głęboko. Dwie łzy spłynęły jej po policzkach.

Raul Sanchez wykonywał wszystkie czynności jak dzień wcześniej, kiedy odbywał próbną podróż do posiadłości Jimeneza. Tym razem jednak, dla pewności, wyruszył kwadrans wcześniej. Okazało się, że postąpił słusznie, bo w drodze na Puławską trafił na korek. Co rusz spoglądał na zegarek, obawiając się, że mimo czasowej rezerwy nie zdąży na wieczorny spacer Jimeneza. Oznaczałoby to fiasko tak misternie skonstruowanego planu. Zastanawiał się, czy w przypadku niepowodzenia, zdecydowałby się po raz drugi. Nie był pewny odpowiedzi, ale raczej nie była ona twierdząca. W końcu nigdy czegoś takiego nie robił i od czasu zawarcia umowy z Higginsem miewał chwile zwątpienia. Przecież nie był zabójcą. Zresztą w ogóle nie miał konfliktów z prawem. Wręcz przeciwnie. Był przykładnym obywatelem. Może wpadło mu kilka mandatów za zbyt szybką jazdę i to wszystko. Tu jednak podjął się zadania, z którym nikt nie byłby go w stanie skojarzyć. Z drugiej jednak strony, może właśnie świadomość tego, że nikomu przez myśl nie przejdzie, że to on - Raul Sanchez

- mógłby być winowajcą, pchnęła go do tak szalonego czynu. Dobrze pamiętał ojca, mimo że miał zaledwie jedenaste lat, gdy ojciec poniósł śmierć. Ale to nie tylko wspomnienia z dzieciństwa z roku na rok potęgowały w nim pragnienie zemsty. Bardziej chyba poruszyły go długie lata rozpaczki matki, która opowiadała mu o ojcu, o jego bohaterstwie, uczciwości oraz o uporze, z jakim walczył z terroryzmem. Gdy wreszcie Sanchez dowiedział się, że człowiek, który zabił jego ojca i był zarazem winny cierpień ukochanej matki, żyje, był gotów na wszystko, aby go dopaść. Jako dziennikarz, znający niejedną podobną sprawę, wiedział doskonale, że po tylu latach system prawny nie jest w stanie w pełni zrekompensować matce i jemu wielkiego bólu, jaki tragedia spowodowała w ich sercach. Owszem, pewno odnaleziony Jimenez trafiłby za kratki, ale prawdopodobnie trudno byłoby znaleźć wszystkich świadków jego terrorystycznej działalności i wyrok nie byłby surowy. Dziennikarz nie mógł pozwolić na to, aby Jimeneza ominęła zasłużona kara. Szybko wyszedłby na wolność za dobre sprawowanie albo objęłaby go jakaś amnestia i po raz kolejny byłby przyczyną smutku przesiąkniętej już mocno bólem jego matki. Jednak mimo olbrzymiej determinacji, Sanchez nie przypuszczał, aby był zdolny jeszcze raz do czegoś takiego. „Jeśli nie dziś, to chyba już nigdy” - zdecydował, patrząc z nadzieją, czy samochody przed nim nie ruszają. Nagle jakimś cudem korek się odblokował. Po chwili nawet udało się przyśpieszyć. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie wjechał na znajomą trasę prowadzącą do Piaseczna. Włączył radioodtwarzacz. Miał tam „Seperate Ways” Teddy’ego Thompsona. Płytę kupił w dużym sklepie muzycznym, na który trafił podczas porannego spaceru po centrum Warszawy. Przy kołyszających, rockowych dźwiękach

nagrania „Altered State” mijał właśnie „KFC”, gdzie poprzedniego dnia przystanął, aby skorygować notatki. „Lubię mieć na twarzy radosną minę, chociaż płacę wewnątrz” - śpiewał młody wykonawca. „Ty też?” - zapytał Sanchez, zerkając na okładkę płyty ze zdjęciem piosenkarza, która leżała na sąsiednim siedzeniu. Potem ponownie spojrzął przed siebie i dodał gazu.

Była godzina 18.30. O tej porze w „Sh[^]ratonie” służba hotelowa nie może narzekać na nudę. Również tego dnia nie było pracownika, któremu dokuczałby brak obowiązków. Przed recepcją, w barze i przy wejściu do restauracji, panował ruch jak na jarmarku. Spora grupa biznesmenów i turystów czekała, aby się zameldować i pobrać klucze do pokoi. Ci, którzy mieli już za sobą formalności, pytali w restauracji o wolne stoliki lub raczyli się kawą i drinkami w barze. Kilka osób czekało na windę. Gdy wreszcie przyjechała, wysiadły z niej dwie rozbawione i dyskutujące żywo starsze kobiety, mężczyzna o azjatyckiej urodzie w ciemnym garniturze i Javier, który prosto z windy podszedł do recepcji. Zanim odezwał się, odczekał moment aż młodej Amerykance, której narodowość zdradzał wyraźny teksański akcent, zostanie wydany klucz.

- Proszę bardzo. Pokój na drugim piętrze;. Życzę miłego pobytu! - recepcjonista zakończył obsługę Amerykanki i zwrócił się do Javiera: - Czym mogę służyć?

-Nazywam się Javier Gordon. Czy przyjechała po mnie taksówka?

- Zaraz sprawdzę... - recepcjonista odszedł na moment do kolegi i zamienił z nim dwa słowa, a następnie wrócił z informacją: — Tak. Czeka przed hotelem.

Javier wyszedł na zewnątrz i otworzył przednie prawe drzwi stojącego przy wejściu do hotelu mercedesa.

- Nazywam się Javier Gordon. To po mnie pan przyjeżdża?

Mężczyzna za kierownicą skinął głową i włączył starter. Javier zatrzasnął przednie drzwi, otworzył tylne i wsiadł. Taksówka ruszyła, zanim jeszcze zdążył się wygodnie usadowić.

Sanchez skręcił z trasy E7 i minął bar z naleśnikami. Prawą ręką otworzył schowek na rękawiczki, wyciągnął z niego pistolet i położył broń na siedzeniu, obok pudełka od płyty, która już po raz drugi rozbrzmiewała w głośnikach. Po chwili ujrzał sad Niedzielskich i przejechał wzdłuż ogrodzenia do skrzyżowania z piaszczystą drogą. Minął skrzyżowanie i - tak jak dzień wcześniej - zatrzymał samochód po prawej stronie, obok drzew, tak aby był niewidoczny od strony domu. Pistolet wcisnął za gumę mocującą w pasie spodnie treningowe i wysiadł. Powietrze było cudowne. Zapowiadał się gorący wieczór, a zapach zieleni miło działał na zmysły. Wciągnął dwa razy powietrze, rozpostarł szeroko ręce, a następnie chwycił w dłonie wiszącą na szyi lornetkę i przyłożył ją do oczu. Na razie w okolicach fontanny nikogo nie było. Sprawdził godzinę. Dochodziła 19.

*

- Jesteśmy na miejscu - zakomunikował kierowca.

Javier spojrział przez szybę na okazałą fasadę Pałacu Prezydenckiego i zbliżających się ochroniarzy. Schował do wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę z pytaniami, którą jeszcze raz przestudiował po drodze, i zaczął wysiadać.

- Panie Sanchez, dyktafon! - przypomniał kierowca.

Javier odebrał od niego urządzenie.

- Dziękuję. Zaczeka pan na mnie?

- Oczywiście.

Javier zatrzasnął drzwi i stanął wyprostowany przed dwójką mężczyzn w czarnych garniturach.

- Dobry wieczór. Raul Sanchez - przedstawił się po hiszpańsku ochroniarzom.

- Dobry wieczór - odpowiedział po angielsku jeden z nich.

- Miło jest nam pana powitać, panie Sanchez. Proszę za mną- powiedział drugi.

W środku pałac był nawet bardziej okazały niż na zewnątrz. Po charakterystycznym zapachu można było wyczuć, że wnętrze było niedawno odnawiane. Javier stał chwilę w otoczeniu dwóch okazałej postury mężczyzn, aż wreszcie jakiś inny, ubrany w modnie skrojony brązowy garnitur, wyszedł z bocznych drzwi holu i wyciągnął prawą dłoń na powitanie.

- Dobry wieczór, panie Sanchez - odezwał się po hiszpańsku.

- Dobry wieczór - Javier odwzajemnił uścisk.

- Prezydent czeka. Będę tłumaczył wywiad.

Przeszli holem głównym do drzwi, z których przed chwilą wyszedł tłumacz.

- Proszę tutaj - tłumacz dał znak ręką, że zaprasza gościa do środka. Wchodząc do pomieszczenia, Javier zauważył jeszcze jednego mężczyznę w czarnym garniturze, który stał tuż obok drzwi.

Sala była ogromna, z długim stołem pośrodku. Na ścianach wisiały dziesiątki obrazów, a z sufitu zwisały olbrzymie żyrandole. Javier był zaskoczony rozmachem wystroju, a równocześnie jego surowością. Chyba jeszcze nigdy nie był w podobnym miejscu, a już na pewno nie w takiej sytuacji jak ta. „Pewno będę opowiadał o tym wszystkim wnukom - pomyślał. - O ile rzeczywiście wersja, którą przedstawili Marilena i Frank była prawdziwa”. Wprawdzie miał zaufanie do Marileny, ale dla argentyńskiego lekarza, który dotąd najbardziej sensacyjne chwile przeżywał, grając w golfa, kwestie takie jak Interpol i tajemnicze międzynarodowe spiski wydawały się czymś bardzo odległym, niemal nierzeczywistym. „Ale skoro międzynarodowa policja nad tym wszystkim czuwa - przekonywał sam siebie - to nie muszę się niczego obawiać. Odegram swoją rolę i za parę dni jestem z powrotem w „Lagos de Palermo”. Może znów uda mi się pokonać Carlosa”.

Prezydent siedział przy stole. Gdy zobaczył Javiera, wstał i podszedł, aby się z nim przywitać.

- Dobry wieczór, panie Sanchez - prezydent wyciągnął prawą rękę do gościa.

- Dobry wieczór, panie prezydencie. Raiil Sanchez!

- Javier powtórzył przybrane na tę okazję nazwisko, ściskając dłoń prezydenta. Przestraszył się trochę, kiedy usłyszał swój drżący z przerażenia głos. Myślał, że już oswoił

się z tą niecodzienną sytuacją, ale jednak czuł treść. Prezydent raczej nie zauważył zakłopotania gościa. A jeśli nawet, to nie dał tego po sobie poznać.

- Witam w Pałacu Prezydenckim. Widzę, że zainteresowały pana obrazy. Rzeczywiście godne uwagi. Może zanim zaczniemy wywiad, chce pan na nie rzucić okiem?

-Tak, panie prezydencie. Dobry pomysł. - Choć Javier w ogóle nie znał się na malarstwie, to nie miał zamiaru protestować. - Chętnie obejrzę obrazy. Robią wrażenie - skłamał, starając się godnie odegrać swoją rolę. Wprawdzie wiedział, że gospodarz był wtajemniczony w całą sytuację, ale nie zwalniało to go od kurtuazji. W końcu rozmawia z najważniejszą osobą w Polsce.

-Nie jestem ekspertem w dziedzinie sztuki, ale mogę panu parę słów o tej wystawce powiedzieć.

- Z przyjemnością, panie prezydencie. Słucham uważnie.

Sanchez nagle dojrzał, że ktoś wychodzi z domu. Przyłożył ponownie lornetkę do oczu. Jimenez miał tym razem na głowie sportową czapkę i na nosie okulary słoneczne, ale to na pewno był on. Rytuał z poprzedniego dnia się powtórzył. Mężczyzna przystanął obok fontanny, zbadał wzrokiem czystość wody i wyszedł przez furtkę na drogę. Przez chwilę Sanchez go nie widział, ale wkrótce jego sylwetka pojawiła się ponownie na horyzoncie, kiedy wyłonił się zza ogrodzenia i skręcił w kierunku asfaltowej drogi. Dziennikarz podbiegł parę metrów i skrył się za szeroki konar drzewa. Upatrzył je sobie poprzedniego dnia. Oparł się o drzewo plecami, zza paska spodni wyciągnął pistolet i czekał, aż Jimenez go minie. Wówczas będzie mógł

spokojnie wycelować w tył głowy terrorysty i oddać strzał. „Gordon pewnie teraz rozpoczyna wywiad” - pomyślał, wyczekując ofiary.

Prezydent spacerował z gościem po Sali Obrazowej, opowiadając o wybranych płótnach oraz ich autorach. Javier udawał zainteresowanie, ale tak naprawdę chciał, aby jego wizyta w Pałacu Prezydenckim jak najszybciej się zakończyła.

- Jak panu mówiłem, nie bardzo znam się na sztuce, ale to, co mogłem, opowiedziałem - zakończył prezentację gospodarz.

- Dziękuję, panie prezydencie. Rzeczywiście ciekawe prace. Możemy przystąpić do wywiadu?

-Tak, oczywiście - potwierdził prezydent i zajął miejsce przy stole.

- Usiądę obok prezydenta, a pana zapraszam naprzeciwko - powiedział tłumacz, wskazując Javierowi krzesło po drugiej stronie stołu.

Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Javier położył na środku stołu dyktafon, który przez cały czas trzymał w dłoni i nacisnął klawisz nagrywania. Salą Obrazową zatrzęsło od potężnego wybuchu. Zadziały wszystkie elementy, znane każdemu pirotechnikowi. Detonator zainicjował eksplozję, pobudzając główny materiał wybuchowy. Fala uderzeniowa wywołała potężne ciśnienie, a materiały kruszące wzmocniły niszczącą energię. Ochroniarz, który stał przy drzwiach, chciał ruszyć na ratunek, ale odłamki ugodziły go w biodro i uniemożliwiły poruszanie. Mężczyzna osunął się na podłogę w miejscu, w którym stał. Gdy z holu nadbiegli inni

borowcy, zastali prezydenta i tłumacza leżących obok stołu. Javier siedział na krześle z głową odrzuconą do tyłu. Cała trójka nie poruszała się i nie dawała oznak życia.

Taksówka z kierowcą, który miał czekać na Javiera przed Pałacem Prezydenckim, już dawno odjechała.

- Ręce do góry! - Frank wyłonił się zza krzaków z pistoletem wycelowanym w kierunku Sancheza. Ze swoich kryjówek nadbiegli też inni policjanci. Dziennikarz był otoczony. Rzucił broń i podniósł ręce. Gdy policjanci zakuwali go w kajdanki, dojrzał stojącego na drodze mężczyznę w czapce i okularach słonecznych. Nie był to jednak Jimenez.

- Panie inspektorze! - krzyczał policjant, biegnący w stronę Franka - dzwonili z centrali. Podczas wywiadu nastąpił wybuch. Prezydent, Gordon i tłumacz nie żyją, a jeden z ochroniarzy jest ranny!

Frank spojrział na Sancheza i obydwaj zwiesili wzrok.

-Dobra. Koniec akcji. Znów „szef wyprowadził nas w pole - machnął ręką Frank. Nagle zobaczył na asfaltowej drodze zbliżający się w ich kierunku od strony trasy E7 samochód. Był to sportowy, jaskrawożółty kabriolet, a groźny warkot świadczył o sporej ilości koni mechanicznych, pracujących pod pokrywą silnika. Frank znał się dobrze na samochodach, więc od razu poznał markę. Nie wierzył za bardzo swoim oczom, ale było to niewątpliwie maserati barchetta.

- Uwaga! Za krzaki z Sanchezem! - rozkazał policjantom - Może to „szef. - wskazał ręką na samochód. - Jeszcze mamy szansę. Siedźcie w ukryciu i czekajcie na mój sygnał!

Warkot silnika stawał się coraz głośniejszy, a żółte maserati zbliżało się do skrzyżowania z piaszczystą drogą. Gdy samochód był już blisko masztu wysokiego napięcia, zatrzymał się na chwilę, po czym znów ruszył i skręcił w prawo.

- Dobra, bierzemy go! - Frank i policjanci wyskoczyli z ukrycia i wycelowali pistolety w kierowcę.

Samochód natychmiast się zatrzymał, więc funkcjonariusze rzucili się do drzwi. Za kierownicą siedział przerażony młodzieniec z uniesionymi do góry rękami.

- Wysiadaj! - rozkazał jeden z policjantów.

Gdy rosły chłopak wygramolił się z trudem ze sportowego, osadzonego nisko, fotela, policjanci obskoczyli go ze wszystkich stron.

- Kim jesteś? Co tu robisz?

- Panowie nie strzelajcie! O co chodzi? Ja nic nie wiem!

- Ręce w górze! Nazwisko!

- Dariusz Sadowski. Dostarczam zamówienia z baru naleśnikowego - wskazał ręką w stronę E7. - Tego przy trasie. Ktoś zadzwonił i zamówił sześć naleśników pod ten adres. Na nazwisko Frank Weller...

Wtedy dopiero jeden z policjantów podniósł z siedzenia obok kierowcy papierową torbę z nadrukiem „Naleśniki nie tylko na miejscu!”.

- Sprawdźcie go! - rozkazał policjantom Frank, chociaż wiedział, że mężczyzna mówi prawdę. Dali się wyprowadzić w pole. - Sancheza zawieźcie na komendę! - machnął zrezygnowany ręką. - Ja zaraz tam będę.

Kiedy zaczął iść w górę po piaszczystej drodze, w kierunku bramy do posiadłości Niedzielskich, aby dojść do swojego samochodu, który stał ukryty za płotem, usłyszał, że ktoś go woła. Gdy się odwrócił, zobaczył biegnącego w jego

kierunku policjanta. Funkcjonariusz ciężko sapał i krzyczał coś łamaną angielszczyzną. Frank zaczekał na niego.

- Panie inspektorze... - wydobył z siebie zziębnięty policjant
- ten facet... - wskazywał prawą ręką na właściciela maserati
- pyta, kto mu zapłaci za naleśniki...

-Płaci pani kartą? - zapytała Marilenę recepcjonistka w hotelu „Fryderyk Chopin”.

- Tak. Może być „Visa”?
- Oczywiście. Korzystała pani dzisiaj z minibaru? -
Nie.
- Czy będzie potrzebna faktura?
- Nie, dziękuję.

Recepcjonistka przejechała kartą przez czytnik i po chwili oderwała odcinek potwierdzenia.

- Proszę podpisać.

Marilena zamaszyście złożyła na druczku swój podpis.

- Dziękuję bardzo, pani Garbo. Oto rachunek i potwierdzenie obciążenia karty. Zapraszamy ponownie. Czy może zamówić dla pani taksówkę?

- Tak, bardzo proszę, za dwadzieścia minut.

Marilena wjechała na piętro i weszła do pokoju. Większość rzeczy już spakowała wcześniej. Na wszelki wypadek sprawdziła, czy ma obydwie paszporty. Jeden rzuciła wraz z biletem kolejowym na półkę pod lustrem, a drugi, razem z biletem lotniczym, wsunęła do torby podróżnej. „Aha, jeszcze kosmetyki” - przypomniała sobie. Weszła do łazienki i zebrała z półki przy umywalce tusz do powiek, perfumy, kremy, szminkę oraz kilka innych

toaletowych drobiazgów. Wszystko umieściła w sporej kosmetyczce, którą następnie upchnęła do podróźnej torby.

„Chyba to już wszystko - pomyślała, siadając przed lustrem i wyciągając z torebki pudemiczkę. - Zaraz stąd znikam. Taksówką będę na dworcu za pięć minut, a później kilkanaście godzin do Berlina. Niech sobie na Okęciu szukają Marileny Garbo”.

Otworzyła leżący pod lustrem paszport, aby sprawdzić, czy nie pomyliła dokumentów. Gdy upewniła się, że pod jej zdjęciem jest nazwisko Carli Nunez, schowała go wraz z biletem kolejowym do podręcznej torebki.

Wcześniej tego samego dnia sprawdziła w banku, czy uzgodniona z Higginsem suma trafiła na konto należące do kobiety o takim właśnie nazwisku. Jej nazwisku. „Szkoda, że wybrałam Carla. Może lepsza byłaby Claudia?” Wiedziała jednak, że nie miało to większego znaczenia. „Każdy facet, który mi się spodoba, na pewno będzie mój. Trzy miliony euro to nawet w Brazylii niezła sumka. W Interpolu nie uzbierałabym tyle, nawet będąc sekretarzem generalnym”. Jeszcze raz spojrzała w lustro, żeby uzupełnić puder na nosie. Nagle zeszywniała, a po chwili opadła płasko twarzą na blat przed lustrem. Pierwsza kula okazała się tym razem śmiertelna.

Alain Ferron nie musiał się śpieszyć. Był samotnym strzelcem. Nigdy nie miał współpracowników i nikt nie znał jego kryjówek. Nikogo też nie informował o swoich powiązaniach, a już na pewno nikomu nie zdradzał swoich planów. Jedyne musiał legitymować się przed moco-dawcami, takimi jak Higgins. Gdy jednak wypełnił zadanie

i zainkasował zapłatę, znikał jak kamfora. Higginsa trzymał się już dłuższy czas, bo był to niewątpliwie hojny zleceniodawca. Ale mimo to Ferron obiecywał sobie, że jak zarobi wystarczająco dużo, to również zniknie z oczu Higginsowi. „W końcu trzeba dbać o bezpieczeństwo i niezależność” - przekonywał sam siebie o słuszności decyzji, gdy wracając z banku, wrzucał do śmietnika telefon komórkowy. Był właśnie doskonały moment na zatarcie wszystkich śladów, bo za obsługę zlecenia z Javierem Gordonem na jego koncie pojawiła się wyjątkowo okazała suma. Mógł sobie teraz spokojnie pozwolić na roczny urlop, a może nawet dłuższy. Miał w planie sam zająć się wszystkimi inwestycjami, które w związku z napływem nowych środków zaplanował, oczywiście pod zmienionym nazwiskiem. Ale to dopiero przed nim. Na razie jeszcze nie musiał myśleć o pomnażaniu przychodów. Nadszedł czas odpoczynku. „A kto powiedział, że w tej profesji urlop się nie należy? - Ferron był dumny ze swoich osiągnięć i przekonany o słuszności obranej drogi kariery. - Jeśli nie ja, to ktoś inny musiałby to robić... A skoro pieniądze są dobre, to nic, tylko korzystać”. Był w świetnym nastroju i wiedział, że nic nie jest w stanie popsuć mu humoru. Jeśli wydarzenia tego dnia będą miały dla kogoś jakiegokolwiek konsekwencje, to na pewno nie dla niego. Dlatego spokojnie popijał kawę w hotelowym barze. Jak na specjalistę od materiałów wybuchowych, biorącego udział w zamachach na ludzkie życie, miał dość prozaiczną zasadę. Nigdy nie prowadził po wypiciu alkoholu. Gdy zamierzał gdzieś jechać samochodem, nawet nie brał do ust piwa. Tak sobie po prostu postanowił. Patrzył teraz, jak przy stolikach i w holu ludzie dyskutują żywo w różnych językach o tym, co się stało, ale on miał już zupełnie coś innego na myśli. Mimo że zwiedził

różne miejsca, to nigdy nie był na Dominikanie. Wybierał się tam właśnie w następnym tygodniu i już sobie wyobrażał, jak na plaży popija egzotyczne drinki i obserwuje piękne kobiety, opalające się i spacerujące wzdłuż brzegu. Dopił ostatni łyk kawy i rzucił okiem na tarczę zegarka. Robiło się późno, więc należało szykować się do drogi. Spojrzał na rachunek i położył na blacie kwotę dwukrotnie wyższą.

- Dziękuję. Dobranoc - pomachał do barmana i leniwym krokiem ruszył w kierunku wind.

- Dziękuję panu! - usłyszał za sobą, ale już się nie odwrócił. W pokoju miał wszystko przygotowane. Jeszcze przed kawą uregulował rachunek, więc mógł od razu zjechać na dół do samochodu. Jedyne postanowił, starym zwyczajem, zajrzeć do sporej czarnej aktówki, gdzie pod podwójnym dnem miał ukryte rozmaite przyrządy i materiały. Dzięki nim mógł na poczekaniu skonstruować ładunek wybuchowy o całkiem sporej sile rażenia. Nawet większy od tego, który został użyty parę godzin wcześniej w Pałacu Prezydenckim. „No tak. Dobrze, że się jeszcze rozejrzałem - pochwalił sam siebie, gdy zobaczył leżący na podłodze mały śrubokręt. Jakoś nie przypominał sobie, aby narzędzie było tam, gdy porządkował rzeczy przed zejściem do recepcji, ale w końcu mógł się mylić. - Powinienem bardziej uważać, jak sprzątam po pracy". Podniósł śrubokręt i ustawił szyfr, otwierający aktówkę. Gdy zamek odskoczył, pokojem wstrząsnęła potężna eksplozja. Alain Ferron zginął natychmiast.

- Trzasnął piorun w rabarbar! - wykrzyknął Bill Jackson do siedzących z nim w furgonetce przy ulicy Rodier policjantów, gdy skończył rozmowę i schował do kieszeni telefon. Tak zwykł określać wszelkie zdarzenia o zataczających szerokie kręgi konsekwencjach.

- Co się stało, poruczniku? - zapytał policjant siedzący przed monitorami, na których obserwowany obiekt widać było ze wszystkich stron.

- Dzwonił Frank. Podobno musimy zdjąć natychmiast Higginsa. W Polsce zginął prezydent, a „szef nadal poza naszym zasięgiem. Trzeba wycisnąć wszystko z tego gościa

- Bill wskazał palcem na biały dom z wiśniowym dachem.

- Czy nikt nie wchodził ani nie wychodził, jak rozmawiałem przez telefon?

- Tylko przyjechał dostawca na motocyklu z pizzą. Był w firmowym stroju, pewnie z jakiejś sieci odpowiedział policjant siedzący przed monitorami.

- Pizza? Miałem być o wszystkim informowany! Dlaczego nic o tym nie wiem? A kiedy zamawiali pizzę? Zanotowałeś? - zapytał policjanta ze słuchawkami na uszach.

-Nie słyszałem, żeby ktoś dzwonił w sprawie pizzy. Może zamówili, jak była tu poprzednia zmiana.

Jackson groźnie spojrzął na policjanta i głośno westchnął.

- Dobra. Idziemy. Ty siedź tu i miej wszystko na oku,

- rozkazał Bill policjantowi w słuchawkach. - A my zatrzymujemy Higginsa - powiedział do drugiego funkcjonariusza.

Obydwaj wysiedli z furgonetki i ruszyli w stronę willi. Gdy doszli do budynku, mahoniowe drzwi wejściowe były

lekką uchylone. Bill wyciągnął z futerału pod pachą pistolet i wszedł do środka. Na podłodze w holu leżało płaskie pudełko z napisem „Paolo's Pizza”. Bill oparł się plecami o ścianę przed wejściem do salonu, a następnie wychylił się i zajrzał do środka. Jakiś mężczyzna leżał na podłodze, a na jego koszuli widoczne były dwie czerwone plamy.

-To chyba ten Jacques - powiedział Bill do policjanta, który też miał w dłoni pistolet i stał za nim. - Poszukajmy Higginsa!

Weszli do następnego pokoju. Zastali tam drugie ciało przewieszane przez boczne oparcie fotela, stojącego za biurkiem. Brian Higgins był martwy, a jego głowa ociekała krwią.

Czy zaskoczył cię taki rozwój wydarzeń? Do czego to doszło? Żeby kobieta mogła być kapitanem boeinga 737? Nie rób takiej miny. Przecież wiesz, że lubię żartować. Ale tylko czasami. Na ogół jestem - wybac to określenie — śmiertelnie poważny. Zapewne masz już włączone radio lub telewizor. Czy mówią o tym wszystkim? Jeszcze nie? Wiesz, jak to jest. Zanim poda się komunikat o zamachu na prezydenta, trzeba wszystko starannie przemyśleć. Bywało już, że informacje o tego typu tragediach trafiały na antenę z dużym opóźnieniem. Pamiętasz Czarnobyl? Zapewne takich jak ty, którzy opalali się w upalnych promieniach słonecznych, pod błękitnym majowym niebem, nieświadomi katastrofy, było znacznie więcej. Mówisz, że teraz żyjemy w innych czasach? I co z tego? A sprawa lądowań samolotów CIA w Polsce? Dlaczego tak późno coś przeniknęło do mediów? Przykłady można mnożyć, oczywiście pod warunkiem, że ktoś będzie

chciał się nimi podzielić. Rozumiesz już do czego zmierzam? A może w ogóle nic się nie wydarzyło? Może to wszystko to dopiero pomysł, który jeszcze nie doczekał się realizacji? Albo jeden z wielu pomysłów... Parafrazując cytowaną wypowiedź Bolana, mógłbym powiedzieć: dajcie mi broń, a dam wam tysiąc pomysłów na morderstwo. Pamiętasz sprawę Johna Kennedy'ego? Coś o niej wiem. Musiałem sporo nauczyć się od swoich poprzedników. Wiedza to taki znicz olimpijski, który jest przekazywany przez wybrańców, aby mógł rozpaść w finale wielki ogień. Na zabójstwo amerykańskiego prezydenta też było wiele pomysłów. W końcu wybrano najprostszy i -jak się okazało - skuteczny. „Get it on. Bang the gong. Get it on”. Pamiętasz? Tylko pięć nut i światowy hit! Proste, a skutek oszołamiający! Nie sądzisz? W przypadku Kennedy 'ega również nie pomogła doskonała ochrona. Później wszyscy szukali, zastanawiali się, mnożyli liczbę snajperów... Tymczasem nie chcieli wziąć pod uwagę najprostszego z możliwych rozwiązań. I nadal nie chcą. Dlatego po czterdziestu trzech latach od tamtego wydarzenia nikt nic nie wie. No, prawie nikt... Ale ja nie będę niczego zdradzał... Dlaczego? Bo dobre pomysły są w cenie. Masz parę milionów na zbyciu? Znow, oczywiście, żartowałem. Za żadne pieniądze nie powiem. John Kennedy to zresztą niejedyna taka sprawa. Później było ich więcej. Pamiętasz śmierć księżnej Diany? Czy wierzysz w to, że tylko zawinił nieostrożny kierowca? I tak dalej, i tak dalej... O niektórych wydarzeniach było głośno. Inne celowo przemilczano. Ale żadne nie doczekało się sensownego, a przynajmniej wyczerpującego, wyjaśnienia. Tak musi być i tak jeszcze będzie. Mówiłem ci, że lubię mieć wszystko pod kontrolą podobnie jak moi wielcy poprzednicy. Do nich także nikt nie zdołał dotrzeć. A może nie chciał? Ja też pozostanę

poza zasięgiem... Żeby kontynuować tradycję moich poprzedników aż po finałowe wielkie bum!

Ale właśnie. Udało ci się dotrzeć do płyty? Jakiej? Chodziło o album „Litto Nebbia en Brasil. Aqui y ahora... ” Nie? Tak podejrzewałem. Miałem jednak dobry pomysł, żeby sprawdzać twoją czujność, bo jednak nie o wszystkim pamiętasz. Szkoda... Ale zaraz. Mówię, jakby było już po wszystkim, a przecież to jeszcze nie koniec. Nie całkiem. Pozostał epilog. Możesz teraz przewrócić kartkę...

epilog

Vincent nie był w najlepszym nastroju. Znalazł wczoraj w Warszawie jeszcze inny sklep płytowy, a tam również po „Born To Run” ani śladu. „Nawet jeśli jeden egzemplarz się sprzedał, to powinien być na półce drugi. Przecież to reedycja specjalna z okazji trzydziestej rocznicy premiery. Oprócz oryginalnego albumu z poprawionym dźwiękiem w zestawie są aż dwie płyty DVD, w tym jedna z niepublikowanym dotąd londyńskim koncertem Springsteena z 1975 roku. Żeby w dwóch sklepach zabrakło jednej z najlepszych rockowych płyt... Skandal!” - pomstował, szukając miejsca przy krawężniku, aby zaparkować. „Gdybym wcześniej wiedział, to na pewno kupiłbym album w Rzymie lub Wiedniu”. Do tego jadąc, słuchał w radiu transmisji meczu piłkarskiego, a jego ulubiona drużyna właśnie przegrywała. Do ostatniego gwizdka było wprawdzie jeszcze dziesięć minut, więc wszystko mogło się stać. Tymczasem on musiał akurat teraz wyłączyć radio. „Cóż - pocieszał się - obowiązek przede wszystkim”. Zresztą zawsze przedkładał sprawy zawodowe nad przyjemności. Jeśli pojawiała się zadanie, to trzeba było je terminowo i skutecznie wykonać. Przecież na przyjemności można było sobie pozwolić później, w czasie wolnym. Tego ostatniego mu zresztą nie brakowało. Właściwie miał tylko kilka dni pracy w roku. Reszta to

niekończące się wakacje. Gdyby inni wiedzieli, ile ma wolnego czasu, toby mu na pewno pozazdrościli. Może ktoś nawet zdecydowałby się ruszyć w jego ślady. To może nie byłoby najlepsze rozwiązanie. W końcu w żadnym biznesie nie patrzy się przychylnie na nowego konkurenta.

Na razie w branży Vincenta nie było specjalnego tłoku, a przynajmniej nie na takim poziomie, jaki on reprezentował. Dlatego praca dostarczała mu całkiem niezłych dochodów. Inaczej przerzuciłby się na przykład na hurtową sprzedaż materiałów elektrotechnicznych albo na coś równie „oryginalnego”. Wysiadł z samochodu i otworzył bagażnik. Rulon skór leżał na swoim miejscu. Wprawdzie przewiązany był tylko jednym sznurkiem, bo od tego ciągłego wiązania i rozwiązywania drugi się przerwał, ale i tak karabin snajperski był w środku bezpieczny. Vincent zatrzasnął tylną klapę i wszedł do budynku. Kiedy był tu poprzednim razem, zdążył wszystko w myślach dokładnie zaplanować. Teraz trzeba było tylko dostać się do okna. Położył pakunek na podłodze, rozwiązał supeł i rozwinął rulon skór. Jego narzędzie pracy ukazało się w pełnej okazałości. „Może należałoby rozejrzeć się za jeszcze lepszym modelem?” - pomyślał, przyłączając magazynek z nabojami .338 Lapua Magnum do solidnie prezentującego się karabinu TRG-42. „Ale lepiej poczekam, jak już będzie można zamówić przez Internet. Podobno przy sprzedaży wysyłkowej zawsze istnieje możliwość zwrotu, jeśli towar jest inny niż w katalogu lub po prostu nie spełnia oczekiwań. Zamówię, wypróbuję, a jeśli nie będę zadowolony, to zwrócę. Tak po prostu”. Vincent uśmiechał się do siebie, zaskoczony zabawnością własnego pomysłu. „Może zamiast handlować żarówkami, zajmę się pisaniem scenariuszy komediowych... Ale właśnie, skoro mowa o pracy, to na razie mam kontrakt do wykonania”.

Oparł kolbę karabinu o ramię i przystawił do oka celownik. „Chyba lepiej nie będę strzelał przez szybę” - pomyślał i lekko uchylił okno, tak aby było miejsce na lufę. Ponownie spojrzął przez celownik, ale obiekt nie był ostry. Pokręcił obiektywem, aż ukazał mu się wyraźny napis „Pomysł zachowam dla siebie”. Wtedy przeniósł celownik na skroń osoby czytającej książkę i zaczął wolno pociągać za spust.

Zaraz przesyje cię pierwsza kula. Jeśli masz szczęście, to już ta pierwsza będzie śmiertelna.

THE END

Spis treści

prolog	str. 9
<i>rozdział 1</i> dzień pierwszy, drugi i trzeci (niekoniecznie w takim porządku)	str. 13
<i>rozdział 2</i> dzień czwarty	str. 103
<i>rozdział 3</i> dzień piąty i szósty (chronologicznie)	str. 151
Epilog	str. 217